



INDEKS



Jeśli sztuka jest wielką rzeką, to ja jestem małym zakolem... To tytuł wystawy malarstwa Krzysztofa Buckiego (1936–1983), którą do końca lutego można obejrzeć w Muzeum Śląska Opolskiego. Na zdjęciu – obraz Krzysztofa Buckiego z 1973 r. (własność Edwarda Pochronia). Repr. Tadeusz Parcej

Spis treści

Kronika uniwersytecka	2	<i>Nobel wolał Jagnę</i> (Agnieszka Wojcieszek)	58
Słodkie zwycięstwo	10	<i>Jak wykraść bogom Słońce?</i> (Ireneusz Książek)	60
Fuzja pod kontrolą	11	Odeszli: prof. dr hab. Józef Długosz (Wanda Matwiejczuk)	65
Uniwersytet przypięty do Europy	11	<i>Ostatni sołtys z rodu Bożków</i> (Danuta Kisielewicz)	66
Prof. Daniel Pietrek laureatem Nagrody Bawarskiej Akademii Sztuki	12	<i>Śląsk potrzebował studentów. Koło Akademików Opolan, część I</i> (Mariusz Patelski)	70
Salon Jesienny 2014: Grand Prix dla Pauliny Ptaszyńskiej	12	<i>Na elekcję – bez poręczy. Pierwszy warszawski most</i> (Włodzimierz Kaczorowski)	74
Studentka UO w jury nagrody <i>Lista Goncourtów</i> – polski wybór	13	<i>W cieniu cisa. Park w Strzelcach Opolskich</i> (Krzysztof Spalek)	77
<i>Honory dla ludzi dialogu</i> (relacja z uroczystości przyznania tytułów doktorów h.c. UO o. prof. Wacławowi Hryniewiczowi i o. prof. Stanisławowi C. Napiórkowskiemu)	14	<i>W gabinecie pachniało fajką</i> (relacja ze spotkania z cyklu Śladami pamięci: prof. Marian Kaczmarek)	79
<i>Moc truchleje</i> (Tadeusz Dola)	21	<i>Nasi absolwenci: Wytarżone obrączki</i> (Alicja Piasta)	81
<i>O pożytkach ze smutku</i> (z dr Anną Małczyńską rozmawia Marian Buchowski)	23	<i>Homer i oporniki</i> (Katarzyna Mazur-Kulesza)	83
<i>Życiorys z szuflady</i> (Barbara Stankiewicz)	28	<i>Oszczędzać i szukać dochodów</i> (Janusz Słodczyk)	84
<i>Koniec epoki dylizansu. Dworzec kolejowy w Opolu</i> (Urszula Zajączkowska)	38	<i>Świąty melancholii. Pod znakiem Dürerowskiego Saturna</i> (Aneta Mazur)	85
<i>Mocne wejście. Opolskie portale</i> (Andrzej Hamada)	43	<i>Wielokulturowość na Śląsku i w Kazachstanie</i> (Agata Malec)	90
<i>Rodzinne tropy, obce ślady</i> (z Joanną Helander rozmawia Anna Patelska)	46	<i>Kresowe Madonny</i> (Jerzy Duda)	100
<i>Byłem „staczem” w Mediolanie</i> (Piotr Obrączka)	50	<i>Apokryf spisany po szturmie</i> (Bartosz Suwiński o poezji Radosława Wiśniewskiego)	93
<i>Za szybkie pisanie – 34</i> (Adam Wierciński)	51	<i>Półka Sułka: Książka to także przedmiot</i> (Witold Sułek)	96
<i>Pięćdziesiąt plus</i> (Bartłomiej Kozera)	54	Noty o autorach	97
<i>Alkestis</i> (Irena Wyczółkowska)	55	Nowości wydawnicze	99
<i>Sofa filozofa: Jego darem jest On sam</i> (Joachim Piecuch)	57		

*Pełnych ciepła, spokoju i radości
świąt Bożego Narodzenia
oraz wszelkiej pomyślności
w 2015 roku
całej Wspólnocie Uniwersyteckiej
życzą*

władze Uniwersytetu Opolskiego

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Nakład: 550 egz.

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17

e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Skład komputerowy: Henryk Kobiela. Druk: Wydawnictwo i Drukarnia św. Krzyża, 45-007 Opole, ul. Katedralna 6

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

Kronika uniwersytecka

■ **13 października.** W Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu dr hab. Grzegorz Francuz z Instytutu Filozofii UO został odznaczony przez prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, w imieniu prezydenta RP, Krzyżem Wolności i Solidarności *za zasługi w działalności na rzecz niepodległości i suwerenności Polski oraz respektowania praw człowieka w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.*

■ **15 października.** Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Nowogrodzkiego Państwowego Uniwersytetu im. Jarosława Mądrego: rektor prof. Viktor Weber, prorektor ds. współpracy międzynarodowej prof. Mikhail Pevzner, prof. Aleksander Shirin – dyrektor Instytutu Pedagogiki i Natalia Shaydrova – kierownik biura ds. współpracy międzynarodowej. Goście z Nowogrodu Wielkiego spotkali się z władzami naszego uniwersytetu, reprezentowanymi przez rektora prof. Stanisława S. Nicieję i prorektora ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusza Słodczyka. W trakcie spotkania podpisano umowę o współpracy obu uczelni.

■ **16–17 października.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej w Obrzycku, które dotyczyło m.in. zmian w ustawie z 11 lipca i projektów wykonawczych do tej ustawy - *Prawo o szkolnictwie wyższym* oraz *Ustawa o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki.*

■ **16 października.** Koło Młodych Naukowców BIONT to organizatorzy Konferencji Młodych Naukowców pt. *Nowoczesne techniki badań bioróżnorodności*, która odbyła się w Studenckim Centrum Kultury UO, a dotyczyła badań nad bioróżnorodnością z wykorzystaniem najnowocześniejszych technik badawczych, w tym technik biologii molekularnej oraz bioinformatyki.

■ **17 października.** *Pociąg do tolerancji* – to hasło happeningu, w ramach którego uczniowie Szkoły Podstawowej nr 6 w Pyskowicach z nauczycielem Błażem Kupskim, absolwentem historii naszej uczelni, odwiedzili Uniwersytet Opolski, gdzie m.in. spotkali się ze studentami z Ukrainy. Do Opola przyjechali pocią-



15 X 2014. Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Nowogrodzkiego Państwowego Uniwersytetu im. Jarosława Mądrego. Na zdjęciu, w pierwszym rzędzie (od lewej): rektor prof. Viktor Weber i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja. W drugim rzędzie (od lewej): Aleksander Shirin - dyrektor Instytutu Pedagogicznego, Mikhail Pevzner - prorektor ds. stosunków międzynarodowych, Natalia Shaydrova – naczelnik Biura Współpracy Międzynarodowej, prorektor prof. Janusz Słodczyk i dyrektor Instytutu Historii prof. Tomasz Ciesielski

giem, promując wśród podróżnych tolerancję, przekonując, że Polska to kraj dla wszystkich. A wszystko to w ramach akcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przy wsparciu przedsiębiorstwa Przewozy Regionalne oraz Uniwersytetu Opolskiego.

• Z okazji Regionalnego Święta Edukacji w Filharmonii Opolskiej uhonorowano najlepszych nauczycieli, studentów i uczniów Opolszczyzny. Marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła przyznał też dwie Nagrody *Professor Opoliensis* za najważniejsze prace naukowe. Otrzymali je: prorektor UO ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk za książkę *Historia planowania i budowy miast* oraz prof. dr hab. Janusz Mroczka za *Problemy metrologii elektronicznej i fonicznej*. W uroczystości uczestniczył także rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

■ **18 października.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w obchodach stulecia Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” na Zamku Piastów w Raciborzu.

■ **20 października.** Podczas mszy św. celebrowanej pod przewodnictwem ks. bpa Andrzeja Czai wprowadzono relikwie św. Jana Kantego, profesora Akademii Krakowskiej (1390–1473), patrona naukowców i środowiska akademickiego do kościoła św. Józefa w Opolu Szczepanowicach. W uroczystości wziął udział rek-

tor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który w tym dniu uczestniczył także w ogólnopolskiej konferencji pt. *Osiągnięcia gospodarcze i techniczne na dawnych Kresach Rzeczypospolitej*, w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego.

■ **21 października.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w Kolegium Prorektorów ds. Kształcenia oraz ds. Studenckich Uczelni Wrocławia, Opola i Zielonej Góry. Obrady toczyły się w Sali Senatu Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, a dotyczyły m.in. zmian w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym w zakresie kształcenia i pomocy materialnej.

■ **21–23 października.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w posiedzeniu Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich na UMCS w Lublinie. Obrady KRUP dotyczyły m.in. finansowania badań naukowych w Polsce, założeń reformy przepisów odnoszących się do awansów naukowych, bieżących prac Rady Narodowego Centrum Nauki i Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Otwartego Systemu Antyplagiatowego.

• W Opolu i Wrocławiu trwały obrady V Międzynarodowej Konferencji *Tradycje monastyczne w Europie. Między liturgiką a performatyką II* zorganizowanej przez Katedrę Teatru, Filmu i Nowych Mediów Insty-



17 X 2014. Podczas Regionalnego Święta Edukacji prof. Janusz Słodczyk odebrał Nagrodę *Professor Opoliensis* za książkę *Historia planowania i budowy miast*

tutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO; Katedrę Liturgiki, Hagiografii i Obrzędowości Instytutu Liturgii, Muzyki i Sztuki Sakralnej UO oraz Instytut im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu.

■ **22 października.** W uroczystości wręczenia tegorocznych Nagród im. Karola Miarki, w Katowicach, uczestniczyła – jako laudator wyróżnionego nagrodą Bogusława Szybkowskiego, opolskiego wydawcy i kolekcjonera – prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Wśród nagrodzonych znaleźli się także opolanie: ks dr hab. Andrzej Hanich i Roman Sękowski.

■ **22–23 października.** Katedra Historii Literatury, Komparatystyki i Antropologii Literackiej UO oraz Muzeum Śląska Opolskiego to organizatorzy konferencji pt. *Światy Melancholii*. Więcej na str. 85.

■ **29 października.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z Andrzejem Olechowskim, politykiem, ekonomistą. Rozmowa dotyczyła projektu stworzenia konsorcjum naukowo-eksperymentalnego, zrzeszającego naukowców Polski, Niemiec i Ukrainy.

■ **24 października.** W Auli Błękitnej Collegium Maius UO godność doktorów *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego przyjęli: o. prof. dr hab. Waław Hryniewicz i o. prof. dr hab. Stanisław Celestyn Napiórkowski. Więcej na str. 14.



24 X 2014. Godność doktorów *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego przyjęli: o. prof. Waław Hryniewicz (drugi z lewej) i o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski (pierwszy z prawej). Na zdjęciu – w rektoracie, z ks. abp. prof. Alfonsem Nossolem i rektorem prof. Stanisławem S. Nicieją



27 X 2014. *Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie* – to tytuł konferencji, która obradowała w Collegium Civitas UO

■ **25 października.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w dyplomarium Wydziału Chemii oraz Wydziału Matematyki, Fizyki i Informatyki.

■ **27 października.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk podpisał w imieniu Uniwersytetu Opolskiego umowę z Centrum Polintegra, czyli Ponadregionalnym Centrum Naukowo-Przemysłowym Polimery-Materiały-Technologie dla Gospodarki. Dzięki zaangażowaniu chemików UO pod kierunkiem prof. dr hab. Krystyny Czai nasza uczelnia znalazła się w składzie niezwykle silnego konsorcjum

wiążącego przemysł i naukę (połączenie firm oraz instytutów badawczych – uczelnianych, instytutów branżowych i PAN-owskich). W uroczystym podpisaniu umowy przez 62 jednostki z szeroko rozumianego obszaru chemii wzięli m.in. udział wiceminister gospodarki Grażyna Henclewska oraz wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Jacek Guliński.

- *Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie* – to tytuł konferencji, która obradowała w Collegium Civitas UO. Jej organizatorami byli: opolski oddział Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, Instytut Politologii UO, Towarzystwo Społeczno-Kul-



30 X 2014. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali tytuły naukowe profesora oraz stopnie naukowe doktora habilitowanego. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie (od lewej), profesorowie: Grażyna Jastrzębowska, Anna Ledwina, Stanisław Koziański i Daniela Pelka. W drugim rzędzie (od lewej): prorektorzy: prof. Marek Masnyk i prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, rektor Stanisław S. Niciejca, prof. Stanisław Hoc, prorektor prof. Janusz Słodczyk, prof. Adrian Gleń, prof. Krzysztof Skowroński



30 X 2014. Podczas posiedzenia Senatu UO przewodnicząca Klubu Uczelnianego AZS Ewelina Wróbel przekazała wyróżnienie dla Uniwersytetu Opolskiego za zdobycie przez naszych badmintonistów największej liczby medali podczas Europejskich Igrzysk Studenckich w Rotterdamie. Na zdjęciu (od lewej): prorektor prof. Marek Masnyk, trener Henryk Hołodnik, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, przewodnicząca AZS Ewelina Wróbel, opiekun badmintonistów Dariusz Sobków, rektor prof. Stanisław S. Nicieja i prorektor prof. Janusz Słodczyk

turalne Niemców na Śląsku Opolskim, ambasada Kazachstanu w Warszawie, Polsko-Kazachstańskie Stowarzyszenie Przyjaźni i Współpracy, Stowarzyszenie „Mój Kazachstan” oraz Studenckie Koło Naukowe Politologów UO. Konferencję otworzył rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. Więcej na str. 88.

■ **28 października.** Panelem dyskusyjnym w Collegium Civitas UO, z udziałem pracowników naukowych z Polski i Turcji oraz polskich i zagranicznych studentów Uniwersytetu Opolskiego, rozpoczął się Dzień Turecki na naszej uczelni, zorganizowany przy współpracy z Regionalnym Ośrodkiem Debaty Międzynarodowej. Spotkanie zakończyło się prezentacją dotyczącą społeczeństwa, kultury i tradycji Turcji, przygotowaną przez tureckich studentów.

- Podczas ostatniego w tej kadencji posiedzenia Sejmiku Woj. Opolskiego prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak podziękowała samorządowcom za dotychczasową współpracę z Uniwersytetem Opolskim.

- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja udzielił wywiadu dotyczącego jego twórczości red. Danucie Skalskiej z katowickiej rozgłośni Polskiego Radia.

■ **30 października.** Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali tytuły naukowe profesora – prof. dr hab. Stanisław Koziarski i prof. dr hab. Stanisław Hoc oraz stopnie naukowe doktora habilitowanego: Adrian Gleń, Grażyna Jastrzębowska, Anna Ledwina, Daniela Pelka i Krzysztof Skowroński.



5 XI 2014. Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Bawarskiego Uniwersytetu Juliusza Maksymiliana w Würzburgu. Na zdjęciu (od lewej): prorektor prof. Janusz Słodczyk, ks. bp dr Friedhelm Hofmann, prezydent Uniwersytetu w Würzburgu prof. dr Alfred Forchel, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, dziekan Wydz. Teologicznego Uniwersytetu w Würzburgu prof. dr Heribert Hallermann, dziekan Wydz. Teologicznego UO ks. prof. Tadeusz Dola i prodziekan ks. prof. Dariusz Krok

- Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Maśnyk uczestniczył w dyplomarium Wydziału Teologicznego.

- **3 listopada.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w kolejnym posiedzeniu Rady Programowej TVP Opole.

- **5 listopada.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk gościli delegację z Bawarskiego Uniwersytetu Juliusza Maksymiliana w Würzburgu reprezentowanego przez rektora prof. dra hab. Alfreda Forchela, któremu towarzyszył ks. bp Friedhelm Hoffmann. W trakcie spotkania podpisano umowę o współpracy, dotyczącą wymiany pracowników naukowych, kadry dydaktycznej oraz nieodpłatnej wymiany studentów, tworzenia i organizacji modułowych zajęć dydaktycznych, prowadzenia wspólnych projektów badawczych, organizacji sympozjów o charakterze międzynarodowym i stałej wymiany publikacji naukowych i materiałów dydaktycznych.

- W Instytucie Politologii, pod patronatem Komitetu Regionów, odbyło się międzynarodowe seminarium naukowe dotyczące współpracy międzynarodowej w obszarze edukacji na przykładzie programu Europa Master.

- Czy Opole jest miastem akademickim? Co zrobić, aby młodzi ludzie nie wyjeżdżali z miasta? Jak wykorzystać potencjał studentów w życiu Opola? To tylko niektóre pytania, z którymi zmierzili się kandydaci na prezydenta miasta podczas debaty w Studenckim Centrum Kultury.

- **6 listopada.** W Sali Senatu UO, z udziałem prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, trwało spotkanie przedstawicieli instytucji naukowych zrzeszonych w Europejskim Ugrupowaniu Współpracy Transterytorialnej TRITIA, w którym uczestniczyła także prezes TRITIA Marta Sláviková. Europejskie Ugrupowanie Współpracy Terytorialnej TRITIA jest istniejącą od grudnia 2012 r. organizacją efektywnej współpracy międzynarodowej mającej na celu identyfikację, promocję i wdrażanie programów, projektów oraz organizację wspólnych imprez przyczyniających się do rozwoju i poprawy warunków życia mieszkańców pogranicza czesko-polsko-słowackiego. W skład ugrupowania wchodzi: województwo śląskie w partnerstwie z województwem opolskim, Kraj Morawskośląski (Republika Czeska) i Samorządowy Kraj Żyliński (Republika Słowacka).

- **7 listopada.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i Marcin Miga, asystent rektora, wzięli udział w spotkaniu z



7 XI 2014. Na Konferencji Rektorów Uniwersytetów Śląskich. Uniwersytet Opolski reprezentowali rektor prof. Stanisław Nicieja i prorektor prof. Janusz Słodczyk. Z prawej – rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach prof. Leszek Żabiński

przedstawicielami Ministerstwa Infrastruktury i Rozwoju, które odbyło się na Politechnice Opolskiej, a dotyczyło realizacji projektu zagospodarowania obiektów Pomologii w Prószkowie jako projektu pilotażowego nie tylko w skali województwa i kraju, a także możliwości rozszerzenia kształcenia dualnego przy wykorzystaniu środków unijnych.

- **7–8 listopada.** W Ostrawicy trwały kolejne obrady Konferencji Rektorów Uniwersytetów Śląskich (organizator: Uniwersytet Śląski w Opawie), podczas których Uniwersytet Opolski reprezentowali: rektor prof. dr hab. Stanisław Nicieja i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Rektorzy uniwersytetów z Ostrawy, Opawy, Wrocławia, Opola i Katowic analizowali skutki niżu demograficznego w Polsce i Czechach dla naszych uczelni. Podstawą dyskusji stały się wystąpienia prof. A. Rączaszka (UE w Katowicach) i prof. Rudolfa Żaczka (UŚ w Opawie) dotyczące sytuacji demograficznej Polski i Czech. Prof. dr hab. Janusz Słodczyk przedstawił informację o stanie prac nad koordynowanymi przez Uniwersytet Opolski wspólnymi działaniami związanymi z przygotowaniem projektu *Encyklopedia Śląska i Transgraniczna Polsko-Czeskiego* i staraniach, by inicjatywa ta stała się projektem flagowym w programie Współpracy Transgranicznej Republika Czeska-Rzeczpospolita Polska 2014-2020. W trakcie posiedzenia wybrano nowego przewodniczącego KRUS, którym został rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr hab. Marek Bojarski. Uczestnicy spotkania wyrazili wdzięczność prof. Rudolfowi Żaczce, rektorowi Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, za wieloletnie przewodniczenie Konferencji. Przedmiotem dyskusji były również tematy przyszłych seminariów Międzynarodowego Centrum Studiów Śląskich. Obok kwestii przemian demograficznych i gospodarczych za interesujący temat wymiany doświadczeń uznano organizację i funkcyjono-



13 XI 2014. *Artystki i poetki kresowe* – to tytuł wykładu, którym rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja zainaugurował konferencję pt. *Kobieta na Kresach*, zorganizowaną przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu oraz Instytut Historii UO

wanie muzeów uniwersyteckich (seminarium na ten temat zostanie zorganizowane wiosną 2015 r. w Uniwersytecie Opolskim, gdzie na początku 2014 roku uruchomiono tworzone od podstaw Muzeum UO).

■ **12 listopada.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak reprezentowała Uniwersytet Opolski podczas uroczystej sesji Sejmiku Woj. Opolskiego z okazji Narodowego Święta Niepodległości.

■ **13 listopada.** W Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Opolu podsumowano cykl spotkań poświęconych wdrażaniu nowoczesnych rozwiązań technologicznych i możliwościom pozyskiwania źródeł finansowania w latach 2014 – 2020. W spotkaniu wzięła udział prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

• *Artystki i poetki kresowe* – to tytuł wykładu, którym rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja zainaugurował konferencję pt. *Kobieta na Kresach*, zorganizowaną przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu oraz Instytut Historii UO w bytomskim muzeum, podczas której referaty wygłosili także pracownicy naukowcy Uniwersytetu Opolskiego: dr hab. Barbara Kubis, prof. UO, dr hab. Tomasz Ciesielski, prof. UO, dr Adriana Dawid i dr Mariusz Patelski. W tym dniu rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był także gościem prof.

dr. hab. Mariana Zembali w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze podczas spotkania z Marią Olszowską, 107-letnią pacjentką, która cztery lata temu, właśnie w Zabrze, przeszła operację kardiochirurgiczną.

■ **14 listopada.** Podczas uroczystego spotkania w Filharmonii Opolskiej – XV jubileuszowej edycji nagród dla opolskich animatorów i twórców kultury – marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła wręczył prof. dr hab. Teresie Smolińskiej Odznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego”, doceniając tym samym związki naszego kulturoznawstwa z regionem oraz zaangażowanie profesor w popularyzację dziedzictwa kulturowego Śląska Opolskiego.

• W galerii ZPAP Pierwsze Piętro odbył się wernisaż wystawy prac studentów Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego pt. *OFF Kolor*. Na wystawie można było obejrzeć prace z Pracowni Grafiki Instytutu Sztuki UO prowadzonej przez dr hab. Monikę Kamińską i dr. Bartłomieja Trzosa. Autorami prezentowanych prac byli: Ksenia Czernoliakhova, Klaudia Eckert, Monika Kalla, Paweł Klimczak, Nikola Kravets, Mateusz Malarz, Marta Momot, Paulina Ornatowska, Szymon Puto, Roksana Robok, Aleksandra Rodzik, Joanna Rudnicka, Agnieszka Sozańska, Marek Szymczak, Jolanta Wawrzonek i Marta Wolna.



13 XI 2014. Rektor prof. Stanisław S. Nicieja był gościem prof. Mariana Zembali (na zdjęciu drugi z lewej) w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze podczas spotkania z Maria Olszowską, 107-letnią pacjentką, która cztery lata temu, właśnie w Zabrze, przeszła operację kardiochirurgiczną



14 XI 2014. Podczas uroczystości w Filharmonii Opolskiej marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła wręczył prof. Teresie Smolińskiej Odznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego”

■ **14–15 listopada.** Na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach spotkali się prorektorzy odpowiedzialni za finanse dwudziestu polskich uniwersytetów klasycznych. Uniwersytet Opolski reprezentował prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Więcej na str. 84.

■ **17 listopada.** W Sali Senatu Collegium Maius UO odbyło się podsumowanie prac nad projektem współpracy ponadnarodowej pn. *PWP Dualne specjalistyczne szkolenia kadr dla regionu*. Informacje dotyczące projektu przedstawili: kanclerz UO Ewa Rurykiewicz, Alois Jöst – wiceprezydent Izby Rzemieśniczej w Mannheim oraz kierownik projektu Teresa Kudyba. Udział w konferencji wzięli m.in. dr Sabina Kubiciel-Lodzińska, ekspert rynku pracy z Politechniki Opolskiej, Jarosław Chołodecki, wiceprezes Stowarzyszenia Inicjatywa Firmy Rodzinne w Warszawie, Hans Fred Herwehe i Axel Eller z Akademii Kształcenia w Mannheim.

■ **18 listopada.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w zdjęciach do filmu red. Leszka Myczki, dotyczącego ochrony środowiska na Opolszczyźnie.

■ **19 listopada.** 70. rocznica śmierci ks. Josepha Wilperta, badacza malowideł katakumbowych i sarkofagów chrześcijańskich z początków istnienia Kościoła, stała się pretekstem do przypomnienia tej postaci podczas spotkania zorganizowanego przez Bibliotekę Główną, Muzeum UO i Fundację Nauki i Kultury na Śląsku, w którym wziął udział także rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. Podczas spotkania w uniwersyteckim muzeum prof. dr hab. Joanna Rostropowicz autorka licznych artykułów i książek dotyczących życia i dokonań tego śląskiego badacza, przedstawiła jego sylwetkę w referacie pt. *Ks. Joseph Wilpert – badacz i znawca malowideł katakumbowych i*



19 XI 2014. W Muzeum UO odbyło się spotkanie poświęcone zmarłemu przed 70 laty ks. Josephowi Wilpertowi. Na zdjęciu (od lewej): dr Wanda Matwiejczuk, kierownik Muzeum UO, ks. prałat Antoni Komor, Ewa Matejka, Mariusz Hassa, ks. bp Jan Kopiec, Arnold Wilpert, ks. prałat Wolfgang Globisch, Gabriela Wilpert, Gertruda Wilpert, prof. Joanna Rostropowicz, ks. bp Rudolf Pierskała, Anna Pohl-Opala, ks. Tadeusz Słocki, Cecylia Pohl, Józef Malcharczyk

sarkofagów chrześcijańskich, przekazała także do zbiorów muzeum medal z jego wizerunkiem, autorstwa Jakuba Panitza. Referat pt. *Ks. Joseph Wilpert – Ślązak w służbie Kościoła* wygłosił ks. bp prof. dr hab. Jan Kopiec. W spotkaniu uczestniczyła m.in. rodzina ks. Wilperta, mieszkańcy Dzielowa, proboszcz tamtejszej parafii oraz pracownicy naukowcy i studenci.

- Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w spotkaniu z gen. broni Mieczysławem Bieńkiem, które odbyło się w Krakowie, a dotyczyło projektu utworzenia konsorcjum naukowo-eksperymentalnego Polski, Niemiec i Słowacji.

- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja podpisał umowę o współpracy Uniwersytetu Opolskiego z Uniwersytetem III Wieku z Kluczborka, który reprezentowały Teresa Opacka (prezes), Maria Stańska i Władysław Dziwiński

- **20 listopada.** Gościem młodzieży z Technikum Włókienniczego w Bielawie był rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

- **21 listopada.** Obradowała Rada Gospodarcza UO. Głównym tematem obrad był projekt kształcenia dualnego.

- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z prof. Jackiem Waltosiem, malarzem, rzeźbiarzem i grafikiem z krakowskiej ASP.

- **26 listopada.** W Studenckim Centrum Kultury UO odbyło się spotkanie promujące kolejny, piąty tom *Kresowej Atlantydy* rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji.

- **27 listopada.** Gościem bytomskich kresowian – w tamtejszym Centrum Kresowian – był rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

- **29 listopada.** W Warszawie, podczas uroczystej gali, wręczono tegoroczne stypendia im. Piotra Mroczyka, przyznane przez kapitułę Fundacji *Zacny Uczynek*, której członkiem jest prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Jedną z dwóch stypendystów Fundacji została Joanna Borys, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej UO (II rok studiów magisterskich).

- **1 grudnia.** Obradowała, z udziałem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji, Rada Programowa TVP Opole.

- **2 grudnia.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był gościem słuchaczy Uniwersytetu III Wieku w Gliwicach.

- **3 grudnia.** *Poniatowski i inni. Rzecz o polskiej polityce, dydaktyce i edukacji historycznej XIX i XX wieku* – to temat kolejnego spotkania w Muzeum UO, które prowadził dr Marek Białokur, historyk, nauczyciel historii.

- **4 grudnia.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w dyplomarium Wydziału Ekonomicznego.

- **5 grudnia.** Elżbieta Bieńkowska, Antoni Piechniczek i rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – to laureaci tegorocznych Nagród im. Stanisława Ligonia, które zostały wręczone podczas uroczystości w sali koncertowej Polskiego Radia Katowice. Rektor Uniwersytetu Opolskiego został nagrodzony *za upór i konsekwencję w realizacji wzgórza uniwersyteckiego w Opolu*.

Podczas XXII Zjazdu Sprawozdawczo-Wyborczego Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej wybrano nowego przewodniczącego (**Mateusz Mrozek** z Uniwersytetu Warszawskiego). Jednym z członków rady wykonawczej PSRP, najwyższego ciała kolegialnego, został przewodniczący Samorządu Studenckiego Uniwersytetu Opolskiego **Maciej Kochański**, jednocześnie obejmując funkcję szefa komisji ds. promocji i informacji.

Studencka Telewizja Uniwersytetu Opolskiego SETA zajęła drugie miejsce w konkursie ProJvenes 2014, zorganizowanym przez Parlament Studentów RP. Nagrody ProJvenes 2014 zostały wręczone w Warszawie 7 listopada br. w siedmiu kategoriach (SETĘ nagrodzono w kategorii: media studenckie). Wśród nominowanych znalazły się następujące redakcje: Niezależny Miesięcznik Studentów (Szkoły Głównej Handlowej) MAGIEL, Uniwerek.tv, Akademickie Radio Luz, Gazeta Studencka UZetka, Telewizja Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zwyciężył MAGIEL.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**
Zdjęcia: **Jarosław Mokrzycki**

Słodkie zwycięstwo

W konkursie na autorską propozycję opakowania polskiego produktu spożywczego OOPAK główną nagrodę zdobyła **Marta Wichary**, studentka II roku studiów magisterskich w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Wyróżnienie zdobyła także **Joanna**

Dyrda za projekt opakowania dla firmy Cadbury.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 4 listopada br. w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Opolu.

(b)

Opolscy fizycy w międzynarodowym zespole

Fuzja pod kontrolą

W 2005 r., kiedy Polska przystąpiła do organizacji EURATOM, zajmującej się m.in. koordynacją badań dotyczących kontrolowanej fuzji jądrowej w Europie, grupa naukowców z Max-Planck-Institut für Plasmaphysik odwiedziła nasz kraj, zachęcając polskich naukowców do udziału w projekcie *Wendelstein 7-X*. Jednym z miejsc, które odwiedzili, był Uniwersytet Opolski, a skutkiem tej wizyty była umowa, w ramach której zespół naszych fizyków zajmuje się konstrukcją specyficznego spektrometru dla stellaratora *W7-X*, o nazwie roboczej *C/O monitor for W7-X*. . Projektem kieruje **prof. dr hab. Józef Musielok**, a głównym wykonawcą jest **dr Ireneusz Książek**, który te-

stował opolskie urządzenia na środowisku plazmowym w Joint European Torus pod Londynem. W zespole są także **dr hab. Adam Baclawski**, **dr hab. Ewa Pawelec** i **inż. Tadeusz Kulig**.

W projekcie tym uczestniczą także naukowcy z Instytutu Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy w Warszawie, z Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie i z Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Świerku.

(b)

(Więcej o prowadzonych badaniach i udziale w nich naszych fizyków – w tekście Ireneusza Książka pt. *Jak wykraść bogom Słońce* na str. 60).

Uniwersytet przypięty do Europy

W sierpniu br., przy okazji nawiązywania nowych kontaktów z uczelniami na zachodzie Europy, odwiedziliśmy Schengen. Nazwę tej miejscowości znają chyba wszyscy, bo kojarzy się ze zniesieniem kontroli granicznej między dużą grupą krajów europejskich, do których w 2007 roku dołączyła Polska. Mówimy: *strefa Schengen*, *kraje Schengen* itp. A samo Schengen to niewielka wioska w Luksemburgu, w miejscu styku granic Niemiec, Francji i Luksemburga, której mer w imponujący sposób wykorzystał fakt, że w tej wiosce, a dokładnie na wodach rzeki Mozeli, w roku 1985, bez wielkich fanfar i uroczystości podpisano traktat pomiędzy rządami państw Unii Gospodarczej Beneluksu oraz Republiki Federalnej Niemiec i Republiki Francuskiej, dotyczący stopniowego znoszenia kontroli na wspólnych granicach.

Dziś Schengen przyciąga dziesiątki odwiedzających, którzy mogą oglądać muzeum związane z traktatem. Można wyrobić sobie okolicznościowy paszport ze zdjęciem i obejrzeć eksponaty, takie jak np. polska tablica informująca o zakazie przekraczania granicy. Na każdym kroku symbole europejskiej jedności. Każdy kraj strefy Schengen ma tu swoje miej-

sce i swoją symbolikę. Przedstawiciele różnych instytucji odwiedzających Schengen zwyczajowo zapinają swoją kłódkę na pomniku, a klucz wrzucają do Mozeli, aby już nieodwracalnie pozostać we wspólnej Europie. Pewnie ktoś powie, że to śmieszne i dziecinne, ale było mi miło, kiedy przypinałem do europejskiego pomnika kłódkę z napisem: *Uniwersytet Opolski*.

Janusz Słodczyk



Prorektor ds. nauki i finansów prof. Janusz Słodczyk przypina symboliczną kłódkę do pomnika w Schengen

Nagroda Bawarskiej Akademii Sztuki dla dr. hab. Daniela Pietrka

Za monografię o Bienku

Tegoroczną międzynarodową Nagrodę Poetycką im. Horsta Bienka Bawarskiej Akademii Sztuki w Monachium (Bayerische Akademie der Schönen Künste) przyznano **sir Geoffreyowi Hillowi** (w dziedzinie liryki).

Natomiast tegoroczne Nagrody Promocyjne im. Horsta Bienka Bawarskiej Akademii Sztuki w Monachium otrzymali **Tadeusz Dąbrowski** i **Daniel Pietrek**.

Dr hab. Daniel Pietrek jest pracownikiem naukowym Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Opolskiego. Nagrodę Promocyjną im. Horsta Bienka przyznano mu za monografię o Horście Bienku pt. *Ich erschreibe mich selbst. (Autor)biografisches Schreiben bei Horst Bienek* (Drezno 2012).

Nagrody Bawarskiej Akademii Sztuki należą do bardzo cenionych, przede wszystkim ze względu na prestiż przyznających je instytucji. Do Bawarskiej Akademii Sztuki należeli m.in. Wisława Szymborska i Tadeusz Różewicz, a obecnie członkiem korespondencyjnym jest Adam Zagajewski.



(b) Prof. Daniel Pietrek laureatem Nagrody Bawarskiej Akademii Sztuki

Pracownicy Instytutu Sztuki UO wśród laureatów Salonu Jesiennego 2014

Grand Prix dla Pauliny Ptaszyńskiej

Spośród pięciu nagród przyznanych na Salonie Jesiennym 2014 dwie zdobyli pracownicy Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego, absolwenci naszej uczelni. Nagrodę Marszałka Województwa Opolskiego, Grand Prix Salonu Jesiennego 2014, jury (w składzie: **prof. Leszek Misiak**, **dr hab. Zbigniew Furgaliński** i **dr Damian Pietrek**) przyznało **mgr Paulinie Ptaszyńskiej** za instalację multimedialną pt. *Wiwarium – za subtelność, nieczęsto obecną w sztuce multimedialnej i za nawiązanie do archetypu zjawiska aktu w dziejach sztuki*.

Nagrodę ZPAP Okręgu Opolskiego zdobył **mgr Ignacy Nowodworski** za zestaw prac *Transformer –*

za mocną i ekspresyjną formę, konsekwentne przygotowanie całej kompozycji i ciekawe połączenie materiałów i spójność przekazu.

Po raz pierwszy w historii Salonu przyznano również wyróżnienia. Wśród laureatów też znaleźli się pracownicy Instytutu Sztuki UO: **prof. dr hab. Marian Molenda** i **dr Wit Pichurski** z pracowni rzeźby oraz **prof. dr hab. Edward Syty** (pracownia malarstwa i rysunku).

Wernisaż i wręczenie nagród odbyło się 30 października br. w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu.

(bas)

Studentka UO w składzie jury prestiżowej nagrody

Lista Goncourtów – polski wybór

26 października br. w Krakowie, podczas 18. Międzynarodowych Targów Książki miało miejsce siedemnaste już z kolei spotkanie jury, złożonego z dwunastu studentów romanistyki z całej Polski, w celu przyznania nagrody *Lista Goncourtów* – polski wybór. Edycja 2014 była prowadzona pod honorowym przewodnictwem oraz w obecności zeszłorocznego laureata Nagrody 2013, **Frédérica Vergera**, nagrodzonego za powieść *Arden*.

Pomimo początkowej różnicy zdań, po ożywionej dyskusji, jury wybrało zwycięzcę. Został nim **David Foenkino** – za powieść *Charlotte*. Przedstawiciele polskich uniwersytetów byli zachwyceni oryginalnością formy tej powieści, która rzuca nowe spojrzenie na temat często poruszany w literaturze. Wzbudzone przez nią emocje są dalekie od martyrologii, a subtelność i delikatność stylu pobudzają wyobraźnię i skłaniają czytelnika do refleksji, jednocześnie ukazując sztukę tworzoną przez Charlotte. Jury doceniło także fakt, że autor był do tego stopnia zafascynowany historią autentycznej bohaterki, że wręcz *przywrócił ją do życia*.

Powieść ukazuje życie Charlotte Salomon, malarki, która umiera w wieku 26 lat, będąc w ciąży. Po dzieciństwie spędzonym w Berlinie i przeżyciu rodzinnej

tragedii, Charlotte jest stopniowo wykluczana przez nazistów ze społeczeństwa niemieckiego. Przeżywa pierwszą szaloną miłość, jednakże porzuca wszystko, by schronić się we Francji. Tam, na wygnaniu, oddaje się pracy artystycznej. W obliczu zagrażającego jej niebezpieczeństwa, Charlotte powierza wszystkie swoje autobiograficzne prace swojemu lekarzowi ze słowami: *Oto całe moje życie*.

Jury było bardzo podzielone przy wyborze drugiego laureata. Ostatecznie drugie miejsce zajęły *ex aequo* powieści: *L'amour et les forêts* oraz *L'ordinateur du paradis*. Obie książki poruszają tematy ważne dla współczesnego świata.

Nazwisko tegorocznego laureata zostało oficjalnie ogłoszone w niedzielę 26 października, po tradycyjnym obiedzie w krakowskiej restauracji Cyrano de Bergerac, podczas konferencji prasowej zorganizowanej w ramach Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada.

Reprezentowanie Uniwersytetu Opolskiego podczas tego spotkania było dla mnie niezapomnianym wydarzeniem, jak również okazją poznania ciekawych osób i możliwością zdobycia cennego doświadczenia.

Zuzanna Jałowy



Obrady jury. Pierwszy z prawej – Frédéric Verger, honorowy przewodniczący jury, laureat poprzedniej edycji konkursu. Pierwsza z lewej – Zuzanna Jałowy

Doktorzy honorowi UO:

o. prof. Waław Hryniewicz i o. prof. Stanisław C. Napiórkowski

Honory dla ludzi dialogu

Jeszcze nigdy dotąd w Auli Błękitnej Collegium Marius UO nie było tak ekumenicznie, jak 24 października br. Miejsca na sali zajęli bowiem: ksiądz archimandryta **Jan Sergiusz Gajek**, zwierzchnik Kościoła katolickiego obrządku bizantyjsko-białoruskiego, wizytator apostolski Kościołów greckokatolickich na Białorusi; **ks. bp Marian Niemiec**, biskup diecezji katowickiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce, **ks. prof. Andrej Filippek** i **ks. prof. Miloš Lichner** z Uniwersytetu Trnawskiego, **o. dr Antoni Boehm**, prowincjał polskiej prowincji Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, **o. Wiesław Pyzio**, przełożony warszawskiej prowincji Matki Bożej Niepokalanej Zakonu Braci Mniejszych Konwentalnych, a także **ks. abp prof. Alfons Nossol**, **ks. bp Gerard Kusz** z diecezji gliwickiej, **ks. dr Piotr Nikowski** – proboszcz parafii prawosławnej św. Mikołaja w Świdnicy, **ks. Marcin Czerepak** – proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. Miłosierdzia Bożego w Brzegu oraz przedstawiciele Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – **prof. Marek Chmielewski** i **ks. prof. Sławomir Pawłowski**, Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej – **prof. Tadeusz J. Zieliński** i **prof. Włodzimierz Wołoskiuk** oraz Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu – **o. prof. Piotr Liszka** z Prowincji Polskiej Misjonarzy Klaretynów.

„Ekumeniczni” byli nie tylko goście, ale i bohaterowie tej uroczystości: **o. prof. Waław Hryniewicz** ze Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, ekumenista, ekspert w dziedzinie teologii prawosławnej, głosiciel nadziei powszechnego zbawienia oraz **o. Stanisław Celestyn Napiórkowski**, franciszkanin, ekumenista, zajmujący się także dogmatyką i teologią. Obaj – profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Recenzentami dorobku ojca prof. Waława Hryniewicza byli: **ks. prof. Łukasz Kamykowski** z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie i **ks. prof. Roman Rogowski** z Papieskiego Wydziału Teo-

logicznego we Wrocławiu. Recenzentami dokonań ojca prof. Stanisława C. Napiórkowskiego – **prof. Karol Karski** z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie i **ks. prof. Jerzy Szymik** z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Laudacje wygłosili: **ks. prof. Piotr Jaskóła**, promotor w przewodzie doktorskim *honoris causa* o. prof. Waława Hryniewicza, którego jest uczniem, oraz **ks. bp prof. Andrzej Czaja**, promotor w przewodzie doktorskim *honoris causa* Stanisława C. Napiórkowskiego.

W obecności senatorów oraz byłych rektorów naszej uczelni (profesorowie: **Jerzy Pośpiech**, **Franciszek Marek** i **Józef Musielok**), rektor prof. Stanisław S. Nicieja i dziekan Wydziału Teologicznego UO ks. prof. Tadeusz Dola wręczyli obu doktorom honorowym Uniwersytetu Opolskiego dyplomy, będące symbolem przyznania im tej najwyższej godności akademickiej, po czym z życzeniami pospieszyli goście uroczystości, a wśród nich ks. abp Alfons Nossol, który zauważył, jak silne związki łączą obu uhonorowanych duchownych z opolską teologią: sam jest tego najlepszym przykładem, bo razem studiowali w Lublinie: – A młodszy koledzy, obecni wykładowcy opolskiego Wydziału Teologicznego to uczniowie naszych doktorów honorowych.

Rasowy człowiek dialogu – takimi słowami ks. abp prof. Alfons Nossol scharakteryzował o. prof. Waława Hryniewicza, podkreślając, że to za jego sprawą dialog między Kościołami rzymskokatolickim i prawosławnym nie został przerwany: – Pamiętam, w Munchen, podczas posiedzenia Międzynarodowej Komisji Mieszanej ds. Dialogu Teologicznego między Kościołem rzymskokatolickim i Kościołem prawosławnym, strona prawosławna już chciała porzucić uczestnictwo w dialogu, tracili cierpliwość, bo strona katolicka interpretowała wszystko bardzo jednostronnie. Wtedy dialog został uratowany właśnie przez Waława. Kiedy Hryniewicz zaczął bronić prawosławia, jeden z katolickich członków naszej komisji, jezuita amerykański, wybit-

O. prof. Waław Hryniewicz OMI to znany polski ekumenista, głosiciel nadziei powszechnego zbawienia. Od 1984 jest profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II; współtworzył tam Instytut Ekumeniczny, którym także kierował. Przez wiele lat był kierownikiem Katedry Teologii Prawosławnej w tym Instytucie, a także konsultorem Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan w Watykanie (1979–1984), członkiem Komisji Episkopatu Polski ds. Ekumenizmu, Międzynarodowej Komisji Mieszanej ds. Dialogu Teologicznego między Kościołem Rzymskokatolickim i Kościołem Prawosławnym.



Aula Błękitna Collegium Maius UO była w tym dniu bardzo ekumeniczna

ny znawca teologii ekumenicznej, zaczął krzyknąć: „Hryniewicz, *quiet!*”. Ale Hryniewicz nie był *quiet*, argumentował do końca. I uratował ten prawosławno-katolicki dialog.

Ks. abp prof. Alfons Nossol przyznał, że on z kolei bronił – na forum Episkopatu Polski – ojca Hryniewicza, gdy uznano go niemal za zdrajcę, bo głosi nadzieję powszechnego zbawienia. – Argumentowałem: nie można nikomu narzucić granic co do jego nadziei... A teraz drugi nasz doktor honorowy, mój przyjaciel Celestyn – piekielnie krytyczna istota! Twórczo krytyczna. Nie boi się mówić prawdy, czasem dość smętnej. Znanca teologii protestantyzmu, istota zawadiacka. Chwyta się problemów, o których z góry wiadomo, że nie będzie można ich rozwiązać. Ale on je gryzie, gryzie, a czasem i przegryza! Polska teologia wiele mu zawdzięcza.

Wdzięczność za dążenie do dialogu wyraził obu doktorom honorowym ks. archimandryta Jan Sergiusz Gajek, zwierzchnik Kościoła katolickiego obrządku bi-

zantyjsko-białoruskiego, również ich uczeń: – O tym dążeniu do dialogu świadczy nie tylko ich twórczość, która jest znana także na Białorusi, Ukrainie, w Rosji, na Słowacji i w Czechach, ale przede wszystkim ich postawa życiowa. To im zawdzięczamy *podwиг* myśli teologicznej w Europie Środkowej i Wschodniej.

Grzech przeciwko Duchowi Świętemu a ekumenia – tak brzmiał tytuł wykładu o. prof. Wacława Hryniewicza, w którym rozważał także powody przypisywania Bogu okrucieństwa, cechy będącej w sprzeczności z przesłaniem o jego bezwarunkowej miłości.

– W ciągu ponad czterdziestu lat oddanych ekumenii dana mi była łaska uczestnictwa w trudnym procesie dialogu między Kościołami. Dialog żyje nadzieją na pojednanie. Ekumenia stanowi dobroczynną terapię na nasze wyznaniowe zacieśnienia i partykularyzmy. Na tej właśnie ekumenicznej drodze odkryłem także nadzieję najśmielszą – nadzieję zbawienia dla wszystkich. Cieszę się, że dana mi została łaska odnalezienia swojej drogi na rozległym polu teologii. Teolog powi-

O. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski, franciszkanin, mariolog, ekumenista, od 1983 jest profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II; był kierownikiem Katedry Mariologii i kuratorem I Katedry Teologii Dogmatycznej oraz współpracownikiem Instytutu Ekumenicznego KUL (także jego dyrektorem). Jest założycielem Fundacji im. Cyryla i Metodego, członkiem Wspólnej Komisji Dialogu Lutersko-Rzymskokatolickiego na forum światowym. Był członkiem Komisji Episkopatu Polski ds. Ekumenizmu, Komisji Dialogu Episkopatu Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce i Polskiej Rady Ekumenicznej.



Na zdjęciu (od lewej): ks. prof. Tadeusz Dola, dziekan Wydziału Teologicznego, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, ks. bp prof. Andrzej Czaja i ks. prof. Piotr Jaskóła, laudator w przewodzie doktorskim o. prof. Wacława Hryniewicza

nien odznaczać się wyrazistym obliczem. Moja droga to moja przygoda z nadzieją – kochaną i dobroczynną nadzieją. Nie przeczuwałem, że powiedzie mnie ona tak daleko w nieznaną; że wraz z upływem lat przyjdzie mi stać się głosicielem wielowiekowej idei uniwersalizmu nadziei powszechnego zbawienia (...). Nadzieja to cnota najskromniejsza w teologicznym tryptyku. Nauczyłem się cenić ją jak wielką mądrość – mądrość uważną i skromną, pełną zdumienia i podziwu dla niezbadanych dróg Boga miłującego ludzi. Dzieliłem się nią w ciągu wielu lat, często narażając się na oskarżenia o herezję i protesty. Nie rozstanę się z tą nadzieją również w dzisiejszym medytatywnym wykładzie. Chcę poświęcić jej kilka refleksji, ale w ramach kwestii tzw. grzechu przeciwko Duchowi Świętemu. Nie jest to temat bez znaczenia także dla ekumenii (...).

– Brak zrozumienia żydowskiej tradycji prorockiej może wypaczać najbardziej istotne aspekty nauki Jezusa. Dla wielu chrześcijan, zwłaszcza tych, którzy wierzą w nieomylną literę Pisma, paradoksalne powiedzenia Jezusa stanowią trudność nie do przezwyciężenia. Właśnie z powodu językowych paradoksów zadaje się gwałt tekstom biblijnym. Literaliści zapominają o retorycznym stylu mowy prorockiej i traktują

eschatologiczne ostrzeżenia Ewangelii w sposób dosłowny. Tymczasem biblijne błogosławieństwa i słowa „biada”, lamenty i hiperbole wymagają głębszego namysłu. Do dzisiaj brak jest często zrozumienia dla apokaliptycznych nawoływań do przemiany sposobu myślenia i życia. Nauczanie Jezusa budzi niepokój, niedowierzenie i niezrozumienie. Tymczasem nie ma sprzeczności pomiędzy biblijną konwencją gróźb i ostrzeżeń a rzeczywistym przesłaniem Dobrej Nowiny o bezwarunkowej miłości Boga. Dotyczy to w szcze-



O. prof. Wacław Hryniewicz (z lewej) z prof. Karolem Karskim

gólny sposób słów Nazarejczyka o przebaczeniu grzechów i wydarzeń ostatecznych (...). Wyznaczać granice miłości Boga – to absurdalna zuchwałość, po ludzku wręcz niewybaczalna. Dlatego właśnie Jezus posługuje się paradoksalnym i dramatycznym zwrotem, kiedy mówi: *Jeśli zaś nie przebaczycie ludziom, to i wasz Ojciec nie przebaczy wam przewinień* (Mt 6,15). Odwołanie się do katastroficznego obrazu przyszłości, ostrzeżenia i groźby mają cel pedagogiczny i terapeutyczny. Wzywają w imieniu Boga do zmiany postępowania, do nawrócenia już teraz, bo to chwila najbardziej odpowiednia. Bóg pragnie, abyśmy nie żyli we wzajemnej złości i wrogości. Dlatego nieustannie wzywa do przebaczenia.

– Nie rozumiejąc tych spraw, niesłusznie oskarża się Boga o okrucieństwo wobec grzesznych ludzi. Orientalny sposób myślenia nie pozwala na dosłowny sposób rozumienia słów Jezusa. Doktryna o bezbłędnej literze Biblii prowadzi do nieprzewycięzalnych trudności właśnie dlatego, że nie liczy się z kontekstem kulturowym. Jezus używa słów, których nie należy rozumieć dosłownie, gdyż są w

swej formie ze sobą sprzeczne. Człowiek Biblii, posługując się żywą gestykulacją, mnożył metafory, używał zwrotów przesadnych i dramatycznych, aby wzbudzić w słuchaczu jak najmocniejsze wrażenie. Nieznana mu była troska o ścisłą informację naukową. Słuchacz powinien odczuć, co mówiący chce mu powiedzieć. Ważny jest przede wszystkim sam cel wypowiedzi.



O. prof. Stanisław C. Napiórkowski (z prawej) z recenzentem ks. Łukaszem Kamińskim



Na zdjęciu (od prawej): o. prof. Wacław Hryniwicz, ks. bp prof. Andrzej Czaja, ks. prof. Piotr Jaskóła, ks. prof. Tadeusz Dola i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja



Dr honoris causa Uniwersytetu Opolskiego o. prof. Wacław Hryniewicz



Dr honoris causa Uniwersytetu Opolskiego o. prof. Stanisław C. Napiórkowski



Z gratulacjami pospieszył ks. abp Alfons Nossol

Nie wolno zatrzymać się przy sprzecznościach na powierzchni samego tekstu i stylu retorycznego. Historia wymownie świadczy o tym, że sprzeczności te często wprowadzały w błąd komentatorów biblijnych.

– Jak inaczej rozumieć paradoksalne twierdzenie, że Bóg zawsze przebacza, ale nie przebaczy odmowy przebaczenia ze strony człowieka? W tej paradoksalności dopatrzeć się można nawet pewnego odcienia humorystycznego: jeśli nie będziemy naśladować Boga w Jego dobroci i miłosierdziu (por. Mt 5,48; Łk 6,36), to Bóg będzie naśladować nas w naszej złości i naszym gniewie. Jeżeli ludzie nie będą naśladować Boga w gotowości przebaczenia innym zawsze i wszędzie, to Bóg ze swej strony będzie naśladował ludzi i nie będzie im przebaczał niektórych grzechów. Jest to ostrzeżenie, którego humorystyczny wydzwitek przypomina absurdalne zalecenie, aby *umarłym zostawić grzebanie ich umarłych* (por. Ewangelia Galilejska Q 9,60; Mt 8,22). Trzeba wsłuchać się w tego rodzaju słowa w ich własnym kontekście kulturowym. Inaczej nie da się przekroczyć barier między odległymi kulturami (...).

– Jesteśmy dziećmi innej epoki, dziećmi swojego czasu. Świadomość naszą kształtuje tradycja racjonalności, empiryzmu i zaufania do nauki. Przywykliśmy do faktu, że kultura zachodnia kładzie nacisk na ścisłość, logikę myślenia, wolność od sprzeczności, unikanie przesady i obiektywizm twierdzeń. Nie były to



Pamiętkowe zdjęcie z nowym doktorem honoris causa UO o. prof. Stanisławem C. Napiórkowskim

wartości, które kształtowała kultura proroków, sięgająca także do czasów Jezusa. W tym świetle inaczej rozumieć należy odwieczny problem grzechu przeciwko Duchowi Świętemu, do dzisiaj nękający świadomość wielu wierzących (...).

Nie ma grzechów niewybaczalnych! Nie ma wiecznego chybienia celu, pobłędzenia, przewinienia, zgrzeszenia. Jeśli Bóg ma być w końcu *wszystkim we wszystkich* (1 Kor 15,28), to wszelki grzech wcześniej czy później musi zostać przewycięzony i usunięty z dziejów stworzenia. Kto w swoim uporze odrzuca Boską ofertę pojednania, doświadczy Jego miłości i dobroci jako oczyszczającego ognia. To bolesne doświadczenie będzie dla niego karą i środkiem poprawczym. Bóg ani w tym wieku, ani w mającym przyjść nie anuluje tej zbawiennej kary, czyli nie przebaczy w sensie aktu taniaj amnestii. Trzeba ją będzie ponieść i w ten sposób przeżyć do końca konsekwencje swojej winy. Nie jest to wszakże kara dla samej kary, lecz uzdrawiająca kara ku poprawie.

Swój wykład o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski poświęcił 25 doktorom, którzy pod jego kierunkiem obronili rozprawy z zakresu ekumenizmu: w Instytucie Ekumenicznym, w I Katedrze Teologii Dogmatycznej oraz w Katedrze Mariologii. Pierwszym z nich (obrona w 1982 r.) był ks. prof. Piotr Jaskóła, obecny dyrektor Instytutu Ekumenizmu i Badań nad Integracją Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, *pionier wiedzy o anglikanizmie w Polsce*:

– Zanim narodził się na KUL Instytut Ekumeniczny (1983), już tam studiowało dwu dobrze zapowiadających się studentów: ks. Stanisław Józef Koza, przemysłida, i ks. Piotr Jaskóła, opolczyk. Matka Uczelnia poleciła im zaliczyć u Napiórkowskiego wykład *Historia ruchu ekumenicznego*. Profesor nie był specjalistą w tym temacie; zielony, raczkujący ekumenista sam musiał pracować w pocie czoła, by o kilka kroków wyprzedzić studentów, nadto nie radził sobie ze wszystkimi zajęciami. Poszedł na koniecznościową łatwiznę. Wprowadził młody duet w problematykę oraz w literaturę przedmiotu i powiedział: *Kochani, koniec z wykładami! Nie pokazujcie mi się tu więcej na oczy. Do zaliczenia przydźwigacie obszerną kronikę ruchu ekumenicznego. Wystudiujecie i napiszecie*. Tak się też stało. Z uznaniem, z podziwem i radością przeczytałem elaborat Piotra i Stanisława. Dołożyłem trochę swoich tekstów o dialogach ekumenicznych. Redakcja Wydawnictw KUL opublikowała nasze trio pt. *Na drogach do jedności* (Lublin 1983). 1000 egzemplarzy zasiliło polski rynek ekumeniczny pozostający wyraźnie na dorobku. Książka dotąd stanowi ważny element warsztatu ekumenistów.

– Dopiero trzy lata później ukazała się rozprawa doktorska księdza Piotra o chrystologii Robinsona. Tą publikacją ksiądz Jaskóła, jako pierwszy w dziejach, szerzej przed Polską otwierał drzwi w świat teologii anglikańskiej. Obecnie mamy znakomitego anglikanistę, dyrektora Instytutu Ekumenicznego KUL, ks. prof.

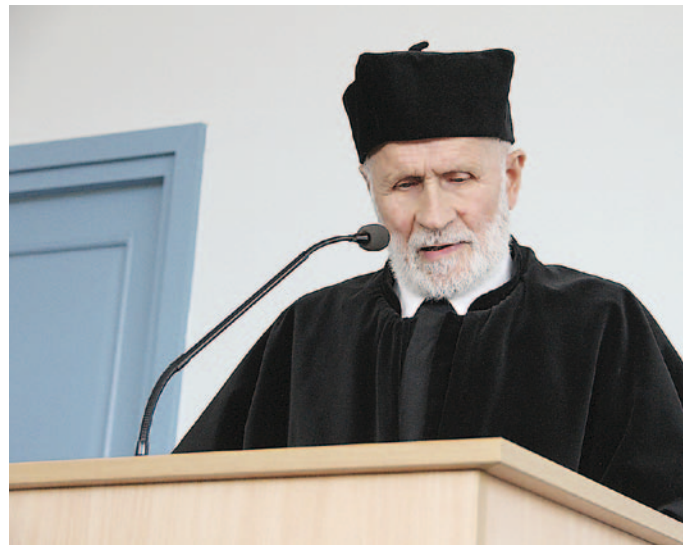
Mirosława Kantykę, także ks. prof. Nowosada, prorektora KUL (doktorat i habilitacja z teologii moralnej anglikanizmu). Narodzony w 1983 roku Instytut Ekumeniczny KUL utworzył serię wydawniczą pt. *Jeden Pan, jedna wiara. Studia i rozprawy Instytutu Ekumenicznego KUL*. Redaktorów serii było trzech: Nossol, Hryniewicz, Napiórkowski. Odzwierciedleniem serii był jeden: Jaskółka ze swoją doktorską rozprawą o anglikańskim Bogu Robinsona. Znaczący precedens.

To nie był jedyny opolski wątek wykładu o. prof. Stanisława Celestyna Napiórkowskiego. Opolo pojawiło się także we fragmencie dotyczącym kolejnego doktora – Wojciecha Życińskiego, salezjanina związanego z Papieską Akademią Teologiczną w Krakowie (w latach 2000–2006 był jej prorektorem), a to za sprawą ks. bpa Alfonsa Nossola, recenzenta jego pracy doktorskiej: – Reformacja oskarżała Kościół katolicki, że w swojej mariologii zniekształca nauczanie Kościoła pierwotnego. Zarzut ten gwałtownie podnosiła po ogłoszeniu dogmatu o niepokalanym poczęciu. Najjaśniejszą gwiazdą anglikanizmu pod koniec XIX wieku, John Newman, odwołując się do dziejów teologii, skonstruował teorię rozwoju doktryny chrześcijańskiej i wykazał, że rozwój mariologii katolickiej znajduje uzasadnienie w tej doktrynie. Stwierdziwszy to, Newman przeszedł na katolicyzm, szokując anglikanizm i protestantyzm. Życiński pięknie to Polsce ukazał. Dał polskiej teologii Newmana, wielkiego inżyniera rozwoju doktryny chrześcijańskiej.

– Jan Paweł II uruchomił proces beatyfikacyjny Newmana. Beatyfikacji dokonał Benedykt XVI w czasie swojej pielgrzymki na Wyspy Brytyjskie w 2010 roku. Zapowiedź beatyfikacji dokonała cudu wskrzeszenia. Wojtkowy Newman wyszedł z grobu KULowskiego Archiwum. Autor szybko pracę uzupełnił, a Katedra Mariologii KUL opublikowała (po 25 latach!). Wydarzenie ekumeniczne sporej rangi, gdyż Kościół



Swój wykład o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski poświęcił 25 doktorom, którzy pod jego kierunkiem obronili rozprawy z zakresu ekumenizmu



Grzech przeciwko Duchowi Świętemu a ekumenia – tak brzmiał tytuł wykładu o. prof. Wacława Hryniewicza

nasz wciąż słyszy zarzuty ze strony braci z innych Kościołów, że w mariologii wynajdujemy nowości, zdradzając wielką tradycję. Ks. bp A. Nossol jako recenzent rozprawy Życińskiego w ostatnim słowie swego werdyktu napisał, że praca *odślania bogactwo i głębię mariologicznej myśli pioniera ruchu ekumenicznego, co może się dobrze przysłużyć zarówno poszukującej polskiej mariologii, jak też i młodej myśli ekumenicznej*.

Kolejnym, związanym z naszym miastem, bohaterem wykładu był Zbigniew Danielewicz: – Nie udało się Zbyszkowi zakotwiczyć na jakimkolwiek wydziale teologii, choć bardzo tego pragnął i w tym celu zrobił tutaj, w Opolu, habilitację z Jürgena Moltmanna, ale nie żałuje zainwestowania wielu lat życia w teologię i ekumenizm. Nie pracuje na żadnym wydziale teologicznym, a jednak stał się najwybitniejszych eschatologiem polskim z otwarciem w stronę protestantyzmu. Profesor Wyższej Szkoły Morskiej w Koszalinie. Można dyskutować, czy badania nad teologią adwentystów i świadków Jehowy to nie ekumenizm, włączam jednak rozprawę Danielewicza do serii doktoratów ekumenicznych z racji ducha ekumenicznego, którym odycha ta książka.

Prezentację 25 sylwetek *swoich doktorów* o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski zakończył słowami: – Większość tych autorów po doktoratach jasnym światłem świeciła i świeci na niebie naszej teologii: Jaskółka, Życiński, Cupiał, Czackowska, Danielewicz, Kowalik, Majewski, Obarski, Pawłowski, Pieniek, Marcura, Wojtkowski, Waluś, Zembrzuski.

O oprawę muzyczną uroczystości zadbał Chór Diecezjalny Instytutu Muzyki Kościelnej w Opolu pod dyktando **Tadeusza Eckerta**.

Barbara Stankiewicz
Fot. **Jarosław Mokrzycki**

Tadeusz Dola

Moc truchleje

Wspomnienie świąt Bożego Narodzenia przynosi wielu w czas dzieciństwa, przywołuje atmosferę ciepła rodzinnego domu, odnawia w pamięci barwne i bogate tradycje, które kojarzą się z radosnym przeżywaniem świątecznych dni. Przed oczyma wyobraźni pojawia się stół zastawiony wigilijnymi potrawami, opłatek, którym łamiemy się z najbliższymi, choinka ubrana w kolorowe ozdoby, pod nią stajenka i prezenty; odzywają w uszach kolędy śpiewane w rodzinnym gronie; wreszcie droga do kościoła na pasterkę – mszę św. bożonarodzeniową. Zachowywanie zwyczajów świątecznych nie u wszystkich wiąże się z głębszą refleksją nad ich znaczeniem. Wystarczy, że dzięki nim obecna staje się w domu atmosfera rodzinnego ciepła, większej wzajemnej życzliwości i serdeczności. Słyszysz się dziś nieraz o magii świąt Bożego Narodzenia, choć nie bardzo wiadomo, na czym miałyby polegać ich magicz-



Pokłon mędrców, autor nieznany, fragment skrzydła gotyckiego tryptyku (ze zbiorów Muzeum Diecezjalnego w Opolu)

ność. Może magiczną moc przypisuje się kolorowym światełkom wieszanym już nie tylko na choinkach, ale też w oknach, na latarniach ulicznych, na domach; może bombkom błyszczącym na choinkach rozstawianych już na wiele dni przed świętami w sklepach, bankach, urzędach, na ulicach; a może melodiom amerykańskich piosenek świątecznych atakujących uszy kupujących prezenty w supermarketach.

Bywa jednak, że ktoś postawi sobie czasem pytanie o sens świątecznych zwyczajów, czy idąc dalej, o treść świąt Bożego Narodzenia, do których się te zwyczaje odnoszą. Być może przywoła wtedy w pamięci długie wieczory świąteczne sprzed lat, kiedy rodzice, a częściej dziadkowie, snuli opowieści na przykład o choince, stojącej w domu w najważniejszym miejscu, oświetlonej lampkami i błyszczącej ozdobami. Mimo zimowej martwoty, choinka jest zielona, a przez to wydaje się żywa. Drzewa, które straciły liście, robią wrażenie smutnych i martwych. Tymczasem choinka swymi pachnącymi zielonymi igłami napędza dom życiem, a kiedy w wigilijny wieczór zabłyśnie światłami, symbolicznie wprowadza do domu nowo narodzonego Chrystusa, który napędza chrześcijanina radością nowego życia przychodzącego na świat i rozświetlającego nadzieją drogi jego życia. Ta i podobne opowieści związane z świątecznymi tradycjami sięgają korzeniami do ewangelijnych relacji o narodzeniu Jezusa w Betlejem i z nich czerpią natchnienie.

Ewangelista, opisując przyjście Jezusa na świat, patrzeli na Niego z perspektywy całego Jego życia, zwłaszcza krzyżowej śmierci i zmartwychwstania. Tylko takie spojrzenie pozwoliło im dostrzec niezwykłość tych narodzin i pisać o tajemniczych, trudnych do wytłumaczenia zdarzeniach, które tym narodzinom towarzyszyły. Dla ewangelistów nowo narodzony Jezus nie jest dzieckiem takim, jak wszystkie inne. Jest On wypełnieniem oczekiwań wielu pokoleń Żydów na przyjście Mesjasza, Syna Boga żywego, który uwolni ludzi od zła i doprowadzi ich do pojednania z Bogiem, Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba. Zanim powstało w ewangelistach, w uczniach Jezusa to przekonanie, musieli przejść długą i mozolną drogę. Teksty ewangelii podpowiadają, że towarzysząc Jezusowi w czasie Jego publicznej działalności, stawali wiele razy przez pytaniem, kim jest ten syn cieśli z Nazaretu, który zadziwia tłumy swymi naukami, czyni niezwykle znaki, a jednocześnie odrzucany jest przez religijnych przywódców żydowskich i kończy życie haniebną śmiercią na krzyżu, ponosząc w przekonaniu wielu całkowitą życiową klęskę. Jezus był nieustanną zagadką nie tylko

dla uczniów. Intrygował, czasem zaciekał, a czasem niepokoił wielu. Przed pytaniem o Jego tożsamość stają bardzo różni ludzie. Zastanawia się nad tym pytaniem faryzeusz i dostojnik żydowski Nikodem, który przychodzi na rozmowy z Jezusem pod osłoną nocy. Stawia je sobie Jan Chrzyciel, który uwięziony przez Heroda, wysłał z więzienia swych uczniów do Jezusa zapytaniem: „Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego mamy oczekiwać?” Nikodem, Jan Chrzyciel, którzy byli Żydami, usiłują dociec, czy Jezus, jako pochodzący z Nazaretu żydowski rabbi, jest rzeczywiście zapowiadany przez proroków Mesjaszem. W całkowicie innym sensie Jezus był zagadkową postacią dla Piłata, wykształconego racjonalisty rzymskiego, który znany był z pogardy dla Żydów i ich religii. Wydaje się, że początkowo Jezus przyprowadzony do Piłata przez starszyznę żydowską był dla niego po prostu jednym z wielu Żydów, którego musiał osądzić. Jednak rutynowe przesłuchanie przybrało kształt dialogu, w którym coraz wyraźniej nie oskarżony, ale sędzia staje przed trudnymi pytaniami, wprawiającymi go w zdziwienie i zakłopotanie do tego stopnia, że z sędziego przemienił się w adwokata, broniącego Jezusa przed żydowskimi przywódcami religijnymi i tłumem domagającym się Jego śmierci. Przyczyną zmiany w postawie Piłata zdaje się być niepewność co do słuszności wysuwanych przeciw Jezusowi oskarżeń, ale ostatecznie – co do tego, kim właściwie jest ten rabbi z Nazaretu, który przyznaje się, że jest królem żydowskim. Wypowiedział ją w pytaniu: „Skąd ty jesteś?”. A kontekst postawionego pytania pozwala sądzić, że nie chodzi o pochodzenie Jezusa z galilejskiego Nazaretu. Można w pytaniu widzieć nawiązanie do początku rozmowy, w którym Jezus mówi o sobie, że jego królestwo nie jest z tego świata. Pytanie: „Skąd ty jesteś?” Jezus pozostawia bez jednoznacznej odpowiedzi. Zapisane w Janowej ewangelii (19,9) powraca nieustannie w każdym, kto zada sobie trud przyjrzenia się Jego postaci, Jego życiu, wnikięcia w treść głoszonej przez Niego nauki.

Na przestrzeni prawie dwóch tysięcy lat od śmierci Jezusa znajdowało ono różne odpowiedzi, począwszy od tej, którą dali uczniowie, mówiąc, że Jezus jest z wysoka, przyszedł od Boga, jest Jego Synem i Zbawicielem świata, aż po stwierdzenie, że pochodzi od Belzebuba, szatana, dlatego należy wykreślić go z ludzkich dziejów. Ale były też odpowiedzi oscylujące pomiędzy tymi dwoma. Na przykład odpowiedzi tych, dla których postać Jezusa jest intrygująca, nawet fascynująca, ale uznać, że Jezus był Synem Bożym, Bogiem, to zbyt trudne, zbyt ryzykowne, pozostające na samej granicy trzeźwego racjonalizmu, bądź też – według wielu – tę granicę przekraczające. Kilka tygodni temu pojawiła się w księgarniach książka Leszka Kołakowskiego *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny* (Kraków 2014). Znany filozof pisze tam o Jezusie z Nazaretu tak: „Czy był Bogiem? Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On” (s. 12). Niektórzy dzielą pogląd Kołakow-

skiego i pozostawiają w zawieszeniu sąd o boskim pochodzeniu Jezusa. Szymon Piotr, uczeń Jezusa, odważa się postąpić krok dalej. Wypowiada wobec Mistrza wyznanie: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Utożsamienie się z tym wyznaniem jest trudne nie tylko ze względu na niemożność jego niepodważalnego uzasadnienia, ale także dlatego, że potraktowanie go z pełną powagą i konsekwencją wymaga nieraz radykalnego przewartościowania życia.

Na to trudne wyznanie próbuje się zdobyć każdy chrześcijanin. Z jego perspektywy spogląda na całe życie Jezusa. Jeśli uzna, że Jezus jest Bogiem, możliwe do zaakceptowania stają się wypowiedzi Jezusa i wydarzenia z Jego życia wykraczające poza naturalny bieg zdarzeń. Nie budzą więc też sprzeciwu ewangelijne opisy narodzenia Jezusa zawierające m.in. relację pokłonu pasterzy, którzy odkrywają w tym niezwykłym dziecku oczekiwanego przez Żydów Zbawiciela, czy scenę pokłonu mędrców, których gwiazda przyprowadziła do nowo narodzonego króla żydowskiego. Zgodzić się też można w pełni na ułożony przez Franciszka Karpińskiego tekst kolędy *Bóg się rodzi*. Wiersz ujęty w schemat paradoksów pokazuje, jak w Jezusie spotykają się z sobą rzeczywistości, które są nie do pogodzenia z myśleniem czysto racjonalnym, zamykającym się na to, co nie w pełni pojmowalne dla rozumu. Bo jak można mówić, że Bóg przekraczający nieskończenie ramy historii i ludzkich dziejów rodzi się i staje się człowiekiem, że „truchleje” nieograniczona „moc” Boga, „krzepnie” nieskrępowany w ruchu płomień ognia, blask staje się ciemnością, a „Nieskończony ma granice”...? Paradoksy te jest w stanie zaakceptować jedynie ktoś, kto uzna istnienie Boga, który swą wielkością, mądrością wyrasta ponad najgenialniejsze nawet konstrukcje ludzkiego umysłu. Tym samym wierzy w Boga, który nie jest stworzony przez człowieka na jego własny obraz i podobieństwo, ale okazuje się nieogarniony dla ludzkiej myśli. Jest Kimś, Kto pozwala się poznać, Kogo można przeniknąć rozumem, ale tylko do pewnych granic. W tym sensie Bóg jest ludzki, co w sposób wyjątkowy objawia się w Jezusie Chrystusie. Jednocześnie ten sam Bóg pozostaje w swej nieskończoności zakryty dla człowieka. W proroczej wizji Izajasza wypowiada to słowami samego Boga: „...myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami, mówi Pan. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje nad waszymi drogami i myśli moje nad myślami waszymi” (Iz 55,8-9). Boski geniusz objawił się w sposób szczególnie w niepojętej dla człowieka decyzji wejścia w ludzki świat i przyjęcia ludzkiej egzystencji z wszystkimi jej radościami, ale też troskami, uciążliwościami aż po śmierć. W Jezusie Bóg stał się jednym z nas. A chrześcijanin wierzy, że Bóg wszedł w ludzki świat po to, by kiedyś każdy człowiek mógł stać się uczestnikiem niezmiernego szczęścia w boskim świecie.

O pożytkach ze smutku

Z dr Anną Małczyńską rozmawia Marian Buchowski

– Zbliżające się Boże Narodzenie to pora pogodnego nastroju, wszędzie słyhać życzenia „wesolych świąt”. Ale niedługo po grudniowych świątach kończy się kolejny rok, a upływ czasu skłania do zadumy, do refleksji podszytej niekiedy smutkiem... Podobno ludzie pogodni realizują się w działaniu, w czynach, a tylko osobniki smutne lubią i potrafią nieustannie rozmyślać. Ponoć smutasy myślą częściej i głębiej. Tetmajer napisał, że „Melancholia jest ojczyzną myśli”, a Wiktor Hugo wymyślił zdanie: „Melancholia to szczęście bycia smutnym”. Co to jest ta melancholia? Kto i kiedy ją „wynałazł”?

– Za twórcę terminu „melancholia” uważa się Hipokratesa, który w V wieku przed Chrystusem uznał, że pełne smutku i zniechęcenia stany duszy, mogące prowadzić do obłądzenia, a nawet śmierci, są powodowane zaburzeniami czarnej żółci (gr. μέλαινα χολή, ‘melaina chole’), jednego z płynów krążących w organizmie człowieka. Ale o melancholijnych stanach duszy, nienazywanych jeszcze w ten sposób, pisano przed Hipokratesem. Wspominał o nich już Homer w „Iliadzie”, analizując zachowanie Bellerofonta pogrążonego w smutku. Za sprawą Hipokratesa melancholię wiązano więc z czarną żółcią, której nikt nigdy nie widział, a mimo to jej legenda oddziaływała na wyobraźnię człowieka przez ponad dwa tysiące lat. Tak długo wierzono, że ta gęsta, a nawet żrąca substancja, może zwiększać swą objętość, rozlewać się poza przypisane sobie obszary, ulegać zapaleniu i zepsuciu, powodując zachwianie równowagi organicznej i związane z tym stany patologiczne ciała i umysłu. Jeszcze w XIX wieku Zygmunt Krasiński upuszczał sobie krew w nadziei, że wraz z nią pozbędzie się z ciała nadmiaru czarnej żółci.

– A może jednak krąży w niektórych z nas ta czarna żółć?

– Dużo wcześniej niż w XIX wieku zaczęto powątpiewać w istnienie czarnej żółci i dzisiaj traktuje się ją niemal jednogłośnie jako mit. Mówię „niemal jednogłośnie”, gdyż wbrew zdrowemu rozsądkowi niechętnie odrzucam teorię czarnej żółci. Bliska jest mi intuicja Marka Bieńczyka, który pisał: „licho wie, co w nas tak naprawdę krąży, co się z nas pluje. Nad nami planeta Saturn, a w nas przecież coś pili i kłuje (...), coś się

ciemno przelewa, coś tam jest w tej mazi”. Za przełom w dociekaniach melanchologicznych uznaje się odkrycie Zygmunta Freuda, który w artykule „Żaloba i melancholia” z 1917 roku identyfikował melancholię jako ciągłą, nieprzerwaną, niekończącą się żalobę po rzeczywistej bądź urojonej stracie „ukochanego obiektu”, którym może być zarówno drogi nam człowiek, jak i abstrakcyjna idea (na przykład wolność, ojczyzna czy przyjaźń). Giorgio Agamben, komentując obserwację Freuda, zauważył, że strata w melancholii tym jeszcze różni się od straty definiującej żalobę, iż melancholik bardzo często stratę antycypuje. Nie potrafi cieszyć się z tego, co go uszczęśliwia, albowiem przecucie końca tej szczęśliwości – możliwego, ale przecież nieprzesądanego – zakłóca każdą niemalże pozytywną myśl. Człowiek w melancholii zawczasu postrzega to, co dla niego ważne, wartościowe, jako utracone, i tkwi w żalobie po stracie nieponiesionej.

– Co więc sprawia trudności definicyjne?

– Od samego początku melancholia odznaczała się pewną ambiwalencją. Hipokrates traktował ją niczym patologię wymagającą leczenia. Arystoteles natomiast (albo jego uczeń – Teofrast z Lesbos) pisał, że melancholia to cecha, a nawet przywilej ludzi wybitnych: artystów, poetów, filozofów oraz władców. Ta tkwiąca w melancholii wewnętrzna sprzeczność może udaremniać próby stworzenia definicji. Ale oczywiście nie jest to jedyny powód. Czynnikiem jest wiele, na przykład to, że przyczyna i przedmiot melancholii na ogół pozostają nieuchwytnie. Zgodnie z tym, co pisał Søren Kierkegaard, „jeśli się melancholika zapyta, co leży u podstaw jego melancholii, co go gnębi, to odpowie, że nie wie, że nie potrafi tego wyjaśnić. Odpowiedź ta jest ze wszech miar prawdziwa, albowiem z chwilą rozpoznania przyczyny melancholia mija”. Człowiek pogrążony w tego rodzaju smutku nie potrafi uzasadnić swego nastroju, ale też, co bardziej zastanawiające, nie chciałby tego uczynić, przeczuwa bowiem, że ujmując cierpienie jednoznacznie, utraci je bezpowrotnie, a nie na tym mu przecież zależy. Doświadczając ambiwalentnego charakteru melancholii, człowiek zdaje sobie sprawę z jej potencjału pozytywnego. Zgodnie z teorią psychoanalityczną praca żaloby polega na mówieniu o stracie. Oswajając ją poprzez wypowiedź, człowiek godzi się powoli z odejściem drogich mu osób czy za-



Anna Małczyńska, autorka książki *Z padłych wstawanie. O melancholii w pisarstwie Edwarda Stachury*, podczas spotkania z czytelnikami w siedzibie Fundacji „Pieśniarze” we Wrocławiu. Fot. Jacek Pluciński

nikiem wartości. Analogicznie: „wyrzeczenie” tego, co jest „rzeczą” melancholii, oznaczałoby jednocześnie wyrzeczenie się jej samej. Søren Kierkegaard uważał melancholię za grzech ciężki, ale twierdził również, że tkwi w niej coś niewytłumaczalnego. W październiku bieżącego roku w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO odbyła się trzydniowa ogólnopolska konferencja naukowa, dotycząca zjawiska melancholii, podczas której padło stwierdzenie, co prawda w tonie ironicznym, że „melancholia jest wszystkim”. Może więc trudności w definiowaniu melancholii biorą się również stąd, że jest ona kategorią bardzo pojemną, rozległą. Coraz częściej myślę, że dzisiaj nie wystarczy już mówić o melancholii jako takiej, warto natomiast precyzować, jaką melancholię ma się na myśli.

– **Melancholia była nie tylko składnikiem osobowości wielu wybitnych twórców, ale także – nawet niekiedy nazwanym wprost – tematem utworów, nie tylko literackich, także plastycznych, muzycznych. Dlaczego wielka sztuka tak wytrwale dyżuruje przy melancholii?**

– Ponieważ jest to problem ogólnoludzki, a problem artystów – w szczególności. Oprócz wspomnianej już koncepcji melancholii jako reakcji na stratę ukocha-

nego obiektu, istnieje jeszcze inna freudowska genealogia melancholii, mówiąca o tym, że u samych źródeł kultury człowiek był zmuszony dokonać wyboru: albo wyrzeknie się niektórych pragnień i w ten sposób zapewni sobie względne bezpieczeństwo, spokój oraz trwanie rodzaju ludzkiego, regulowane przez szereg norm i kompromisów, albo będzie do woli zaspokajał swoje życzenia za cenę stałego zagrożenia życia i możliwej zagłady gatunku. Wybrawszy pierwszą z tych możliwości, człowiek nigdy nie pogodził się ze stratą, jaką wybór ten warunkował, dlatego zmuszony jest trwać w stanie dyskomfortu, jest wewnętrznie podzielony, niezupełnie pogodzony ze sobą oraz ze światem („Pogodzić się ze światem” to tytuł dziennika prowadzonego przez Edwarda Stachurę w miesiącach poprzedzających śmierć samobójczą). O mniej lub bardziej melancholijnej kondycji człowieka decyduje natomiast to, jak radzi on sobie z różnymi wymogami obyczajowości i prawa. A przecież nie od dziś wiadomo, że z umowami i oczekiwaniami społecznymi największy problem mają artyści. To dlatego zapewne melancholia stała się nie tylko dyżurnym problemem sztuki, ale też jej problemem palącym. Inna sprawa, że domeną melancholii jest obszar pośredni między milczeniem a wyrażalnością, czyli obszar szczególnie przez sztukę uprzywilejowany. O tym, że melanco-

lia dotyczy nas wszystkich, pisano już w XVII wieku. Za prawdziwą epidemię – wręcz chorobę świata – uznał ją Thomas Adams. Ale autorem najbardziej radykalnym w sądach na ten temat okazał się Robert Burton, autor monumentalnego dzieła „Anatomia melancholii”. Uznał on, że wszyscy ludzie, jak również pozostałe istoty czujące oraz rośliny, to melancholicy. W perspektywie melancholii ujmował nieomal wszystko: choroby cielesne, oddziaływanie przeżyć z dzieciństwa na późniejsze zachowanie człowieka, tłumioną agresję, zaburzenia seksualne, a także religię, ustrój państwowy, ekonomię, handel, rolnictwo, ceny zboża, nędzę i bogactwo, klimat i zjawiska na niebie.

– Czy były epoki niejako programowo nastawione melancholijnie, afiszujące się melancholią, wynoszące melancholię do rangi cnoty, zalety?

– Oczywiście! W okresie Młodej Polski melancholia stała się niemalże obowiązkiem, rodzajem konwencji czy (auto)kreacji. Prawdopodobnie przesądziło to o powierzchowności i naiwności młodopolskiej melancholii (z pewnymi wyjątkami, rzecz jasna). Julia Kristeva trafnie zauważyła, że w sztuce i literaturze melancholia przywdziewa często „szatę subtelnej piękności”, która następnie przysłańca najbardziej upiorną prawdę o tej przypadłości. Z czymś takim mieliśmy chyba do czynienia na przełomie wieków XIX i XX. Najbardziej ciekawa wydaje mi się melancholia ro-

mantyczna, której oczywiście nie brakowało w innych niż romantyzm epokach, także w Młodej Polsce (przykładem „Melancholia” Jacka Malczewskiego). Tę odmianę melancholii obszernie scharakteryzował Marek Bieńczyk w studium „Oczy Dürera”. Poza tym, że grozi ona rozpaczą, apatią i śmiercią, prowokuje również mniej lub bardziej odważne spojrzenie w daleką, bezkresną przyszłość; jest czynna, ognista, odkrywca i twórcza. Melancholia romantyczna została – mówiąc słowami Bieńczyka – „wciągnięta w dynamikę przemiany, postępu, rozwoju, tak indywidualnej osobowości, jak całej cywilizacji i całego kosmosu. Jest ona często postrzegana jako etap przejściowy, jedna z najbardziej może dostępnych dróg negatywnych, która przez kryzys, destrukcję, zaprzeczenie, wątplenie prowadzi do odrodzenia, przeobrażenia, przemiany”.

– O geograficznej wszechobecności melancholijnego smutku świadczą określenia o różnojęzycznym rodowodzie: *nostalgia*, *spleen*, *chandra*, *weltschmerz*. Polak kocha nieszczęścia (z wzajemnością), więc i nasz język wpadał na nazewnicze pomysły w tym zakresie: *frasunek*, *smętek*... Którzy z wielkich polskich twórców są (byli) rasowymi melancholikami, co wynika nie tyle z ich biografii, ile z twórczości?

– W języku polskim funkcjonowało jeszcze słowo „śledziennik” stosowane zamiennie ze słowem „melancholik”. Śledziona, w myśl nauki XVII-wiecznej-



Melancholia, Jacek Malczewski, obraz w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu

go lekarza Smolliusa, była łęgowskim czarnej żółci. Do popularyzacji terminu „splin”, określającego stan przygnębienia, apatii i nudy wywoływane poczuciem niechęci do życia, przyczyniło się właśnie owo przekonanie Smolliusa, ponieważ śledziona w języku angielskim to przecież „spleen”. Warto zauważyć, że renesansowy twórca Albrecht Dürer, autor najbardziej znanego wizerunku melancholii wykonanego techniką miedziorytowa, na swym autoportrecie wskazuje dyskretnie na śledzionę, jak gdyby próbował nam coś wyznać. Rasowym melancholikiem był Zygmunt Krasiński. Ale także Bolesław Prus, Bruno Schulz, Witkacy... Z czasem przekonałam się, że pojemność kategorii melancholii i jej przewrotność sprawiają, iż właściwie emanuje ona z większości dzieł literackich. Dlatego raz jeszcze podkreślę, że dzisiaj nie wystarczy mówić o melancholii jako takiej, lecz należy precyzować, jaką melancholię ma się na myśli. Cztery lata temu ukazała się książka Aliny Świeściak, w której dokonano melanchologicznej analizy poezji polskiej powstałej po 1989 roku. Autorka wzięła pod uwagę twórczość takich pisarzy jak Tadeusz Różewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Ryszard Krynicki, Eugeniusz Tkacyszyn-Dycki, Andrzej Sosnowski... Wśród czytanych przez Alinę Świeściak tomików znalazły się również „Kolonie” i „Wiersze” Tomasza Różyckiego. Wspominam o tym z różnych powodów, także dlatego, by przypomnieć, iż w „Indeksie” (2012, nr 7–8) został opublikowany wykład inauguracyjny Tomasza Różyckiego („Moje uniwersytety. O fatalnych skutkach wtajemniczenia”), przywołujący we wciąż niestety aktualnym kontekście akademickim pojęcie melancholii. Zaintrygował mnie również wydany w ubiegłym roku zbiór esejów „Tomii”, skromnie nazywanych przez autora notatkami. Przenika go melancholia, a ściślej ta jej odmiana, która według Romano Guardiniego przejawia się w nieustannym przeczuwaniu przez niektórych ludzi tego, co wieczne, niezniszczalne.

– **Juliusz Słowacki, który bez wątpienia też był melancholikiem, napisał w „Anhellim”:** „dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się”. **Na czym polega paradoksalność melancholii?**

– Wspominałam o ambiwalencji melancholii, która już w starożytności ukazała co najmniej dwa oblicza.

Uzależniano je często od temperatury czarnej żółci, której stopień mógł decydować o otępieniu człowieka albo jasności jego widzenia, o kreatywności bądź pasywności, nadmiernym łakomstwie lub niechęci do przyjmowania posiłków, o podenerwowaniu, wzburzeniu albo zubożeniu. Na paradoksalność melancholii złożyły się również związane z nią wykładnie astralne. Niegdyś wierzono, że najbardziej złowieszczym ze wszystkich obiektów na niebie jest planeta Saturn. Niesławę zawdzięczała ona głównie swej ołowianej, chorobliwej barwie i wyjątkowej powolności, które przywoływały na myśl starość, brak sił witalnych i przygnębienie. Planetę Saturn zamieszkiwał dwoisty bóg o tym samym co ona imieniu. Znajdował on upodobanie we wszystkim, co ułomne, przygarniał pod swoją marną opiekę ludzi występnych, skazańców, weneryków, wisielców i wszelkiej maści kaleki. Wśród tak osobliwych podopiecznych znaleźli się również melancholicy. Ale, co ciekawe, Saturn był nie tylko ojcobójcą i mordercą swych dzieci, żywiącym się ich mięsem; był także opiekunem złotego wieku, bogiem urodzaju, ku czci którego organizowano niegdyś saturnalia (orgiastyczne święto płodności i równości) i którego ponownego nadejścia wyczekiwano. Na ambiwalentny charakter Saturna wskazywały też jego atrybuty – sierp i kosa – które miały symbolizować urodzaj oraz obfitość plonów, jak również kastrację dokonaną na ojcu. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie każdy przypadek melancholii ma charakter paradoksalny. Wielu ludzi doświadcza jedynie jej negatywnych objawów.

– **Podczas wspomnianej tu konferencji naukowej poświęconej melancholii zaprezentowała Pani bardzo interesujący referat „Metaforyka ognia w twórczości Edwarda Stachury”. W wydanej w tym roku w Krakowie swojej książce „Z padłych wstawanie. O melancholii w piśarstwie Edwarda Stachury” formuluje Pani pogląd, że Stachura oraz jego bohaterowie doświadczaali obu odmian melancholii i to niekiedy jednocześnie. Jak możliwa jest kooperacja „kamienia” i „skrzydeł”, by posłużyć się przedmiotami przywołanymi przez Słowackiego w „Anhellim”?**

– Kilka lat temu, w Pana biografii autora „Siekierzady” („Edward Stachura. Biografia i legenda”), przeczytałam takie oto słowa poety: „Tylko paradoks jest święty”. Bardzo długo nie dawały mi spokoju. Pod-

Anna Małczyńska, ur. 1979 w Częstochowie. Absolwentka filologii polskiej i filozofii. Rozprawę doktorską na temat melancholii w piśarstwie Edwarda Stachury obroniła na Uniwersytecie Wrocławskim. Zredagowała trzy monografie zbiorowe: *Postscripta do Brunona Schulza* (2008), *W kręgu melancholii* (2010), *Esej – sztuka – nauka* (2011). Jest nauczycielem w Zespole Państwowych Placówek Kształcenia Plastycznego im. Jana Cybisa w Opolu.

czas pisania tej książki nauczyłam się wiele. Między innymi nauczyłam się myślenia paradoksami. Melancholia, która przenikała życie Stachury i która przenika jego twórczość, ma charakter romantyczny, transgresyjny, ekscesywny. Życie, jakie wiodą stworzeni na jego podobieństwo bohaterowie, dobrze oddaje słowo „kryzys”, które łączy w sobie dwie przeciwstawne tendencje. W chwilach dojmującego cierpienia (nieznośnych i nędznych, do których, choć powtarzają się w nieskończoność, przywyknąć nie sposób) tkwi możliwość przesilenia, przełomu, upragnionego wyzwolenia. Krzysztof Michalski, który posiadał nadludzki dar rozpisywania paradoksów po mistrzowsku, bardzo ciekawie tłumaczył działania Nietzscheańskiego Zaratustry. Przywołuję jego słowa, dlatego że podobne postępowanie charakteryzuje bohaterów Stachury – jest ono „ciągłym przewyciężaniem nihilizmu, jest nieśląbnącym napięciem między wysiłkiem ustanowienia ciągłości i wyrwania się z niej”; jest to jednocześnie życie „scalone w życiorys, historię, jakiś sens – i życie chore na wieczność, otwarte na nieznanne, przeniknięte tajemnicą”.

– Co było najpierw jako temat badawczy – melancholia (jest Pani współautorką i współredaktorką książki „W kręgu melancholii”) czy Edward Stachura? I jak doszło do odkrycia związku między nimi?

– W porządku chronologicznym pierwsza była melancholia. Mówiąc językiem pragmatystów: najpierw użyłam twórczości Edwarda Stachury jako środka do naukowego celu. Ponieważ jednak, jak twierdził poeta, pewnych rzeczy nie można robić bezkarnie, przyszło mi za to – mówiąc pół żartem, pół serio – odpokutować. Jest w powieści Stachury zatytułowanej „Cała jaskrawość” taki fragment: „Byłby wielki czas powiedzieć, że bezkarnie nie można przekraczać pewnych granic (...). Są za to kary (...). Napięcie wielkie, nieustające. Nigdy wakacji w przytulnych ramionach obojętności (...). Ale nie można już się cofnąć, nie można już inaczej i nie chce się inaczej. Tak jest. Nie chce się inaczej. Bo to są kary, ale to są też nagrody. Najwspanialsze ze wspaniałych nagrody”. Pisanie tej książki było dla mnie karą i nagrodą jednocześnie. To chronologiczne pierwszeństwo melancholii względem lektury dzieł Stachury, świadomość, czym melancholia jest, jak się objawia, skąd być może się bierze, pozwoliły mi odkryć jeden z podstawowych tematów tej twórczości. Bo przecież ani poeta, ani stworzeni przez niego bohaterowie nie nazywają melancholii po imieniu. Prawie nie spotykamy w pisarstwie Stachury takich ter-

minów jak „melancholia” czy „depresja”, znajdujemy natomiast słowa, które mówią o nazwanych tak doznaniach nieporównanie więcej (np. bestia, mgła, dymna choroba).

– We wstępie swej książki napisała Pani: „Praca niniejsza ma charakter analityczno-interpretacyjny, ale bardziej niż o rozumienie, które miałyby służyć objaśnieniu dzieł Stachury, chodzi w niej o (po)rozumienie stanowiące podstawę identyfikacji z tym, co zostało napisane, czyli odtworzenie w lekturze doświadczenia wpisanego w daną twórczość”. A dalej jest stwierdzenie, że jeden z kierunków, w których zmierza Pani lektura dzieł Stachury, dyktowany jest „pokusą utożsamienia”. Jak należy rozumieć te sformułowania?

– Pisząc o twórczości Edwarda Stachury, kierowałam się w dużej mierze opinią wyrażoną przez niego samego na początku tomu „Wszystko jest poezja”, którą traktowałam jak życzenie: „(...) ukazuje się książka, idziesz do księgarni, kupujesz, wychodzisz na ulicę, (...) idziesz do parku, siadasz na ławce, czytasz – i po tęga! Coraz jesteś przykuty do tego, co czytasz, i dlatego coraz podnosisz głowę w górę, w powietrza domeny, i odbywasz komunie z tym, co czytasz, tak jak tego chce Gaston Bachelard i jak powinno być”. Komunie, o której wspomina poeta, oddawana częściej jako „identyfikacja”, stanowi główne założenie tzw. francuskiej krytyki tematycznej, której początek dał właśnie Gaston Bachelard i którą starałam się zgłębiać równoległe z pracą nad książką. Tę komunie odrębnych świadomości Stachura nazywa, owszem, zrozumieniem, ale spontanicznym, nazywa ją także wzajemnością. W jednym z ostatnich esejów „Wszystko jest poezja” z przejęciem pisze o odbiorcy, który, mimo że niezupełnie rozumie cudzą wypowiedź, obdarza nadawcę z jakichś względów zaufaniem. Nie mogłam więc poprzestać na hermeneutyce, czyli rozumieniu tekstu. Musiałam zrobić krok dalej. W jakimś sensie zobowiązał mnie do tego sam Stachura. Czy sprostalam jego życzeniu, trudno mi ocenić. Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia Barbara Gładych twierdziła, że „nie ma języka, którym można by opowiedzieć o Stachurze”. Im dłużej obcuje z tą twórczością, tym bardziej podzielałam to melancholijne przekonanie autorki, ale odnoszę je wyłącznie do siebie. Wierzę, że jest język, którym udało się mówić o Stachurze, ale mnie nie objawił się on jeszcze w pełni. Coraz częściej zamiast pisać i mówić o twórczości tego poety czy o jego działaniach, najchętniej bym go cytowała.

Jechaliśmy kiedyś razem windą na drugie piętro Collegium Maius UO. Architekt Andrzej Hamada już wtedy pisał i rysował do „Indeksu”. Winda sunie, ciasno, rozglądamy się po ścianach, jak to w windzie. A na ścianie tabliczka z nazwą firmy producenta: Schindler.

O, a ja znałem Schindlera! – wykrzyknął. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że znał TEGO Schindlera. I że ten, 89-letni dziś, znany wielu opolanom jako pogodny, niezwykle ciekawy świata gawędziarz, z dużym poczuciem humoru i wielką życzliwością dla bliźnich, skrywa w szufladzie swojego biurka tak niezwykle życiorys.

Życiorys z szuflady

Okno na trzecim piętrze. Przy parapecie pochylony nad kartką papieru chory na szkarlatynę Andrzej. I nowe kredki, prezent od mamy na dziesiąte urodziny: *rysuj, ćwicz, bo może zostaniesz inżynierem?* Urodziny są dziś, 12 maja 1935 roku. Za oknem Gdynia. Na jednym z domów pojawia się polska flaga, spuszczone do połowy masztu. *Mamusiu, flaga się zepsuła!* Tak zapamiętał dzień, w którym zmarł marszałek Józef Piłsudski.

A pierwsze, jednozdaniowe, szkolne wypracowanie o „Antku” Prusa tak: *Antek był dobrym i dzielnym chłopcem*. W liście do nieobecnej mamy jest bardziej wylewny: żali się na starszą siostrę Hanię i służącą Franinę: *Kochana Mulko! Kiedy Mulka już przyjedzie, bo ja już nie mogę wytrzymać, bo Frania wciąż się bije, a Hania się przeżywa*.

Wybuch wojny też narysował, w kieszonkowym kalendarzyku na 1939 rok. Zaczął 3 września, w niedzielę, i tak przez całą podróż z Krakowa do Stanisławowa (*lukstorpeda! Jakaż to była atrakcja dla czternastolatka!*), bo polska dyrekcja kolejowa, w której pracował jego tato, razem z rodzinami ewakuowała się na wschód. Na kolejnych kartkach kalendarzyka płonie dworzec, konwojent z karabinem wychyla się z jadącego pociągu, a niebo jest czarne od bombardujących samolotów. Są też zapiski Andrzeja. O tym, że pociąg ciągle się zatrzymywał, że pod Trzcianą czternaście razy musieli uciekać w kartofle i kukurydzę. I że pod Tarnowem zgubiła się mama, tato został, żeby ją odszukać, a Andrzej z siostrą pojechali dalej sami. W Zimnej Wodzie, w domu dalekich krewnych Wolańskich, rodzina była już

w komplecie – co widać na kolejnym rysunku. W pamięci chłopca, jakim wówczas był, mocno zapisał się wuj Leopold, który na nogach miał *meszty* albo *sztylpy*, psa wyprowadzał na *linewce*, pił *émagę*, a do domu nie szedł, tylko *wknajął do hawiry*.

Po wojnie mieli okazję odwdziaczyć się wujostwu za tę gościnę – Wolańscy pomieszkują u nich, w Krakowie, jako repatrianci z Ukrainy.

A w Opolu, zaledwie kilka lat temu, w redakcji „Indeksu”, Andrzej Hamada pozna nauczyciela akademickiego, dydaktyka fizyki Wojciecha Dindorfa i wykrzyknie: *W Zimnej Wodzie chodziliśmy do Dindorfa, do kooperatywy, po pieczywo!* Po czym się okaże, że kupowali chleb u stryja Wojciecha Dindorfa, Leopolda Dindorfa (restauracja z salą taneczną, kręgielnia, bilard, a na zapleczu sklep spożywczy), w którego domu, na piętrze, ukrywała się zbiegła z Warszawy Żydówka, później znana aktorka Krystyna Feldmanówna.

Z tego okresu zachowała się do dziś niewykorzystana *poświdka*, wystawiona przez dyrektora ukraińskiej szkoły w Zimnej Wodzie – uprawniająca go, ja-



Janina (z domu Czuszkiewicz) i Grzegorz Hamadowie

ko ucznia, do nabycia w sklepie pary *wzutia* (obuwia).

Kolejne rysunki, przechowywane w dwóch grubych albumach, to szkolne prace siedemnastoletniego Andrzeja, ucznia trzyletniej Państwowej Szkoły Budowlanej w Krakowie przy ulicy Dietla 17, a później, już po wojnie, uczestnika kursu rysunkowego na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W grudniu 1942 r., jako praktykant budowlany (z pensją 300 złotych miesięcznie) w Przedsiębiorstwie Budowlanym i Biurze Architektonicznym Franciszek i Maksymilian Peterek, Kraków, ul. Św. Krzyża 10, zapisze w prowadzonym przez siebie dzienniku, że właśnie czyta *Młodzieńca z charakterem* Totha, na kolację wigilijną (z *przedwojennym przepychem, w czwartym roku wojny!*) składał się: barszcz z uszkami, karp smażony, pierogi z kapustą, kompot ze śliwek, ciasteczka i makowiec, po kolacji mama gra na fortepianie. 12 stycznia 1943 r., przed pójściem spać, naprawiał kalesony: *ścieg taki wygląda podobnie jak fresk, a do tego kierują się zasadą, by białe kalesony szyć czarną nitką, co dodaje im życia.*

Słowo *Niemiec* pisał małą literą

Był wśród tych rysunków i rysunek szczególnie, choć tylko szkolny, a w dodatku techniczny. Przedstawiał wiązania murów – praca domowa Andrzeja, w trzecim roku wojny ucznia Państwowej Szkoły Budowlanej (Gewerbeschule, oddział Hochbau przy ul. Dietla 17 w Krakowie). Rysunek uratował mu życie.

Mieszkali wtedy w Podgórzu przy ulicy Limanowskiego 18, w pożydowskiej kamienicy, bo Żydów wyeksmitowano już do getta. Noc, rodzice już śpią, mała lampka świeci, Andrzej siedzi pochylony nad deską kreślarską (prezent od szefa Peterka, ma ją do dziś). Na desce mapa Niemiec, na którą nanosi wszystkie obozy jenieckie, z podziałem na oflagi i stalagi. Zlecenie od Armii Krajowej, przekazane za pośrednictwem pomagającego akowcom szefa Peterka. Kiedy do pokoju wpadli żandarmi (tzw. *sztrajfa*, czyli patrol), zwabieni światłem zza nieszczelnych zasłon, zdołał szybkim ruchem odwrócić deskę. Ujrzeni niewinny szkolny rysunek pokazujący, jak powinno się wiązać mury.

Siedemdziesiąt lat później, z pudełeczka po papierosach *Grunwald*, które kiedyś palił, a których od dawna nie produkują, ostrożnie wyjmie starannie złożoną białoczerwoną opaskę. Na niej litery: *W.P.*, okrągły stempek z orzełkiem i napis: *AK Żelbet Kraków*. Pseudonim konspiracyjny: *Kumala*. Tak kiedyś odczytał jego nazwisko jakiś Niemiec.

Akowska opaska, którą nazywa swoim *najcenniejszym skarbem*, leży od lat w szufladzie jego biurka, choć okazji do jej eksponowania, choćby podczas uroczystości państwowych, nie brakuje.

Do rysowania wrócił dopiero na emeryturze, w 1988 r., w podparyskim ogrodzie Kasi, swojej córki, który uwiecznił czarną kreską. Przypomniały mu się wszystkie wskazówki jego krakowskich i gdańskich nauczycieli: profesora Władysława Lama, adiunkta Aleksandra Kobzdeja... Po powrocie do Opola usiadł



Janina i Grzegorz Hamadowie z córką Hanią we Wrzeszczu (w tle kościół św. Stanisława)

w amfiteatrze: za bezlistnym drzewem rozpychała się Wieża Piastowska. Tak rozpoczął cykl rysunków opolskiej architektury z motywem drzew, publikowany m.in. w opolskiej „Gazecie Wyborczej”. Później podjęmie stałą, wieloletnią już współpracę z uniwersyteckim „Indeksem”.

Bocianie Gniazdo

Ojciec Grzegorz urodzony w Nehrybce, pod Przemysłem, w rodzinie kolejarskiej, zaczynał pracę jako telegrafista. Po wojnie, jako szef komisji międzyministerialnej, reprezentował polską kolej na konferencjach w Atenach i Salzburgu. W 1922 r., wraz ze świeżo poślubioną osiemnastoletnią krakowianką Janiną Czuszkiewicz (był od niej starszy o piętnaście lat) wyjechał do Wolnego Miasta Gdańska, gdzie tworzyła się polska dyrekcja kolejowa, uruchamiać ruch towarowy dla Gdańska i budującego się portu w Gdyni. I odtąd przemierzali się po Polsce. Córka Hania urodzi im się w ostatnim dniu 1923 r., a rok później, pod dachem kliniki Storchenest, ozdobionym żelazną chorągiewką z bocianem (stąd nazwa kliniki: Bocianie Gniazdo) przyjdzie na świat Andrzej. (Po latach dowie się, że w tej samej klinice przyszła na świat jego żona, o której nie mówi inaczej, jak tylko *moja Hanusia*.)

Zamieszkali we Wrzeszczu, na Heeresanger 11c: dwa długie domy, między nimi boisko sportowe „Ge-

danii”, kościół św. Stanisława z księdzem Bronisławem Komorowskim (dziś we Wrzeszczu jest plac jego imienia), gmach Polskiej Macierzy Szkolnej (tam mieściła się dwuklasowa polska szkoła, po raz pierwszy wszedł do niej z rysikiem, tabliczką i żółtą gąbką), podwórko, ogródek i wilczur Til, emerytowany pies policyjny, подарowany przez dziadka Czuszkiewicza, komisarza policji. Tu kończyła się Polska.

Po latach dowie się, że w tym czasie, po tych samych gdańskich ulicach, biegał jego rówieśnik, uczeń niemieckiej szkoły – Günter Grass.

Atmosfera w Gdańsku gęstnieje. W 1932 r. hitlerowskie bojówki biją przechodniów, którzy nie podnieśli ręki w geście pozdrowienia. Nie podnosili Polacy. Było ich w Gdańsku coraz mniej. Wyjeżdżają i Hamadowie. Do Tczewa, na ulicę Sambora 20, mieszkanie u pani Wessel (po latach dowie się, że w tym czasie w Tczewie, na sąsiedniej ulicy, mieszkała też jego Hanusia). Tu okazało się, że Polska to jest brak Niemców na ulicach, dużo kolegów, z którymi może do późna jeździć na lodowisku (łyżwy na blaszki oczywiście) i grać w jojo. Rodzice mniej czujni, a w szkole nie ma już rysika, tylko ołówek, pisze się maczaną w atramencie obsadką – stalówka ma krzyżyk albo kulkę.

Po roku wyjeżdżają do Gdyni, gdzie ojciec dostał posadę kierownika biura portowego w utworzonym właśnie Biurze Obsługi Kolejowej. Mieszkanie blisko dworca, Podjazdowa 6. Tu, jako dziewięcioletek, pucuje bez końca buty, czyści harcerski mundur i prasuje chustę przed defiladą z okazji Święta Morza. Maszerujących w idealnie równym szyku harcerzy oklaskuje sam prezydent Ignacy Mościcki. Rok później, wymęczony szkarlatyną, dojrzy z okna spuszczoną na znak żałoby flagę. Niedługo potem ruszą, znów za ojcem, do Radomia.

Statek idzie, pociąg leci

Z Gdyni do Radomia jadą salonką: sypialnie, salonik z kredensem, kuchenka. Z konwojentem, który sprząta i parzy herbatę. Mieszkanie przy Moniuszki 6a jest jeszcze nieprzygotowane, przez dwa tygodnie mieszkają w salonce, ustawionej na bocznym torze. W szkole „Oświata” im. Marszałka J. Piłsudskiego, przy ulicy Piłsudskiego (prywatna szkoła pani Ettinger), Andrzeja gonią pełne podziwu szeptami: *To ten, co mieszka w wagonie!*

Później, już w Krakowie, szepczą: *To ten, co ma sze-*



Janina Hamadowa z dziećmi: Hanią i Andrzejem

ściolampowe radio, superheterodynę! „Telefunken” stał na specjalnym stoliku w jadalni, miał gałki, których dzieciom nie wolno było dotykać, i wajchę w oknie, wyłączając antenę w czasie burzy. W 1938 roku, z ojcem, słuchali transmisji rozgrywanego w Stuttgarcie meczu Polska-Brazylia, z Wilimowskim, Leonidasem i Niagarą. Remis, 4:4, *przeegraliśmy w dogrywce*. Leonidas, pamięta, zgubił w błocie buty, *strzelał nam bramki na bosaka*.

Ale na razie jest Radom, szkoła pani Ettinger. Czerwony ze wstydu Andrzej po raz pierwszy w życiu wpisuje się do pamiętnika niejakiej Witkowskiej: *Bądź dobrą Polką zawsze i wszędzie, a każdy Polak kochać cię będzie*. Jest harcerzem w stopniu młodzika, legitymacja nr 462. A w 1936 r. kibicuje Kusocińskiemu, Konopackiej i Wajsównie, sportowcom, którzy reprezentują Polskę na olimpiadzie w Berlinie – aktualne wyniki widać na tablicy ustawionej przy ulicy Moniuszki. Po czym jedzie z rodzicami do Krakowa sypać kopiec Józefa Piłsudskiego.

Rok później znów podróż salonką, i znów Kraków. Tym razem na dłużej, bo awansowanego ojca przeniesli tu do pracy. Adres: Blich 6, trzecie piętro, cztery pokoje, z okien widać nasyp i tory kolejowe. Andrzej zastanawia się, dlaczego marynarze, których pamięta z Gdyni, mówili: *statek idzie*, a kolejarze mówią: *pociąg leci*.

Do wojny jeszcze dwa lata. Zdaje egzamin do VIII Gimnazjum im. Witkowskiego w Krakowie, w nagrodę rodzice kupują wymarzony rower (niedługo go ukradną, ale na razie się cieszy). W domu jest służąca Helcia, sześciolampowe radio, a wieczorami mama gra na fortepianie motywy z Griega (*W grocie króla gór* na przykład). Andrzej jest zagorzałym szachistą (na studiach zdobędzie tytuł wicemistrza Gdańska), a wieczorami kibicuje rodzicom podczas brydża rozgrywanego

w salonie, przy stoliku, który dziś stoi w jego opolskim mieszkaniu (późna secesja wiedeńska, ręczna robota), kolekcjonuje znaczki i składa modele samolotów (zdobywa mistrzostwo Krakowa w kategorii „belkowców”). Na basenie w Łobzowie spotyka aktora Adolfa Dymśkę, a na „Zemście” w Teatrze Słowackiego okłaskuje Ludwika Solskiego i strzela kaszą ze szklanej rurki do dziewczyn. Cała Polska ekscytuje się sukcesami jasnowiedza Stefana Ossowieckiego, z którego rad korzystał sam marszałek Piłsudski, a który w 1938 r. – jak zawiadomił na pierwszej stronie „Ilustrowany Kurier Codzienny” – wskazał miejsce katastrofy polskiego samolotu zaginionego na Bałkanach.

Latem 1939 r., po skończonej II klasie gimnazjum, Andrzej jedzie z ojcem na Wileńszczyznę. Pływają kajakiem po Okmianie i jeziorach trockich, klęczą przed Ostrą Bramą, jedzą precle na Tatarskiej w Wilnie.

Niemcy napadają na Austrię i Czechosłowację. Ogromny „termometr” na krakowskim Rynku pokazuje temperaturę patriotycznych uczuć mieszkańców: ile złotych, w złocie, pieniądzech i precjozach przekazali na skarb szykującego się do wojny państwa. Pod koniec sierpnia Andrzej z mamą wyjeżdżają do Zakopanego. Słońce, leżaki, szachy i spory dorosłych o to, czy będzie wojna. Są jedynymi turystami, którzy w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 roku wchodzą na Giewont. Dworzec jest pełen podróżnych, pociągi przepełnione. Wojna wisi w powietrzu.

Landesdorfer, kiedy przestaniesz być zasrańcem!

Pierwszych Żydów, jako dziecko, widział w Radomiu. W długich chałatach, w jarmułkach, z pejsami,

gromadzili się przed budynkiem sejmiku na Moniuszki – trwał proces dotyczący wydarzeń w podradomskim Przytyku (9 marca 1936 r. doszło tam do starcia między Polakami a Żydami).

Nazwisko kolejnego Żyda, ucznia tej samej co on klasy, zapamiętał dobrze za sprawą profesora Momota (biologia), który pastwił się nad tym jedynym w klasie Żydem wykrzykując: *Landesdorfer, gdzie twój kajet, gdzie książki? Kiedy ty przestaniesz być zasrańcem!*

Pierwszą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida ujrzał na ramieniu znajomego babci Czuszkiewiczowej, krawcowej (*Salon Sukien Damskich* przy ulicy Garncarskiej, taki napuszony szyld kazała wymalować Andrzejowi), u której zamieszkali po powrocie z Zimnej Wody. Szesnastoletni wówczas Andrzej zapamięta, że ten znajomy babci zaraz za progiem zdejmował opaskę, siadał, płakał, po czym wracał do getta.

Był rok 1941. Na krakowskich ulicach jeszcze widywało się Żydów, oczywiście z opaskami na rękawach. Potem nie wolno im było jeździć tramwajami (*Niestety, wielu Polaków aprobowało te zmiany*). Wkrótce całą dzielnicę Kazimierz wysiedlono do getta na Podgórzu, a później do obozu w Płaszowie. Polaków z lepszych dzielnic, w tym rodzinę Hamadów – do zwolnionych przez Żydów mieszkań na Podgórzu. Początkowo z okien mieszkania na Limanowskiego widzieli martwe, jakby wyludnione getto. Wyludnione, bo chodnik był już za zasiekami, a Żydzi mieli zakaz zbliżania się do okien. Widać ich było z okien tramwaju, tory przecinały środek getta i plac Zgody. A później Żydzi zniknęli z miasta.

Ponownie zobaczył ich w Płaszowie. Był już pracownikiem krakowskiej firmy budowlanej Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek syn, która wygrała właśnie przetarg na budowę murowanej łaźni dla Żydów osadzonych w Zwangsarbeitslager w Płaszowie. Obóz był jeszcze w budowie, którą zajmowali się architekci, teraz więźniowie, m.in. inżynierowie Ständig, Maksymilian Goldberg, Krakauer. Kierownikiem budowy był inżynier Zygmunt Grünberg (w Krakowie do dziś stoją kamienice, zaprojektowane przez niego przed wojną), który z placem pokazywał inżynierowi Hamadzie swoje posiniaczone od pejsza plecy. (*Panie inżynierze* – tak go tytułowano, mimo że rok wcześniej, jako praktykant w firmie instalacyjnej Müller-Jędrzejowski, słyszał nieustannie: *Hamada! Majzel, młotek i na drugie piętro kuć szlica!*).

Płakał i niewysoki, nieśmia-



Grzegorz Hamada z Hanią i Andrzejem sypią kopiec Józefa Piłsudskiego (Kraków-Sowiniec 1936 r.)

ły inżynier Ständig, któremu Andrzej przemycił do obozu bochenek chleba. To właśnie Ständig podarował mu wtedy *nulkę*, czyli zerownik, cyrkiel, którym robi się milimetrowe kółeczka.

Nulka Ständigą leży dziś w szufladzie biurka emerytowanego architekta inżyniera Andrzeja Hamady.

Z obozu często wynosił listy, a raz nawet, na prośbę jednego z więźniów, przemycił cenny angielski płaszcz dla mieszkających w Krakowie krewnych właściciela.

Przemycali i murarze. Chleb, cukierki dla dzieci, mydło – za produkowane w obozie wełniane skarpety. Na przemycie kawałka mydła Niemcy nakryli murarza Rozpędzika. Z murarza w jednej chwili stał się więźniem – widzieli go z daleka, w obozowym pasiaku. Dwa tygodnie, też w polskiej części obozu, spędził i ojciec Andrzeja, wyciągnięty z domu podczas słynnej, wielokrotnie opisywanej niedzielnej łapanki w mieście (Andrzeja uratowała wódka, którą w tym czasie pił na Płaszowskiej, u majstra Franciszka Dyny).

Często widzieli i komendanta obozu Amona Götta, postrach Płaszowa. Byli świadkami, jak zastrzelił panią inżynier, Żydówkę, bo zawałała się jedna z wymurowanych ścianek.

Tę scenę, wiernie odtworzoną, zobaczył ponownie po kilkadziesiąt lat w nieistniejącym już opolskim kinie „Odra”. Film *Lista Schindlera* obejrzał jako gość ówczesnego właściciela kina Zenona Kramera. *Znałem Schindlera*, powiedział Kramerowi. Właściciel „Odry” miał tylko jedną prośbę: żeby po projekcji opowiedział mu, czy film jest prawdziwy. *Był bardzo prawdziwy*.

Orznęliśmy Schindlera!

Baraki w elementach, składane później jak puzzle, Niemcy zaczęli produkować w czasie wojny pod Berlinem. W obozie w Płaszowie Żydzi montowali je sami. Tak powstawały kolejne, męskie i żeńskie baraki. Kolumny ludzi w pasiakach codziennie ruszały z nich do pracy, między innymi do kamieniołomów oraz do oddalonej o kilka kilometrów od obozu fabryki (*Deutsche Emailwaren-Fabrik*) Oskara Schindlera. Przed wojną produkowała wyroby emaliowane, głównie garnki, w czasie wojny – naczynia emaliowane dla potrzeb wojska. Żyd był za darmo, a Schindler kierował się ekonomią (co nie zmienia faktu, że uratował swoich pracowników od śmierci), więc martwiło go, że ten Żyd dociera do fabryki na Podgórzu zmęczony drogą. Tak pojawił się pomysł wybudowania przy fabryce baraków dla robotników w obozowych pasiakach.

Był rok 1944, kiedy do pracy przy tej budowie zabrała się firma Peterek: fundamenty, instalacje, składanie elementów. Ustalono cenę i termin oddania baraków. Ale Schindlerowi się spieszyło, wymyślił więc, że roboty pomocnicze mogą wykonywać Żydzi. Robota przyspieszyła. Kiedy przyszło do rozliczeń, Schindler był bezwzględny: zażądał, żeby od ustalonej kwoty odliczyć wartość pracy żydowskich pomocników.

Wybrali się do Schindlera z Maksymilianem Peterkiem, jego czarnym oplem, Peterek walczy jak lew, Andrzej asystuje. Ludzie Schindlera żądają dziennika budowy: ilu ludzi na każdym z etapów pracowało na budowie. *Kto by wtedy dziennik budowy prowadził! Nakłamałem, że przywiozę, bo jest w biurze*. Razem z szefem tworzyli ten dokument przez całą niedzielę, trzymając się zasady: *jak najwięcej naszych, jak najmniej Żydów*. Kolejna narada u Schindlera. Utargowali nową cenę, niemal o połowę niższą jednak od wyjściowej. Wracają w ciszy, nagle uradowany Peterek klepnął go w kolano: *Panie Hamada, i tak ich orznąłem!*

Wśród pamiątek z tego okresu ma do dziś oryginał upoważnienia do odbioru pieniędzy od firmy Schindlera – dla firmy *Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek Syn, Przedsiębiorstwo Budowlane i Biuro Architektoniczne*.

Kilkadziesiąt lat później też pracował dla niemieckiego inwestora. To była jedna z jego ostatnich prac projektowych: konsulat niemiecki w Opolu. Praca bardzo ciekawa, także z tego powodu, że zgodnie z zasadami obowiązującymi w Niemczech prowadził tę budowę od początku do końca: projekt, przygotowanie i ogłoszenie przetargu na wykonawstwo (wygrała opolska przemysłówka z inżynierem Dudzikiem), nadzór inwestorski.

Ein Architekt baut Versöhnung mit. Architekt polsko-niemieckiego pojednania – tak zatytułował rozdział poświęcony Andrzejowi Hamadzie Manfred Gerwinat, pierwszy konsul RFN w Opolu, w swojej książce wspomnieniowej.

Klucz do Sukiennic

Kiedy pracował w firmie *Franciszek Peterek i Maksymilian Peterek Syn* (40 cieśli i parę osób w biurze, m.in. budowniczy Nedela, urzędnik Kazimierz Kotowski i współwłaściciel firmy, majster ciesielski Franciszek Pokluda, czeski Niemiec) zmieniali między innymi więźbę dachową i podłogi na Wawelu, w skrzydle adaptowanym dla gubernatora Hansa Franka (ulubiony żart Andrzeja Hamady: *jak naplułem z Wieży Mariackiej na przejeżdżającego przez krakowski Rynek Hansa Franka*). Tę ich robotę można podziwiać na Wawelu do dziś.

Budowali i fabrykę octu w Mszanie Dolnej, stajnie dla SS, wykonywali prace dla Miejskiego Zarządu w Krakowie, na przykład dekoracje na uroczystości (maszty w Rynku, tzw. londyny, w których mocowano niemieckie flagi). Ale Peterek zastrzegł w umowie: flag nie będziemy wieszać. I bardzo tego przestrzegali.

Montowali też stelaże w Sukiennicach, gdzie na piętrze Niemcy często organizowali różne wystawy. Był rok 1943, pod Stalingradem toczyła się krwawa bitwa, niemieckie gazety z dumą donosiły o kolejnych sukcesach na rosyjskim froncie. Tego dnia robotnicy, którym dziewiętnastoletni Andrzej codziennie otwierał Sukiennice powierzonym przez Niemców kluczem,

zauważyli, że za kotarą leży sterta pogniecionych paczek pocztowych. Z niektórych wyspały się papierosy, chleb... Na wszystkich ten sam adres: *Stalingrad*. Nedoręczone paczki do walczących pod Stalingradem żołnierzy niemieckich. W taki sposób dowiedział się, chyba jako pierwszy Polak w Krakowie, o klęsce Niemców pod Stalingradem.

A klucz do Sukiennic ma do dziś.

Pamięta też dokładnie i nauki swojego pierwszego szefa, Maksymiliana Peterka, człowieka z ogromnym tupetem, spryciarza z szerokim gestem (dostał od niego czarne spodnie, w prążki, ściągał je paskiem, bo szef był tęgawy). Na przykład o tym, jak ma sobie radzić z urzędnikami. *Wchodzi pan, panie Hamada, do urzędu i co pan widzi? Długą salę, na końcu biurko, za którym siedzi wielki pan. Im dłużej pan do niego idzie, tym większy on się robi, a pan maleje. Więc musisz pan trzasnąć drzwiami, iść zamaszycie, krzeselko przytulone do biurka ostentacyjnie odstawić i siąść, zakładając noga na nogę. Wtedy on zmaleje, a pan urosnie!*

Nauki szefa nie poszły w las. Nieśmiały Andrzej zaczął „peterkować”. Mało brakowało, a (już po wojnie) za bezczelność wyrzuciliby go z kursu przygotowaw-

czego (matematyka) na Politechnikę Gdańską, mimo że materiał opanowany miał znakomicie. Przepraszał też metodą „na Peterka”, kłaniając się bardzo nisko.

Do biurka Karola Musioła, w Opolu lat sześćdziesiątych, nie trzeba było iść *na Peterka, długo i zamaszycie* – zakochany w swoim mieście burmistrz Musioł sam zaczepiał architektów: bo o Opolu miało być w Polsce głośno. Szczerze mówiąc, Andrzej Hamada, magister inżynier architektury po Politechnice Gdańskiej, czasem krył się, widząc go na ulicy. Bo takie spotkanie groziło kolejnym zleceniem: *Mam taki pomysł, zróbcie mi tylko taki mały szkicek*. Na przykład – *szkicek* nowoczesnych delikatesów na Krakowskiej (pierwszy taki duży sklep w Opolu, jeden z najnowocześniejszych w kraju, projekt Andrzeja Hamady i Jakuba Schroetera), albo sali konferencyjnej, przylegającej do gabinetu Karola Musioła, z widokiem na wschodnią stronę miasta (też we współpracy z Jakubem Schroeterem).

Sala miała być w kolorach Opola: biały sufit, ściany złote, na podłodze błękitne gumoleum, wówczas krzyk mody. Schroeter zajął się projektowaniem mebli, żyrandol zaprojektował Marian Nowak. Godzinami mieszali farby, żeby uzyskać idealny złoty kolor, w końcu robotnicy zabrali się za klejenie butaprenem błękitnego gumoleum.

Rano w biurze Andrzeja Hamady rozdzwonił się telefon: wybuch zniszczył salę w Ratuszu. Ani śladu po złotych ścianach, wszystko czarne, narzędzia zwęglone, okien i drzwi nie było, wyleciały z futryn. Sekretarkę w pokoju obok wybuch przesunął wraz z biurkiem. Robotnicy trafili do szpitala. Bo ten dzień pracy zaczęli, jak zwykle, od papierosa – a powietrze było gęste od butaprenowych gazów. Karol Musioł na to: *Nie martw się, chłopecku, odbudujemy*. I odbudowali: złote ściany, biały sufit, błękitne linoleum...

I jeszcze jeden urzędnik zapisał mu się w pamięci: pan Kazimierz Kotowski w firmie Peterka. Pierwszy urzędnik, jakiego spotkał, rozpoczynając tam pracę w 1942 r. Kotowski siedział za biurkiem, pisał coś w skupieniu, co jakiś czas odbierał telefony, informując po niemiecku, że szefa nie ma, załatwiał jakieś ważne sprawy, znów chwycił pióro, pisał... *Ależ on pięknie urzęduje!* – podziwiał siedemnastoletni Andrzej. Kiedy już się bliżej poznali, Kotowski przyznał, że wtedy z nudów ćwiczył swój podpis.

Kilkanaście lat później, w Opolu, już jako magister inżynier architektury, *pięknie urzęduje* i Andrzej Hamada. Ale też z powodu tego urzędowania cierpi. Bo architekt powinien pracować przy desce. Dlatego dużo projektuje prywatnie, między innymi: sklep „Wawel” i sklep „Otmętu” w Opolu, koncepcja odbudowy Zamku Piastów Śląskich w Brzegu (pracowali przy tym razem z Jerzym Pomianowskim), wnętrze hali Gwardii (wystrój, kawiarnia na piętrze, ozdobiona płaskorzeźbą Adolfa Panitza i hol), izba pamięci Federacji Związku Młodzieży Socjalistycznej w Młodzieżowym Domu Kultury (Marian Nowak wyrzeźbił wielką głowę



Osiemnastoletni Andrzej Hamada



Rok 1947, Gdańsk. Andrzej i Hanusia

Janka Krasickiego), opolskie sklepy „Śnieżka” i „Raj Dziecka”.

Dear friend Picasso

Tydzień po wojnie, pamięta, przez krakowski Rynek przeciągnął wyjątkowy kondukt pogrzebowy. Czterdzieści trumien, a za nimi szedł człowiek z obandażowaną głową. Jedyny, który przeżył ostatnią wojenną egzekucję, bo zdołał zagrzebać się pod martwymi już ludźmi. Był na swoim pogrzebie.

Na dziewiętnaste urodziny Andrzej dostaje prezent od Krysi, którą poznał w kawiarni, a później spotkał na kursie rysunku w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych: rękawiczki z norweskim wzorem. Rosyjskim *saldatom*, którzy pojawili się w Krakowie w styczniu, też się spodobały: *Pan, dawaj!* (z akcentem na drugie „a”). Rękawiczki obronił, ale znajomość z Krysią, której marzył się ślub, nie przetrwała rozłąki – bo wkrótce Andrzej wraz z ojcem (rodzice są po rozwodzie) ruszają do Gdańska. Tam kurs przygotowawczy, gdzie „peterkował”, a potem studia na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, które rozpoczął w granatowej czapce z czarnym daszkiem i biało-czerwonym herbem Gdańska na otoku (specjalnie wystawiał ją na słońce, takie spłowiąłe nosili starsi studenci). I zajęcia

ze znakomitymi profesorami przedwojennych uczelni ze Lwowa i Wilna. Byli wśród nich profesorowie: Marian Osiniński – dziekan Wydziału Architektury, Władysław Czerny, Stanisław Obmiński, Feliks Markowski, Witold Minkiewicz, Jan Borowski, Stanisław Różański, Władysław Lam, Franciszek Otto (asystent słynnego profesora Kazimierza Bartla ze Lwowa), Włodzisław Prochaska, Marian Pęczalski, asystenci: Witold Majewski, Śramkiewicz, Kałędkiewicz...

I Aleksander Kobzdej, adiunkt, uczył ich malarstwa (*bardzo przyzwoicie*), jeden z pierwszych w Polsce socrealistów. Zaskoczył kiedyś wszystkich obrazem *Chirurg*, jak najbardziej picassowskim: ni to człowiek, ni to stwór, z olbrzymim lancetem. Pod wpływem tego kobzdejowego chirurga, picassuje i student Andrzej. Jajowatą, wykrzywioną bólem zdeformowaną twarz, opatrzoną tytułem *Ból zęba*, wkłada do koperty i adresuje: *Picasso, Paryż*. W liście, rozpoczynającym się od słów: *Dear friend*, prosi mistrza o opinię. Mistrz nie odpisał.

Notatki z historii architektury, z podpisem profesora Borowskiego i oceną *bardzo dobrze* wpisaną na ostatniej stronie, ma do dzisiaj, i często z nich korzysta, pisząc teksty o architekturze Opola, m.in. w „Indeksie”, wygłaszając prelekcje radiowe (opoleanie mogli słuchać ostatnio jego opowieści w cyklu audycji red. Barbary Tyslik) i wykłady dla słuchaczy Uniwersytetu III Wieku (dotąd wygłosił 44), i telewizjów. Swoje studenckie notatki pokazywał kiedyś, podczas pobytu w Paryżu, tamtejszym architektom, zaskoczonym poziomem nauki w jakiejś tam dalekiej Polsce.

W tych pierwszych po wojnie latach studenci Politechniki Gdańskiej wykonywali rysunki techniczne na niemieckim papierze marki Schoellershammer, a kiedy go w sklepach zabrakło, „Bratnia Pomoc” sprowadziła ze Szczecina kartony Schoellersa, z odzysku, bo z magazynu przedwojennej uczelni niemieckiej. Wcześniej z kartonu korzystali niemieccy studenci. Rysując na rewersie pokrytego misternymi kreskami papieru, czuł wyraźnie obecność poprzednika, niemieckiego kolegi po fachu.

Po drugim roku studiów adiunkt Majewski z Katedry Historii Architektury proponuje mu prowadzenie wykładów w Gdańskich Technicznych Zakładach Naukowych (szkoła budowlana na poziomie licealnym). Pierwszy wykład. Oparty o tablicę, sparaliżowany tremą, opowiadał uczniom o początkach architektury w Egipcie. Kiedy odszedł od tablicy, z przerażeniem zauważył, że został na niej mokry ślad – tak się spocił. Wstyd. Z czasem nabrał pewności siebie, etat w szkole zachował do końca studiów.

W Gdańsku, zaraz na początku studiów, pojawiła się Hanusia. Pozostanie z nim na zawsze, przez ponad pięćdziesiąt lat.

Swoją przyszłą żonę wypatrzył w gdańskiej cukierence „Słoneczko”. Okazało się, że z koleżanką mieszka, tak jak on, przy ulicy Batorego – Andrzej z ojcem pod numerem 7 (pokój wynajęty u państwa Cholewów;

później przenieśli się do Rubczaków przy Wojska Polskiego, tam ojciec mieszkał do śmierci, a zmarł w wieku 99 lat, w 1997 r., mama w 1984). A Hanusia z koleżanką mieszkały naprzeciwko, pod dziesiątką. Spacerki, kino, koncerty w filharmonii, potańcówki w „Bratniaku”, bale w Szkole Morskiej w Gdyni, tak przez całe studia. Ale ciągle była koleżanką, zwykle żartobliwie przedstawiał ją jako siostrę. Kobietę, z którą chce spędzić życie, dojrzał w Hanusi na fotografii: kolega, zawodowy fotograf, zrobił dziewczynie portret. To zdjęcie stoi dziś na biurku Andrzeja Hamady.

Ślub cywilny wzięli kiedy kończył studia (obrona dyplomu – 30 listopada, promotor: prof. Witold Minkiewicz, temat: projekt teatru na 900 widzów, 9 arkuszy formatu A0). Świadkami na ślubie, 3 sierpnia 1951 roku, byli koledzy z roku – Jan Chałupski i Ryszard Chrabąszcz, Świętowali w barze mlecznym, przy jajecznicy i mleku. Ślubu kościelnego, w połowie 1952 r., już w opolskiej katedrze, udzielił im ksiądz inżynier, rolnik z zawodu (o czym informował parafian kościelny: *kazanie wygłosi ksiądz inżynier Alfons Rymer*).

Blisko gór, czyli w Opolu

Chciałbym być blisko morza, jak w Gdańsku, albo gór, jak w Krakowie – marudził w Łodzi, dokąd skierowano go, pochmurnego, mokrego 1 stycznia 1952 r., nakazem pracy. Biuro Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego ma oddziały terenowe w całej Polsce, także w Opolu, jak mu powiedziano – *blisko gór, miasto wojewódzkie, w dodatku nie mają tam architekta, jest posada kierownika oddziału*.

Już na opolskim dworcu wiedział, że zostanie w tym mieście. Bo dworzec był nietknięty wojną, piękny, jak w Gdańsku. (Po wielu latach odkryje, że współautorem projektów obu budynków był architekt Paul Thomer). Obok okazały budynek poczty. A dalej – morze ruin. W powietrzu wisiała tymczasowość. Odbudowa zrujnowanego rynku (sześć kamienic ocalało i ratusz) ruszyła dopiero jesienią. Od razu uruchomiono dom książki, aptekę „Pod Orłem”, spółemowski dom towarowy, do którego wchodziło się na piętro po skrzypiących schodach, a na rogu – tam gdzie dziś mieści się Galeria Sztuki – działały składy UNRRA.

Obiecane mieszkanie przy ulicy 1 Maja 123 jeszcze nie było gotowe. Zamieszkał w hotelu „Bristol” na rogu Ozimskiej (dziś mieści się tu gmach PZU). Nazwa hotelu imponująca, ale niezbyt adekwatna do warunków: na parterze hałaśliwy bar piwny i restauracja „Zgoda”. I stada myszy. Pokoje dwuosobowe, a firma płaciła za jedno łóżko, więc niemal codziennie miał innego współlokatora. Zaprzyjaźnił się z jednym z nich, Mikołajem Tonderskim z warszawskiego Mokotowa, który osobiście znał jasnowiedza Ossowieckiego. Po opowieściach Tonderskiego długo bał się ciemności.

Wkrótce pisze do swojej Hanusi, do Gdańska, na widokówce z widokiem wypalonego opolskiego rynku, wydanej 5 stycznia 1952 r.: *pracuję, mam dobrą*

robotę, będą dobre pieniądze. Dobra robota trafiła się w Tułowicach: projekt odbudowy i adaptacji domu dawnego właściciela fabryki porcelitu na dom wielorodzinny, dla pracowników upaństwowionej fabryki. Przydaje się taśma miernicza, wykradziona przez krakowskiego kolegę Zdzisława Leonharda z niemieckich składów odzieży wojskowej – o czym przypomina napis, wytłoczony na skórzanej oprawce: *Heeresigentum*, własność wojska (tej taśmy często używał w pierwszych latach pracy, dziś leży w szufladzie jego biurka).

Wczesną wiosną do pokoju w „Bristolu” wprowadziła się Hanusia. Na 1 Maja 123 biegali niemal codziennie. Majster Paweł Duda z Miejskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego (później razem budowali opolskie „Delikatesy”) pozwolił im wstawić do niegotowego jeszcze mieszkania nr 9 (dwa pokoje z kuchnią i ubikacją, drugie piętro, z balkonem), kupione na raty pierwsze meble: stół, cztery krzesła, tapczan i szafę.

Przez pierwsze miesiące, aż do późnej jesieni, spali przy otwartych oknach. Bo świeżo położone tynki schły bardzo powoli, wilgoć wciskała się wszędzie. Ale radość z mieszkania była ogromna. Nawet nie zauważyli braku łazienki, korzystali z łaźni miejskiej, na ulicy Reymonta. Śniadania jedli w barze „Dworco-



W Opolu, rok 1955. Hanna, Andrzej i Kasia Hamadowie

wym” (dziś stoi tu hotel „Merkury”), a obiady u „Babci Samochód” przy ulicy Kościuszki, gdzie stołował się także profesor Jan Seredyka i gdzie zaprzyjaźnili się z aktorskim małżeństwem – Haliną i Janem Machulskimi.

Pracują już oboje. Żona – w księgowości Opolskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Lekkiego przy ulicy Struga. Po sąsiedzku z firmą męża, który zatrudnia kolejnych pracowników. Są tu już technicy budowlani: Krystyna Nizanowska, Kaczmarczyk, Urbacki, Popławski, Kiciński, Friebe, inżynierowie Habdas i Świerc. Dołączy do nich technik Stefan Korzeniowski, fachowiec od instalacji sanitarnych, WiN-owiec, który ujawnił się po ogłoszeniu amnestii przez Bieruta. To z nim młody ojciec, Andrzej Hamada, niesie przez Opole, w 1954 roku, pożyczone łóżeczko dla nowo narodzonej Kasi.

Roboty na Ziemiach Zachodnich było *fantastycznie dużo*. Odbudowywał się cały przemysł lekki, huty szkła, przemysł odzieżowy i meblowy. Budowy były rozrzucone po całej południowo-wschodniej Polsce: Lubań Śląski, Gryfów, Boguszów, Wałbrzych, Siemianowice, Dzierżonów, Głuchołazy (przemysł drzewny), Kluczbork, Tułowice, Brzeg... Remontowali cegielnie i huty szkła, między innymi w Pieńsku, gdzie oprócz szklanek i słoików wydychano także klo-

szę do lamp dla warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, w hucie wałbrzyskiej – szyby do okien wystawowych, szklane rurki do termometrów, a w hucie w Siemianowicach – tzw. baloniki żarówkowe. W Gryfowie opolskie Biuro Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego nadzorowało odbudowę zakładów azbestowych, w których produkowano odzież przeciwogniową.

Podczas remontów również projektował. Między innymi zakłady odzieżowe pod Jelenią Górą, adaptację budynku dla huty szkła i domu kultury w Pińsku, odbudowę i adaptację domów młodego robotnika.... Zdarzały się i wspomagające domowy budżet prywatne zlecenia, np. na odbudowę piekarni w Kędzierzynie-Kuźniczce. Technologów produkcji wtedy nie było, poznawał więc proces wypieku chleba w opolskiej piekarni Malika na Ozimskiej.

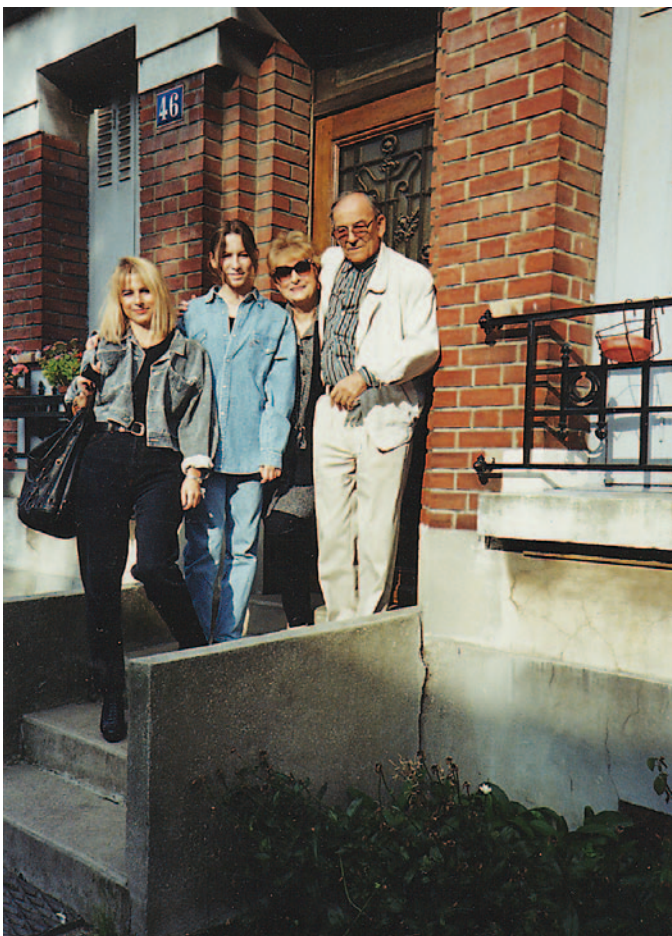
W 1954 r. opolscy architekci: Jerzy Zaic, Bogdan Jezierski i Karol Róża tworzą koło terenowe Stowarzyszenia Architektów Polskich, którego członkiem zostaje także mgr inż. Andrzej Hamada, wkrótce organizator i pierwszy prezes opolskiego oddziału SARP. Dziś – jego prezes honorowy.

Z końcem 1954 r. opolski oddział Biura Dokumentacji Technicznej Przemysłu Lekkiego przenosi się do Wrocławia. Jego kierownik, Andrzej Hamada, postanawia, że zostaje w Opolu. Tu w 1956 roku (jako architekt w Wojewódzkim Biurze Projektów, ul. Sienkiewicza, potem plac Armii Czerwonej, w końcu budynek, w którym mieściła się restauracja „Europa”) zaprojektuje siedzibę Państwowej Orkiestry Symfonicznej, z salą prób (dotąd ćwiczyli po restauracjach) i pomieszczeniami dla administracji. Fronton dzisiejszej filharmonii nawiązywał do modernizmu (właśnie architekci zrzeszeni w SARP-ie ogłosili odwrót od socrealizmu), a okno sali było z pewnością największe w Opolu.

Tymczasem ich mieszkanie na 1 Maja robiło się coraz mniejsze, zwłaszcza gdy mała Kasia nauczyła się biegać. Wtedy też, w roku 1957, Hamadowie zauważyli, że coraz mocniej doskwiera im brak łazienki. Kasia ma już trzy latka, jej tato awansował na kierownika Oddziału Architektury Urzędu Wojewódzkiego w Opolu (przepracuje tam czternaście lat: nadzór i zatwierdzanie projektów, kontrole; a później będzie zastępcą architekta wojewódzkiego, a jakiś czas nawet głównym – z nominacji wojewody Józefa Buzińskiego).

W Polsce jest już za *Gomułki*, polityczna odwilż. W 1957 r. Hamadowie otrzymują mieszkanie po architekcie Stefanie Strugarku, który razem z architektem wojewódzkim Teofilem Kwiatkowskim nie wrócili z wycieczki (wyjazd w ramach Polskiego Związku Motorowego) do Austrii. Kwiatkowski, jak się okazało, ruszył stamtąd do USA, Strugarek do Australii.

Mieszkanie było służbowe, z Urzędu Wojewódzkiego, Krakowska 7, nad kwaciarnią „Storczyk”: dwa pokoje, kuchnia, łazienka. Kiedy do niego weszli, nad piecem kuchennym suszyły się jeszcze pęta strugar-



W Paryżu, rok 2000. Hanna i Andrzej Hamadowie z córką Katarzyną i wnuczką Zuzanną

kowych kielbas. Wkrótce adaptowany na mieszkanie strych nad nimi zajmie malarz Krzysztof Bucki z żoną. O czym dziś przypomina tablica na ścianie domu.

Adres zmienili jeszcze raz, na Rynek. Adaptację strychu na drugim piętrze opracował sam, spierając się później z murarzem, który nie mógł patrzeć na *krzywą ścianę* (ja to panu za darmo nadmuruję!) i dzielące pomieszczenie mury kominowe. Wprowadzili się tam w roku 1964: trzy pokoje, kuchnia, łazienka i wreszcie centralne ogrzewanie. Tam mieszka do dziś. Od dziewięciu lat – bez swojej żony Hanny (zmarła w 2005 r.). Kasia z mężem, córką Zuzią i wnuczką Lusią od lat mieszkają we Francji.

Wykruszył się i krąg najbliższych przyjaciół: Najgebauerowie, Korzeniowscy, Kicińscy... Spotykali się całymi rodzinami na imieninach, przy brydżu. Czasem u Kicińskich, w zajętej przez nich willi w dzielnicy generalskiej (elektryk Kiciński po wojnie, kiedy jeszcze można było, prowadził własny sklep z artykułami elektrotechnicznymi na Książąt Opolskich, później Andrzej Hamada przyjął go do pracy). Poprzedni właściciele zostawili w willi wszystko: dywany, obrazy i gdańskie szafy, pełne porcelanowych naczyń, których przeznaczenia tylko się domyślali. Pamięta, jak śmiali się z talerzyków o osobliwym, zakrzywionym kształcie: na banany! Z gdańskiej szafy Kicińskich pochodzi bogato zdobiony talerz, prezent na imieniny Andrzeja, który dziś wisi wyeksponowany na ścianie. A który długie lata spędził w szafie Hamadów – jako nietrafiony, brzydki prezent, jakaś secesja w dodatku, a wtedy modna była przecież tylko nasza „Cepelia”. Wykopał go z szafy po latach, zerka na sygnaturę: miecze, Meissen, XVIII w., ręczna robota. Miśnieńska porcelana.

Wieżyczka pana Hamady

Przypadek sprawił, że budynek dzisiejszego opolskiego oddziału Banku Gospodarki Żywnościowej, niegdyś spółdzielczego domu towarowego w Rynku, odzyskał wieżyczkę, która zdobiła go w latach przedwojennych. Przypadek, czyli brydż u państwa Alicji i Zbigniewa Ułanowskich.

Budynek był właśnie w gruntownej przebudowie. Projektant chciał jak najwierniej odtworzyć go w dawnym, przedwojennym kształcie, udał się więc po pomoc do konserwatora zabytków Janusza Prusiewicza, ten skierował go do Andrzeja Hamady. Nie potrafił mu pomóc: przedwojenny opolski Rynek często pojawiał się na starych fotografiach i widokówkach – ale pierzeję wschodnią rzadko na nich uwieczniano, nie była tak interesująca jak pozostałe.

Na brydżu u Ułanowskich, poza Hamadami, byli także państwo Danuta i Alojzy Sołtyskowie. I to pani Danuta właśnie pochwaliła się, że ma zdjęcia starego Opola. Zlekceważył trochę jej słowa, przekonany, że zna już wszystkie widoki, tak długo historią miasta się przecież zajmuje. Ale nazajutrz zajął do kuratorium, w którym pani Sołtyskowa pracowała. I nagle na



Andrzej Hamada (fot. Roman Hławacz)

jednym ze zdjęć zobaczył ten pomijany przez fotografów narożnik Rynku. Okazało się, że przed wojną dom zwieńczony był wieżyczką.

To Anna Denkiewicz, ówczesna naczelniczka Wydziału Architektury Urzędu Miasta Opola, nazwała wieżyczkę zdobiącą dziś odrestaurowany budynek banku *wieżyczką pana Hamady*.

Z okna mieszkania architekta, w narożnej kamienicy (południowa pierzeja Rynku) wieżyczki nie widać. Widać Wieżę Piastowską, gmach filharmonii, kościół Ojców Franciszkanów i to, co zostało z ich dawnego ogrodu. Ogołocony z drzew, wystrzyżony trawnik w niczym nie przypomina krakowskiego ogrodu ojców kapucynów, u których w czasie wojny służył do mszy, instruowany przez ojca Kornela i zakrystiana brata Baltazara: w tamtym zakonnicy krzątali się od rana, plewili warzywne grządki, zbierali owoce.

Dwa lata temu odwiedził swój dawny, krakowski kościół, wszedł do zakrystii. *Tu nie ma nic ciekawego*, powiedzieli zakonnicy.

Nie słuchał. Widział tam siebie, kilkunastolatka, jak klęcząc, ubiera księdza do mszy.

Postanowił, że przy następnym pobycie w Krakowie odda przechowywany od wojny klucz od Sukiennic.

Barbara Stankiewicz



Peron na dworcu w Opolu, pocztówka z ok. 1905 r., wł. K. Górniak

Urszula Zajązkowska

Koniec epoki dylizansu

Dworzec kolejowy w Opolu

Dworzec Główny w Opolu jest zabytkiem architektury. Obecnie kończy się jego remont. Pomijając parę potknięć w trakcie jego rewitalizacji, efekt końcowy jest z pewnością zadawalający i wszyscy, którzy korzystają z usług kolei, docenią tę przemianę. Jest więc okazja przypomnieć pokrótce historię tego budynku.

Rozwijający się w XIX wieku na terenie Górnego Śląska przemysł potrzebował sprawnych dróg umożliwiających transport surowców i towarów, m.in. węgla. Odra była co prawda wykorzystywana do transportu różnych towarów, ale z powodu niskich stanów wód nie było możliwe regularne utrzymanie żeglugi. Widoczna poprawa jej żeglowności nastąpiła dopiero w drugiej połowie XIX wieku.

Podobne problemy występowały w innych europejskich krajach, gdzie na skutek rewolucji przemysłowej potrzebne były nowe rozwiązania ułatwiające transport. Prekursorami w rozwoju publicznej linii kolejowej z wykorzystaniem parowozu byli Anglicy. Otwarcie w 1825 roku kolei łączącej Stockton z Darlington potwierdziło trafność takiego rozwiązania.

Na Śląsku pierwszy projekt budowy linii kolejowej został oficjalnie przedstawiony w 1816 roku we Wrocławiu. Autorem projektu był K.J. Karsten, nadzorca śląskiego hutnictwa, który chciał usprawnić transport węgla z kopalń. Zgodnie z jego projektem kolej żelazna miała prowadzić z Wrocławia do Zabrze. Konserwatywne kręgi króla Fryderyka Wilhema III stanowiły barierę dla uzyskania wsparcia nowatorskiego projektu i wpływały na decyzję rządu. Jak było do przewidzenia, projekt ten nie został zaakceptowany.

Podobny los spotkał pierwszą koncepcję połączenia kolejowego z Berlinem. Przedstawiony królowi pomysł został przez władzę zlekceważony. Jak głosi anegdota, król miał powiedzieć: *Bzdura! Nie pojmuję, jak mógłby kogoś uszczęśliwić fakt, iż przybędzie do Poczdamu parę godzin szybciej!* Król i jego otoczenie było przeświadczone o dobrze rozwiniętej sieci bitych dróg w państwie pruskim i nie widziało potrzeby innych, szybszych połączeń – podróż dylizansem bądź

¹ M. Jerczyński, S. Koziarski, *150 lat kolei na Śląsku*, Opole 1992.



Widok Opola od strony południowo-wschodniej, litografia J. Rieden i Ernst Knippel, 1852 r., ze zbiorów MŚO

karetą traktowano jako najlepszy środek komunikacji osobowej, odnosiło się to także do transportu towarów.

Kolejną próbę podjęto w 1830 roku, przedstawiając trzy projekty połączeń kolejowych na Śląsku. Jeden z nich opracowany został przez hrabiego A. M. Renarda z Gross Strehlitz (obecne Strzelce Opolskie), właściciela ziemskiego, przemysłowca i rządowego radcę budowlanego F. T. Krausego. Ich projekt zakładał połączenie linią kolejową Tarnowskich Gór z Odrą, pod Opolem.

W 1836 roku, 3 czerwca, z inicjatywy śląskich potentatów przemysłowych i ziemskich obszarników powstał Komitet Założycielski Kolei Górnośląskiej, na czele którego stanął prezydent rejencji opolskiej hrabia Erdmann von Pückler. W 1840 roku komitet dostał obietnicę uzyskania koncesji, co wywołało lokalne spory na temat przebiegu linii kolejowej. Przy tych rozbieżnościach prezydent rejencji opolskiej wystąpił o opracowanie wariantu rządowego. Zawierania te sprawiły, że komitet postarał się o koncesję na budowę odcinka Wrocław–Opole, którą otrzymał 24 lutego 1841 roku. W sierpniu tegoż roku zatwierdzony został statut spółki Oberschlesische Eisenbahngesellschaft (Kolej Górnośląska).

Pierwszy odcinek linii kolejowej na trasie Wrocław–Oława został oddany 22 maja 1842 roku. W sierpniu linia została przedłużona do Brzegu, a 29 maja 1843 roku kolejnym przystankiem na trasie zostało Opole. W zasadzie pociąg dojeżdżał do Stephanshöf (Szczepanowice), skąd pasażerów do Opola podwoził transport konny – most kolejowy przez Odrę nie był



Plan Opola z 1863 r. opracowany przez F. Eitnera na podstawie planu z roku 1859, ze zbiorów MŚO



Panorama Opola od południowo-wschodniej strony, litografia Gustav Frank, 1882 r., ze zbiorów MŚO

jeszcze gotowy. Na odcinku Wrocław–Opole Zachodnie (Stephanshöh/ Szczepanowice) wzniesiono 44 mosty drewniane i 16 kamiennych, łukowych. Dalsza trasa z Opola do Świętochłowic wymagała zbudowania 104 mostów. Do połączenia Szczepanowic z Opolem potrzebne były dwa mosty stalowe i trzy drewniane.

Ich budowa prowadzona była na terenie zalewowym, co hamowało prace, biorąc pod uwagę niesprzyjającą aurę – lato 1844 było deszczowe i Odra utrzymywała wysoki stan, w trakcie robót dochodziło więc do osunięć nasypów i wykopów. Ostatecznie 31 października 1845 r. otwarto linię z Opola do Gliwic, a 15 listopada



Dworzec Kolei Górnośląskiej, fotografia z ok. 1885 r., ze zbiorów MŚO

– do Świętochłowic. Na trasie Wrocław–Świętochłowice kursowały dwie pary pociągów osobowych i towarowych. Pociągi towarowe prowadziły jednocześnie wagony osobowe. Przejazd całej trasy zabierał 5 godzin i 20 minut. W roku 1846 budowa linii ostatecznie została zakończona w Mysłowicach, a długość całej trasy wynosiła 196,3 km.

W latach 50. XIX wieku oprócz spółek powstawały również towarzystwa kolejowe. Najstarszym towarzystwem kolejowym na Śląsku było Oppeln-Tarnowitzer Eisenbahn (OTE), czyli Kolej Opolsko-Tarnogórska. Towarzystwo, jako nieformalny komitet, powstało z inicjatywy księcia von Ujest, książąt Hugo i Adolfa von Hohenlohe, księcia Viktora von Ratibor, hrabiego Andreea Renarda i wrocławskiego przemysłowca Ruffera w 1855 roku. Towarzystwo to wybudowało w 1858 roku linię kolejową z Opolu do Tarnowskich Gór. Linia łączyła się w Opolu z linią Kolei Górnośląskiej, jednak każda z nich miała swój własny dworzec do obsługi pasażerów. W roku 1862 utworzono kolejne towarzystwo – Rechte Oderufer Eisenbahngesellschaft (ROUE)/Towarzystwo Kolei Prawego Brzegu Odry. Oba towarzystwa połączyły się w 1868 roku pod nazwą tej ostatniej, czyli ROUE.

Budowa linii kolejowych wymagała stworzenia miejsca dla podróżnych i ich obsługi na stacjach przystankowych. O ile wiadomo, kiedy został wybudowany pierwszy dworzec we Wrocławiu (1841–1842), to sprawa budowy opolskiego dworca nie jest już tak jasna. Nastąpiło to zapewne w 1845, kiedy to uporano się z przeprawą przez Odrę i pociągnięto linię do Gliwic. Wizerunek pierwszego dworca Kolei Górnośląskiej w Opolu został uwieczniony na litografii J. Riedena i Ernsta Knippla z roku 1852. Jest on widoczny na dalszym planie, po prawej stronie torów. Natomiast

na pierwszym planie, po lewej, uwieczniony jest domek dróżnika i telegraf optyczny (semafor). Na litografii tej nie zobaczymy natomiast gmachu poczty, który stanął w sąsiedztwie dworca dopiero w 1854 roku. Sam dworzec – na wielowidokowej karcie ukazującej miasto i jego ważne budowle – zamieścił w 1859 roku Seraphin Buffa.

W roku 1858, wraz z otwarciem linii Kolei Opolsko-Tarnogórskiej, zbudowano w Opolu osobny dworzec usytuowany przy torach tej linii. Przebieg torów linii OTE widoczny jest na planie Opolu z roku 1863, sporządzonym według planu H. Zeigena z 1859 r. – także dworzec OTE jest podpisany pełną nazwą „Der Oppeln Tarnowitzer Eisenban”. Linia OTE biegła w Opolu wzdłuż drogi prowadzonej do Strzelec (obecnie ul. Armii Krajowej), przy której usytuowany został dworzec, tory OTE dochodziły do placu w sąsiedztwie poczty, gdzie rozwidłały się na dwa odcinki. Prawy odcinek linii prowadził do punktu przeładunkowego na Młynówce nieopodal Deichstrasse (rejon dzisiejszej promenady przed ulicą Leona Powoźnego). W tym czasie ulica Piastenstrasse (obecna ulica Wojciecha Korfańtego) nie była jeszcze wytyczona, powstała dopiero w 1902 roku. Drugi odcinek doprowadzony był do torów Kolei Górnośląskiej i dalsze połączenie OTE na trasie do Wrocławia było uzależnione od tej linii.

Dworzec Kolei Górnośląskiej i dworzec OTE uwiecznił w 1882 roku, na panoramie ukazującej Opole od strony południowego wschodu, Gustav Frank. Natomiast pierwsze znane zdjęcie dworca Kolei Górnośląskiej wykonane zostało około roku 1885. Przedstawia dworzec od strony torów. Na budynku umieszczony jest duży napis OPPELN, po lewej stronie napisu mniejszymi literami zaznaczony jest kierunek: Breslau (Wrocław), a po prawej: Myslowitz (Mysłowice).



Nowy dworzec w Opolu, widok od strony torów, pocztówka z 1899 r., ze zbiorów MŚO



Nowy dworzec w Opolu, widok od strony torów, pocztówka z ok. 1905 r., wł. K. Górniak

wice). Fotografia nie jest sygnowana. W zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego zachowało się jeszcze jedno ujęcie dworca Kolei Górnośląskiej. Przedstawia ten sam dworzec w czasie oczekiwania na przyjazd ważnego gościa, budynek jest udekorowany flagami i girlandami zieleni, przed dworcem stoi orkiestra i tłum ludzi. Za budynkiem dworca z prawej strony widać fragment gmachu poczty. Na tym zdjęciu, w prawym dolnym rogu, można dostrzec odcisk suchego tłoka z napisem „Gebr. Katzbach, Oppeln”. Niestety oryginalna fotografia nie zachowała się w naszych zbiorach, posiadamy jedynie to zdjęcie dokumentujące przedwojenne zbiory muzeum, wśród których była fotografia Katzbachów. Trudno obecnie ustalić, kiedy zdjęcie zostało zrobione, można jedynie przypuszczać, że stało się to prawdopodobnie około 1882 roku.

Plan Opola z roku 1895 ukazuje nam natomiast zmiany, jakie zaszły w samych towarzystwach. Nie ma już linii OTE, jest natomiast linia ROUE i pod taką nazwą występuje też dworzec tej linii. Od 1876 roku w rządzie pruskim rozważano konieczność upaństwowienia kolei, co nastąpiło w odniesieniu do kolei śląskich po 1884 roku, kiedy to sukcesywnie zaczęto przejmować wszystkie spółki.

Zmiany te sprawiły, że dwa budynki dworcowe w Opolu przestały być potrzebne. W roku 1898 przystąpiono do przebudowy węzła kolejowego w Opolu i likwidacji starych budynków dworcowych, w miejsce których podróżni otrzymali jeden okazały dworzec. Budowę nowego dworca ukończono w maju 1900 ro-

ku. Projekt gmachu przypisuje się architektowi berlińskiemu Paulowi Thoemerowi. Zasadniczo składał się on z dwóch budynków połączonych tunelem. Był to hall wejściowy i budynek kasowy z poczekalnią i restauracją. Oprócz tunelu głównego zbudowano tunele łączące dworzec z peronami i pocztą. Na jednej z widokówek wysłanych z Opola można przeczytać adnotację porównującą opolski dworzec z dworcem wiedeńskim.

W roku ubiegłym minęło 170 lat od chwili wybudowania linii kolejowej na trasie Wrocław – Opole, w roku przyszłym obecny dworzec będzie miał 115 lat. Przy okazji jego rewitalizacji mam nadzieję, że tablica z napisem *150 lat kolei/ najstarsza linia kolejowa na ziemiach polskich...* zostanie przeniesiona do magazynu. Prawda historyczna jest przecież zupełnie inna, chyba że będzie to tablica z napisem: *Najstarsza linia kolejowa na Śląsku lub w granicach państwa polskiego ustalonych po zakończeniu II wojny światowej.*

Urszula Zajczkowska

Przy pisaniu tego tekstu korzystałam z pracy: M. Jerczyński, S. Koziarski, *150 lat kolei na Śląsku*, Opole 1992. Panu Kazimierzowi Górniakowi dziękuję za udostępnienie swojej kolekcji pocztówek do zilustrowania tekstu.

Andrzej Hamada

Mocne wejście

Opolskie portale

Ozdobne obramowanie wejścia lub bramy wjazdowej do budynku przyjęło się w architekturze nazywać portalem; od łacińskiej nazwy *porta*, co znaczyło tyle co *brama*, *drzwi*, *wejście*. Podobnie jak portyk, najbliższe rodzeństwo portalu, którym jest przestrzennie rozbudowana dekoracja wejścia do budynku, najczęściej w postaci niewielkiego frontonu kolumnowego antycznej świątyni, a zdobiąca bardziej reprezentacyjne budowle sakralne i świeckie, pałace¹. Portal podkreślał znaczenie, ważność głównego wejścia do budynku, ale też znaczenie i ważność osoby jego właściciela. Jednym słowem – był mocnym wejściem.





Wraz z ogólnym rozwojem form architektonicznych, z rozwojem stylowym, rozbudowuje się z czasem i wzbogaca kształtowanie portalu. Od prostej opaski profilowanej, poprzez pilastry (półkolumny) z naczółkami, kolumnienki z tympanonem albo archiwoltą, do wzbogaconych dekoracją rzeźbiarską portali późnoromańskich i gotyckich, do pełnego rozkwitu dekoracyjności w stylach renesansowym i barokowym, gdzie, pośród bogatego zdobnictwa klasycznego, występują również posągi, atlanty. Nierzadko też spotykamy portale wzbogacane inskrypcjami, także w języku łacińskim; od najprostszych, w rodzaju *Salve!*, do rozbudowanych, wierszowanych sentencji.

Współczesny nam modernizm, odrzucający z zasady wszelkie zbędne („sztuczne”, nie wynikające z konstrukcji lub funkcji) zdobnictwo, rezygnuje z tradycyjnej formy portalu, podkreślając rangę głównego wejścia w inny, funkcjonalny sposób, np. poszerzona przeszklona partia wejściowa, cofnięcia, wysunięcia z lica budynku, proste zadaszenia, monumentalne schody.

Polska architektura od zarania kształtuje się w nurcie architektury europejskiej, reprezentuje więc wszystkie europejskie odmiany stylowe, z wszelkimi przynależnymi im atrybutami. Znajdziemy zatem w Polsce bardzo liczne portale i portyki charakterystyczne dla epok stylowych; zdobią frontony historycznych budowli, są niemym świadectwem bogactwa i dostojności, społecznej pozycji ówczesnych właścicieli posiadłości.

Szczególnym ewenementem jest wyjątkowo duża liczba zabytkowych, głównie renesansowych i barokowych, portali na starym mieście w Krakowie. A zdobią one przede wszystkim domy mieszczańskie ludzi o przeciętnej pozycji, i takie też ich domostwa o

niewyróżniającej się, przeciętnej architekturze. Ten architektoniczny ewenement, obok typowych dla Krakowa skarp i pochyłych ścian, wyróżnia się i zwraca uwagę pośród miast europejskich, posiadających zachowane stare, średnio-wieczne śródmieście.

Nasze miasto Opole buduje się od wczesnego średniowiecza (XIII wiek), od swego początku jest pod wpływem zachodnioeuropejskiej sztuki budowania. Bardzo wczesnie, bo już od trzynastego wieku wznosi się tu budowle z cegły (mury obronne, wieże zamków, pierwsze kościoły, a potem i domy mieszkalne); ten nowy materiał umożliwił przetrwanie przez wieki, do dziś, budowli wznoszonych w tamtych odległych, średniowiecznych czasach. Mamy więc w Opolu budowle bardzo dawne, z czasów gotyku i baroku, ale tych zachowało się niewiele. A portali jeszcze mniej?

Najstarszym stylowo jest gotycki portal głównego wejścia do kościoła katedralnego, najstarszej (z pocz. XIII wieku) i najważniejszej opolskiej świątyni. Ostrołukowe, zwielokrotnione obramowanie w cegle, bardzo charakterystyczne dla stylu gotyckiego. Ten XV-wieczny portal odtworzono w XIX wieku, kiedy to wzniesiono cały nowy fronton katedry wraz z wieżycami. A teraz, w ostatnich latach XX wieku wzbogacono jeszcze to wejście spiżowymi wrotami z bogatą płaskorzeźbą scen religijnych, autorstwa opolskiego artysty rzeźbiarza Adolfa Panitza.

Dojrzały barok w najlepszym wydaniu (regencja³) prezentuje wejście do klasztoru Franciszkanów, plac Wolności 1. Datowany na rok 1726, bogaty, jak na barok przystało, kamienny portal: dwa pilastry wspierają belkowanie i silnie ku górze wygięty gzyms, zwieńczony po bokach kwiatowymi wazonami. Między zwornikiem i gzymsem kartusz z emblematem zakonu minorytów: skrzyżowane ręce św. Franciszka i Chrystusa, nad nimi krzyż. Ten autentyczny, prawdziwie barokowy portal nobilituje najstarszy w Opolu klasztor Franciszkanów, sprowadzonych i osadzonych tu już w XIII wieku przez opolskich księżąt.

Późnobarokowy jest portal kamienicy mieszczańskiej w Rynku nr 12, z połowy XVIII wieku: archiwolta, łuk z zaznaczonym zwornikiem i przewiązka-

² Liczne kataklizmy, wojny, pożary skutecznie niszczyły zabudowę miasta, np. wielki pożar w 1615 roku zniszczył prawie całe miasto, a front wojny w 1945 roku prawie całe stare śródmieście.

³ Fr. regence, późny barok znamionujący już rokoko, pojawił się we Francji w okresie regencji 1715-1723.



MODERNIZM XX W - UL. 1 MAJA 107

POSTMODERNIZM - KONEC XX W.
ARSH. JAN OLEWIECKI
UL. ZAMKOWA 2

mi u podstawy łuku. Flankowanie pilastrami jońskimi, zwieńczonymi tralkowymi sterczynami, nad archiwoltą płycina z bogatym ornamentem roślinno-wstęgowym. I jeszcze nad portalem oryginalna, zachowana w pierwotnym stanie płaskorzeźba sceny zwiastowania.

Również w Rynku, dom narożny z ulicą Zamkową (Rynek nr 1), słynny historycznie „Dom Książęcy”, dawna własność księżąt opolskich, miał XVIII-wieczny barokowy portal; ale w 1927 roku przeniesiono wejście do tej kamienicy na ul. Zamkową i tam, prawie wiernie, odtworzono ten portal. Obramowanie z pilastrów (z głowicami kompozytowymi), dźwigających architrav i gzyms; wewnątrz archiwolta z łukiem zaakcentowanym zwornikiem i stopkami.

Dopiero następane wieki, XIX i XX, kiedy to miasto intensywnie się rozbudowuje i powstają nowe dzielnice poza starym śródmieściem, stworzą architekturę, która przetrwa do naszych czasów. Wraz z nią bardzo liczne portale stylowe, odpowiednio do XIX-wiecznego klasycyzmu, eklektyzmu i neogotyku, a później *fin-de-siecle*'owej secesji i wreszcie XX-wieczny modernizm, z jego odmianami lat dwudziestych (*art deco*) i trzydziestych, i czasów powojennych do współczesnego nam postmodernizmu.

Wymienię tylko niektóre, często spotykane na mieście:

- klasycystyczne (wiernie odtwarzane formy klasyczne) – ul. św. Wojciecha 13, Ozimska 2,
- eklektyczne (swobodne posługiwanie się formami z różnych epok) – ul. Grunwaldzka 5, Podgórna 1, Franciszkańska 9,
- neogotyckie (wyłącznie formy gotyckie) – ul. Książąt Opolskich 21, Kościuszki 14, pl. Kopernika 11a,
- secesja (zupełne odejście od form klasycznych,

motywy roślinne) – ul. Damrota 4, Reymonta 20, Książąt Opolskich 36b, Kołłątaja 12,

– art deco (kontynuacja odejścia od form klasycznych, motywy geometryczne) – ul. Ozimska 6, Spychalskiego 17, Strzelców Bytomskich 8,

– modernizm lat 30. (formy proste, tylko funkcja i konstrukcja) – ul. Spychalskiego 1, Niedziałkowskiego 1, 1 Maja 107, Ratusz, wejście od strony zachodniej,

– postmodernizm (modernizm lekko zdobiony, swobodna adaptacja form klasycznych) – ul. Zamkowa 2, Szpitalna 5, ks. Kominka 6a, Żwirki i Wigury 9a.

Portal jest rozpoznawalnym znakiem stylu architektonicznego. I świadectwem przeszłości.

Andrzej Hamada

PS. W tekście pt. *Balsac w Opolu*, zamieszczonym w czerwcowym numerze „Indeksu”, Andrzej Hamada przypomina – za Szymonem Koszykiem – piosenkę, śpiewaną często przez biesiadników w szynku Hajborna (u zbiegu ulic Sienkiewicza i Oleskiej w Opolu, dziś mieści się tu jadalnia PCK). Podczas przygotowań do druku „rozsypały się” linijki, co zniekształciło sens piosenki. Brzmi ona tak:

*Jak jou przysed do kasarni
Zygor dziesięć był,
Spytał mie sie nas feldwejbel:
Dzieś tak długo był?*

*Tyś tam u Hajborna był,
Jou cie bana meldował.
Jou go ale piyknie prosil,
To mi darował.*

Rodzinne tropy, obce ślady

Z Joanną Helander, fotografką, reżyserką, pisarką i tłumaczką,
rozmawia Anna Patelska

– **Od kilkudziesięciu lat mieszka Pani w Szwecji, ale urodziła się Pani w Polsce, w Rudzie Śląskiej. Jak Pani wspomina swoje dzieciństwo?**

– Była nas trójka rodzeństwa. Moja matka całe życie pracowała, często nie było jej w domu, wychowywała nas babcia ze strony mamy Emilii Hajdugi. W pierwszych powojennych latach mój ojciec był szefem apro-wizacji na całe miasto, rodzina nie cierpiała więc niedostatku, sytuacja zmieniła się dopiero w 1948 roku. Mój dom nie był domem szczęśliwym. Myśmy zaznali dużo ciepła ze strony babci, ciotki, matki. Ale nasz ojciec miał pewien problem z utożsamieniem się z PRL-em. Bo rodzice przed wojną mieli sklep, ojciec uczęszczał do gimnazjum i miał inne plany na przyszłość, tymczasem po wojnie jego losy potoczyły się zupełnie inaczej. Był sceptykiem (tę cechę się jakoś dzieciom przekazuje, czy się chce, czy nie). Dla nas było oczywiste, że panujący system polityczny jest skorumpowany, nie-ludzki i niesprawiedliwy. Ale nie mogę powiedzieć, że moja rodzina była jakoś szczególnie zbuntowana. Owszem, ojciec się buntował przeciwko wielu sprawom,

ale nie należeliśmy do opozycji, w mojej rodzinie nie było też bojowników o polskość Śląska.

– **Czy Pani ojciec Gerard Koszyk jest spokrewniony z plebiscytowym działaczem na Śląsku Opolskim Szymonem Koszykiem?**

– Chciałabym dowiedzieć się, czy mamy wspólne korzenie z tymi Koszykami. Ale na razie nie wiem nic na ten temat.

– **W życiu Pani i rodziny ze strony ojca dużą rolę odegrały Luboszyce koło Opola...**

– Moja babcia ze strony ojca, Gertruda Schifftan, zmarła, jak miałam dziesięć lat. Urodziła się w Kotorzu Małym k. Turawy, ale z tego, co wiem, chyba długo mieszkała w Luboszycach, o których często się u nas mówiło. Ale ja nigdy tam nie byłam w dzieciństwie. Rodzeństwo babci: Leopold, Frida i Helena, na którą wszyscy mówili Tarantka (bo wyszła za mąż za Austriaka Taranta) – chyba już urodzili się w Luboszy-

Joanna Helander – ur. w 1948 r. polska fotografka, reżyserka filmów dokumentalnych, pisarka i tłumaczka. Mieszka i pracuje w Göteborgu oraz Krakowie. W 1981 r. doprowadziła do prezentacji kultury niezależnej na festiwalu polskiej sztuki, teatru i filmu w Szwecji, w którym wzięli udział m.in. artyści Grupy Wprost, Teatr Ósmego Dnia, Ryszard Krynicki oraz Agnieszka Holland. Zaprezentowała wtedy diaporamę *Niech żyje Polska* opartą na własnych fotografiach i wierszach Ryszarda Krynickiego, opracowała też antologię *Knebel i słowo*, w której znalazły się wiersze Stanisława Barańczaka w jej tłumaczeniu na szwedzki oraz m.in. teksty Teresy Torąńskiej, Aldony Jawłowskiej, Elżbiety Morawiec i Tadeusza Nyczka. W latach 1981–1982 była współorganizatorką (wraz z Bo Perssonem) uroczystości w Folkets Hus w Sztokholmie, z której dochody przeznaczone były dla więźniów politycznych w Polsce. Przy tej okazji ukazała się w Szwecji książka *Polska vinterbrev* z tekstami Leszka Kołakowskiego, Stanisława Barańczaka, Sławomira Mrożka i jej fotografiami. W 1983 roku została Fotografem Roku w Szwecji. W latach 1985–1986 wraz z Bo Perssonem reżyserowała w Moderna Museet w Sztokholmie poetycki kabaret *Polska jest snem szaleńca*, oparty na wierszach Mirona Białoszewskiego, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej oraz przedstawienie poetycko-muzyczne *Rozdarty jest mój płaszcz* z tekstami Brunona Schulza, Nelly Sachs i Paula Celana. Albumy fotograficzne: *Kobieta*, *Gerard K*, *Gdyby ta Polka była tutaj z nami*. Razem z Bo Perssonem przetłumaczyła na szwedzki zbiór wierszy Ryszarda Krynickiego *Planeta Fanstamagoria*, który zawiera również jej fotografie. W ich tłumaczeniu ukazała się również książka Władysława Bartoszewskiego *Warto być przyzwoitym*. Wspólnie zrealizowali m.in. filmy: *Teatr Ósmego Dnia*, *Powroty*, *Blizniaczki z Krakowa*, *Walc z Miłoszem*, *Wieczorem patrzą na księżyc*.



Joanna Helander z Wisławą Szymborską

cach. Po wielu latach, zbierając materiały do książki o moim ojcu, odnalazłam dokumenty, w których Gertruda zwraca się do wójta, pytając, co stało się z posiadłościami po rodzeństwie mieszkającym w Luboszycach. Mąż mojej siostry Gabrieli, Staffan Böös, bardzo interesował się naszą przeszłością. Chciał pomóc nam zdobyć informacje na temat naszych żydowskich korzeni z Luboszyc, jeszcze zanim siostra wyjechała do Szwecji w 1970 r. Po latach, w Internecie, znalazłam fotografię tego domu w Luboszycach, obecnie mieści się tam kwiaciarnia. Po raz pierwszy przyjechałam do Luboszyc pod koniec lat 80., przygotowując film o moich żydowskich krewnych, zatytułowany *Powroty*.

– Czy Państwa rodzina starała się odzyskać posiadłość w Luboszycach?

– Nie wiem dlaczego, ale nie. Helena Tarant (z domu Schiffan, siostra mojej babci) mieszkała w Luboszycach dłużej niż moja babcia Gertruda. Mój ojciec oraz jego rodzeństwo przeżyli wojnę, ale i po wojnie bali się swojego żydostwa. Pytałam, jak to się stało, że udało im się przeżyć, ale nikt nie umiał mi na to pytanie odpowiedzieć.

– W najnowszym filmie autorstwa Pani i Bo Perssona pt.: *Watching the Moon at Night*, którego premiera odbyła się we Wrocławiu 19 października br., pojawia się Walter Laqueur – historyk mieszkający

obecnie w USA, który też wspomina rodzinę Schifftanów...

– We wsi Miejsce (przed wojną Staedtl), na trasie Opole–Namyśłów znajduje się cmentarz żydowski, na którym najwięcej pochowanych jest osób z rodzin: Schifftan i Laqueur. Kiedy pod koniec lat 80. kręciliśmy tam sceny do filmu *Powroty*, bardzo mnie to zastanowiło. Sfilmowaliśmy wówczas grób, który okazał się grobem praprapradziadka Waltera Laquera. Ja nie znam hebrajskiego, ale Walter odszyfrował ten napis i zorientowaliśmy się, że jesteśmy blisko spokrewnieni.

– Jakie informacje pomogłyby Pani w rekonstrukcji losów rodziny?

– Chciałabym bardzo wiedzieć, jak to się stało, że ich wypędzono z Luboszyc. Kiedy i jak do tego doszło? Z całą pewnością nie był to wyjazd dobrowolny. Z moich in-

formacji wynika, że Schifftanowie wyjechali z Luboszyc w 1938 r., ale pewności nie mam. Przed wywózką spisywali tzw. Vermögenserklärung, w tym dokumencie jest napisane: zamieszkały we Wrocławiu od 1938 roku, stąd wnioskuję, że z Luboszyc wywieziono ich na Wschód, gdzie zostali zamordowani przez Niemców. Chciałabym kiedyś przyjechać do Luboszyc, żeby poszukać starych fotografii z tamtych czasów.

– Podczas spotkania w Luboszycach oraz we Wrocławiu podczas premiery nowego filmu opowiadała Pani, że brała udział w studenckich zajęciach Marca 1968. W tym samym roku została skazana na dziesięć miesięcy więzienia za protest przeciwko inwazji krajów Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Po opuszczeniu więzienia zawieszona w prawach studenta powróciła do Rudy Śląskiej, a w 1971 roku wyemigrowała do Szwecji. Skąd ten bunt wobec ówczesnej rzeczywistości politycznej?

– Na pewno w dużej mierze stosunek mojego ojca do rzeczywistości politycznej wpłynął również na moje poglądy. Sama wiedza o świecie i o tym, co się działo wówczas poza Polską przyszła nieco później. Odkąd pamiętam, zawsze chciałam uciec z Rudy Śląskiej. Z myślą o tym, by wyjechać w świat, rozpoczęłam studia romanistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim – po ukończeniu Liceum im. Adama Mickiewicza w Rudzie Śląskiej, gdzie w wieku 17 lat zdałam maturę. Duży wpływ na ten wybór miała moja nauczy-

cielka języka francuskiego, pani Renata Drobny, która zainteresowała mnie francuską literaturą egzystencjalną. Bardzo wcześnie zaczęłam czytać teksty Simone de Beauvoir oraz Sartre'a. Pani Drobny nie była typową mieszkanką Rudy: była samotną intelektualistką, kontakt z nią wywarł istotny wpływ na moje życie.

– Czy początki Pani zainteresowania fotografią również mają swoje korzenie w Rudzie Śląskiej, w liceum?

– Dziennikarze pytają mnie zwykle, który z wielkich fotografów był dla mnie inspiracją. Tymczasem wszystko zaczęło się w malutkiej ciemni w Rudzie Śląskiej przy ul. Kościelnej, której właścicielem był Tadeusz Kajzer, drukarz, ojciec Ireny, mojej przyjaciółki z lat szkolnych. Wspólnie z nią, w tej małej kanciapce wywoływałyśmy zdjęcia. Pamiętam, jak w nocy otwierałyśmy drzwi i przy blasku księżyca robiłyśmy zdjęcia – to było dla mnie przeżycie mistyczne. To mnie zaraziło ciekawością do zawodu fotografa i było ważniejsze niż każda inna inspiracja. Niektóre z tych zdjęć, które wówczas zrobiłam, mam do dziś – one przez lata dawały mi siłę. Ale w Polsce nie zostałam fotografem, bo wtedy, według mnie, nie było w Polsce szkoły, która odpowiadałaby moim zainteresowaniom fotograficznym. Łódzka Szkoła Filmowa była wówczas dla mnie zbyt odległa i nieosiągalna, studiowanie w niej nawet nie przyszło by mi do głowy. Owszem, funkcjonowały techniczne szkoły fotograficzne, ale sama technika mnie nie interesowała. Nie byłam też zainteresowana studiowaniem na Akademii Sztuk Pięknych. Myślę, że gdybym została w Polsce, moje życie zdominowałyby nie fotografia, ale pisanie.

– Wróćmy do Marca 1968 i późniejszego wyjazdu do Szwecji...

– W 1968 r., wspólnie z siostrą i koleżanką, bardziej dla żartów niż z powodów politycznych, powiesiłyśmy plakat w Domu Studenckim „Zaczek”. Napisane było na nim: *Moskale ręce precz od Czechosłowacji*. Plakat wisiał tylko dziesięć minut... (odnalazłam go, po latach, w Instytucie Pamięci Narodowej). W więzieniu przebywałam dziesięć miesięcy, czyli: jeden miesiąc za każdą minutę protestu. Po wyjściu z więzienia nie miałam ani akademika, ani stypendium, nie miałam gdzie mieszkać... W tym czasie, w roku 1971, w Szwecji mieszkała już moja siostra Gabriela, w Szwecji osiadł również mój brat, nic więc dziwnego, że chciałam wyjechać i ja. Ale ciągle odmawiano mi paszportu. Wtedy z pomocą przyszedł mi szwagier, dzięki któremu do Polski przyjechał Björn Helander, mój przyszły mąż. I razem, już jako małżeństwo, wyjechalśmy do Szwecji. Było to więc typowe małżeństwo z rozsądku, ale przeżyliśmy razem prawie dziesięć lat i do dziś przyjaźnimy się (ja zawsze bardzo polecam małżeństwa z rozsądku!). Przez kolejnych pięć lat od-

cięłam się od Polski całkowicie. Nie jeździłam do Polski, chociaż nikt mi tego nie zabronił, nie czytałam po polsku... Chciałam od razu wejść w szwedzkie społeczeństwo – najwidoczniej tego potrzebowałam. Wydawało mi się, że trafiłam do raju: mogłam uczyć się języka, czytać, co tylko chciałam i oglądać filmy, jakie chciałam. Wcześniej znałam już język francuski i miałam opanowaną technikę nauki obcego języka.

– W Pani twórczości bardzo obecny jest Peerel...

– Po raz pierwszy od wyjazdu do Szwecji przyjechałam do Polski, do Rudy Śląskiej, w 1976 roku, żeby zrobić pracę dyplomową (w Göteborgu skończyłam Studium Fotografii) I nagle odkryłam, że to miejsce jest inspirujące. Bardzo mnie poruszył ten powrót, dlatego zaczęłam fotografować to, co widziałam, to, co wtedy wydawało się czymś bardzo oczywistym, a co nie miało pieczęci: *To jest PRL*. To była na przykład wytwórnia cukierków, gdzie moja matka była kierowniczką. Z tych zdjęć zrobiłam wystawę dyplomową w Göteborgu. A później powstał mój pierwszy album: *Kobieta* (tytuł brzmi tak samo po polsku i szwedzku), wydany w 1978 roku. Praca została dostrzeżona, jedno ze stowarzyszeń artystycznych w Göteborgu zwróciło się do mnie z prośbą o zorganizowanie imprezy poświęconej alternatywnej kulturze polskiej. Zaczęłam jeździć do Polski w poszukiwaniu takich obszarów polskiej kultury, które były nieobecne na oficjalnych pokazach organizowanych przez Ambasadę PRL. W ten sposób, w 1981 roku, trafiłam do Teatru Ósmego Dnia oraz do poetów: Staszka Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Wisławy Szymborskiej, Czesława Miłosa i innych. Pokazałam wtedy filmy Agnieszki Holland i Kazimierza Kutza. W tymże 1981 roku, poprzez Teatr Ósmego Dnia, który zaprosiłam do Göteborga na Festiwal Kultury Alternatywnej, poznałam Szweda – Bo Perssona, studenta filozofii, antropologii i filmoznawstwa. Wspólnie później zrobiliśmy kilka filmów, m.in. o Teatrze Ósmego Dnia, o mojej pracy fotografa oraz wspomniane już *Powroty*, nawiązujące do przeszłości mojej rodziny Schifan z Luboszyca.

– Czy w związku z udziałem w wydarzeniach 1968 roku, odczuwała Pani w późniejszym czasie działania cenzury?

– Nie publikowałam wówczas w Polsce. Wszystkie materiały, które przywoziłam z Polski, były publikowane w Szwecji. Zdjęcia wywoływałam w Rudzie Śląskiej, w malutkiej łazience u babci ze strony mamy – Emilii Hajdugi. Bałam się, aby, pod zarzutem antypolskości, nie zarekwirowali mi na granicy tych zdjęć; na kliszach była moja rodzina: ciotki, wujowie... Ale wiem, po lekturze swoich akt w IPN, że interesowała się mną Służba Bezpieczeństwa. Wiem, kto na mnie donosił i kto mnie bronił. Ira Kajzer, Dora Koloch i ja, Hana Koszyk (bo tak na mnie mówiono),

byłyśmy przyjaciółkami. (Obydwie wyemigrowały do Niemiec. Z Dorotą mam kontakt do dziś, ale z Ireną go straciłam i bardzo chciałabym znowu ją spotkać). I właśnie Dora, jako jedyna spośród wszystkich osób przesłuchiowanych w trakcie procesu, bardzo sprzeciwiała się mojemu aresztowaniu. Podkreślała, że jestem osobą o wysokim morale i że wyrządzają mi krzywdę, przetrzymując w więzieniu. Zachowała się bardzo odważnie. W aktach znajduje się też zapis dotyczący Doroty: *nie nadaje się na współpracownika*.

– **Jakie są Pani plany na przyszłość?**

– Mam bardzo dużo zleceń z Polski, zamówienia na portrety pisarzy. Współpracuję też z artystami w Polsce, z Krystyną i Ryszardem Krynickimi, którzy wydają w wydawnictwie A5 serię książek poetyckich. Planuję zrobić portrety Ewy Lipskiej, do istniejącej już kolekcji portretów poetów – moich rówieśników, wśród których są m.in.: Staszek Barańczak i Julian Kornhauser (bardzo przystojny mężczyzna!), czyli nasi nowofalowcy. Współpracuję z wydawnictwem Znak, w którym właśnie ukazała się książka Jerzego Illga pt. *Rozmowy – zbiór rozmów z zaprzyjaźnionymi twórcami* – w tym i rozmowa ze mną.

– **Wasz najnowszy film jest zrobiony w konwencji, która na pewno przemówi do młodych ludzi, niesamowita jest także kompozycja: we wstępie fragment wiersza Szymborskiej, później „katastroficzne” instalacje Teatru Ósmego Dnia, relacje osób, bezpośrednio dotkniętych terroryzmem, wypowiedzi historyków i na zakończenie kolejny frag-**

ment wiersza Szymborskiej. Skąd pomysł na film o terroryzmie i antysemityzmie?

– Bo Persson żyje tym problemem od lat, dużo czyta na ten temat i ma ogromną wiedzę, a ja uczę się od niego. Chcieliśmy pokazać związek pomiędzy antysemityzmem i terroryzmem. Bo taki związek jest – wydawałoby się, że na przykład w Irlandii terroryzm nie ma nic wspólnego z antysemityzmem, ale jednak taka relacja istnieje. Nie ominęliśmy i tematu antysemityzmu w Polsce, ale staraliśmy się nie przedstawiać go w sposób uproszczony, jako polski fenomen. Antysemityzm jest bowiem wszędzie. Występująca w filmie Joanna Tokarska-Bakir mówi, że to nie jest polska cecha charakteru, a antysemityzm przyszedł do Polski z Europy. Pamiętam, jakim zaskoczeniem było dla mnie odkrycie, że w pięknej, starej katedrze w Uppsali znajduje się bardzo antysemicka w przekazie rzeźba z czasów średniowiecza. Pewnie inspiracja pojawiła się z Niemiec.

– **Kiedy możemy się spodziewać opolskiej premiery filmu *Watching the Moon at Night*?**

– Opole gościło mnie już podczas wrześniowego wernisażu wystawy zorganizowanej w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu, pt.: *Zbiegną się wszystkie światła stony*, podczas której prezentowano twórczość artystów mieszkających poza granicami kraju. Mam nadzieję, że wiosną przyszłego roku spotkamy się ponownie podczas opolskiej premiery naszego najnowszego filmu.

Sprostowanie

Do tekstu pt. *Podpowiedzi z indeksu* Krystyny Dudy, opublikowanym w poprzednim numerze „Indeksu”, wkradły się błędy, za które przepraszam w imieniu autorki i swoim, a które dotyczyły imion wspomnianych przez autorkę pracowników Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu: **Mariana Kaczmarka**, **Stefana Smaka** i **Zygmunta Łomnego**.
Barbara Stankiewicz

Piotr Obrączka

Byłem *staczem* w Mediolanie

Przebywając w kwietniu 2012 roku w Mediolanie, chciałem pójść m.in. do słynnej opery na *Toskę* Giacomina Pucciniego. Jest to dosyć trudne, zważywszy, że La Scala, na skutek kłopotów finansowych i rozmaitych problemów organizacyjnych, m.in. częstych protestów personelu technicznego, wystawia rzadko, zazwyczaj dwa razy w tygodniu. Ze znacznym wyprzedzeniem usiłowałem zamówić bilety przez Internet, ale okazało się, że w pierwszej godzinie pierwszego dnia przedsprzedaży nie było już biletów, wszystkie zostały sprzedane *na pniu*. Na miejscu okazało się, że biletów nie ma też w centralnych kasach opery (nawiasem: mieszczących się nie w gmachu opery, lecz w podziemnym przejściu na placu Katedralnym, około 300 metrów od La Scali). Od biedy można było nabyć bilety od *koników* (instytucji znanej niegdyś i w Polsce), bezpośrednio przed przedstawieniem, oczywiście po znacznie wyższej cenie niż oficjalna, która dochodziła w tym dniu do 187 euro. Wybrałem inne rozwiązanie, dosyć czasochłonne, ale skutecznie. Otóż: w lewym skrzydle budynku opery (za Muzeum Operowym La Scali) znajduje się kasa wieczorowa, sprzedająca bilety wyłącznie na dany dzień. Pod arkadami przed ową kasą zbiera się przeto od rana grupa operomanów, pragnących zdobyć upragniony bilet. O godzinie 13 działacze towarzystwa miłośników opery rozpoczynają wpisywanie nazwisk na specjalną listę (znowu analogie do niedawnej polskiej tradycji kolejek, list społecznych i *staczy*). W owym dniu było ponad 150 wolnych biletów, natomiast kolejka liczyła ponad 200 osób. Staliśmy w dwójkę (bo każdej osobie przysługuje jedynie jedno miejsce na liście i w konsekwencji jeden tylko bilet) od godz. 10, a więc trzy godziny. Kolejka stała, niektórzy siedzieli na składanych krzesłkach lub wprost na ziemi. Obok elegancko ubranych pań i panów (potem okazało się, że stojący obok nas operoman liczy sobie ponad 92 lata!), turystycznej młodzieży z całego świata (przede wszystkim z Japonii), stali również menele, raczący się obficie winem i piwem. Nie widzia-

łem ich później w operze, być może byli to *zawodowi stacze*, stojący na czyjeś zamówienie lub też odsprzedający potem owe bilety. Po przeszło trzech godzinach zostaliśmy wpisani na listę jako nr 32 i 33. O godzinie 17.30 procedura się powtarza: *aktywistka operowa* rozdaje według listy kolorowe karteczki (każdego dnia innego koloru, w owym dniu czerwone) z odpowiadającym danej osobie numerem, po czym kolejka staje przed kasą, by nabyć – oczywiście po oddaniu kartki z numerem – bilet za 12 euro. Przedstawienie rozpoczyna się o 20, czas zająć miejsce (siedzące! nie ma tu bowiem, jak w wiedeńskiej Staatsoper miejsc stojących) na drugiej galerii. Opera może pomieścić 2015 widzów, druga galeria jest najwyżej, nad czterema piętrami łóż i pierwszą galerią, ale widoczność jest niezła, a widownia, o drewnianej konstrukcji, wykończona czerwonym aksamitem i złożonymi stiukami, ma znakomitą akustykę.

Przedstawienie, na które udało mi się dostać, było wspaniałe. W głównych rolach wystąpili: debiutująca w La Scali Martina Serafin (Floria Tosca) oraz słynny tenor argentyński Marcelo Alvarez (Mario Cavaradosi), dyrygował Nicola Luisotti. Tradycyjnie doskonałym był operowy chór, szczególnie w kończącym I akt opery *Te Deum*.

Jak widać, na przedstawienie La Scali trudno się dostać, nie jest to jednak niemożliwe. Znacznie gorzej z inną atrakcją Mediolanu, jaką jest *Ostatnia wieczerza* Leonarda da Vinci, znajdująca się w refektarzu kościoła Santa Maria delle Grazie. Słynny fresk można oglądać wyłącznie w niewielkiej grupie i jedynie przez piętnaście minut. Wcześniej (nawet z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem) trzeba telefonicznie lub przez Internet zarezerwować sobie bilet wstępu. Ponieważ nie miałem rezerwacji, sądziłem, że nie dane mi będzie wejść do refektarza. Los był mi jednak przychylny, kupiłem bilety wstępu od młodej Japonki, organizatorki grupy, która nie dojechała do Mediolanu. Polecam Mediolan, nie tylko miłośnikom opery i malarstwa. Warto!



Kolejka po bilety przed słynną operą

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (34)

W jednym z opowiadań Józefa Mackiewicza (z tomu *Ściągaczki z szuflady Pana Boga*, Londyn 1989) wileńskie dzieci świętowały – jeszcze przed pierwszą wojną światową – rocznicę 3 Maja: *Była to zabawa na wpół dziecinna, na wpół obchód patriotyczny, co podniecało zwłaszcza starszych chłopców. Głównym urokiem stało się zamknięcie okien od ulicy, gdy Hania zasiadła do fortepianu. Deklamowano Rotę i powszechnie znaną całkiem niedawno Pieśń strzelców* (słowa i muzyka: Władysław Ludwik Anczyc). Mackiewicz zacytował wyrwane z całości fragmenty utworów, nie podając ani tytułów, ani nazwisk autorów. Pisał przecież do czytelników obytych z polską tradycją literacką.

Współczesny krytyk i historyk literatury napisze, że w opowiadaniu tym zostały ukazane narodziny XX wieku z jego „nowym”, przesadnym, a z czasem partyjnym patriotyzmem: *Mackiewicz pokaże nam to wszystko na przykładzie zdarzeń codziennych, pozornie banalnych, opisując dziecięce dramaty Polaków i Rosjan próbujących razem się bawić wbrew swym patriotycznie usposobionym rodzicom, wynajmującym niańkę z Niemiec i każącym recytować swym pociechom „Rotę” z jej „a kluj, a rąb” [sic!] Prusaka* (Maciej Urbanowski, *Romans z Polską. O literaturze współczesnej*, Kraków 2014, Wyd. ARCANA, s. 117).

W *Rocie* nie ma takich słów. *A kluj, a rąb...* to fragment *Pieśni strzelców*, nie o Prusakach tam mowa, przecież to pieśń z roku 1863 (por. *Od naszych kul nie schroni kniaź ni car!*).

O Marii Konopnickiej można dziś zmyślać do woli. I na łamach prasy, i w książkach. Niektóre feministki piszą na nowo jej biografię (dulszczyzna *à rebours*), w znakomitej antologii polskiego reportażu przezwano ją *zapomnianą królową bogoojczyźnianego kiczu*, a polonista z najstarszego polskiego uniwersytetu dopisał jej słowa z cudzego utworu. A profesor Henryk Markiewicz już tych zmyśleń nie wykpi w swojej sławnej, dogłądanej latami *Camerze*.

Tylko wdzięczni i wierni czytelnicy pamiętają o Konopnickiej, odczytują na nowo jej wiersze i składają kwiaty na Cmentarzu

Łyczakowskim, gdzie jej grób. A dzieci z domów pełnych książek, tam, gdzie nie rozpanoszyła się jeszcze popkultura, powtarzają z pełnym przekonaniem za poetką: *Krasnoludki są na świecie*.

O nauce i naukowcach: *„Nie ma co się przejmować. Nauka to tylko piękne i szlachetne hobby”*. Tak skomentował kłopoty z uprawianiem nauki w Polsce jeden z naszych przyjaciół, profesor wyższej uczelni. *To piękne i idealistyczne, ale fałszywe. W takich opiniach – bo wyraża je u nas wiele uczonych – kryje się fundamentalne niezrozumienie współczesnej roli naukowca i nauki. Jego zwolennicy odwołują się do XIX-wiecznego etosu naukowca, który powstał w Wielkiej Brytanii i szybko dorobił się swojego wschodnioeuropejskiego odpowiednika: „inteligenta”*.

Jego pierwowzorem był niezależny finansowo ziemianin, wykształcony, bywały w świecie, który oddawał się poznawaniu tajemnic przyrody czy eksperymentom dla przyjemności (Prof. Jan Marcin Węśławski, prof. Lech Stępniewicz, *Profesor kopiuj-wklej*, „Gazeta Wyborcza” 2014, nr 237, s. 31).

W dawnej Anglii było trochę inaczej. A że ceniony był w Europie ideał towarzyski *honnête homme* to inna sprawa. Nauką przez wieki zajmowali się ucze-

salnych, co prywatnych i zarazem ostatecznych. Typowo Mackiewiczowskie są tutaj chyba tylko dwa utwory: *Faux-pas cioci Pafci* oraz *Ślizgawka*. W obu pisarz pokazuje narodziny XX wieku, epoki drutów koncentracyjnych, nietolerancji, nowego, partyjnego patriotyzmu oraz „prawdy politycznej”, które zniszczą stary, dobry wiek XIX z jego kultem „prawd oczywistych”. Mackiewicz pokaże nam to wszystko na przykładzie zdarzeń codziennych, pozornie banalnych, opisując dziecięce dramaty Polaków i Rosjan próbujących razem się bawić wbrew swym patriotycznie usposobionym rodzicom, wynajmującym niańkę z Niemiec i każącym recytować swym pociechom *Rotę* z jej „a kluj, a rąb” Prusaka. W *Faux-pas cioci Pafci* tytułowa bohaterka próbuje walczyć z antagonistami ideologicznymi dzielącymi jej rodzinę i namawia do zjednoczenia w imię walki z „bolszewicką zarazą”. Jej perory krewni jednak uznają za wyraz zdziecinnienia staruszki.

I w tych utworach jednak pojawia się charakterystyczne dla Mackiewicza, a tak ważne dla nas dzisiaj, tematy obcości i wykluczenia, które są w *Ściągaczkach Pana Boga* nie tylko efektem histo-

Papier przyjmie dziś prawie wszystko. Można wmówić – i to w poważnym krakowskim wydawnictwie – że Konopnicka była plagiatorką: włączyła do *Roty* fragment *Pieśni strzelców* Władysława Ludwika Anczyca. I tak nikt tego nie zauważy.

ni. W XIX stuleciu, około 1840 roku, pojawił się też „naukowiec”. Ale nie było to nazbyt pochlebne określenie; poważna prasa (m.in. „Daily News”) jeszcze pod koniec wieku uważała nowe słowo za *amerykański neologizm*. Znakomity matematyk, Hugo Steinhaus, kilkadziesiąt lat później pokpiwał: *naukowce – nauk owce i Naukowiec – nauk owiec*. Józef Chałasiński o „naukowcach” pisał jeszcze gorzej. A dziś w Polsce, niestety, naukowców (szeregowych badaczy o wąskich zainteresowaniach, często z wszelkimi możliwymi tytułami, ale bez nazwisk) coraz więcej, uczonych (erudytów, polihistorów, swobodnie poruszających się na wielu polach nauki) coraz mniej.

Hugo Steinhaus, wybitny matematyk obdarzony niebywałym słuchem językowym (jego szkic o cybernetyce, ogłoszony w 1963 roku, który z krytyków literackich uznał za najpiękniej napisany po polsku tekst roku), powtarzał z przekorą, że jego największym odkryciem naukowym było spotkanie i „odkrycie” Stefana Banacha. Przypomniała to autorka wnikliwego artykułu recenzyjnego poświęconego książce Mariusza Urbanka o lwowskiej szkole matematycznej: *W letni wieczór 1916 r. Hugo Steinhaus spaceruje po krakowskich Plantach i nagle słyszy dobiegające z ławki słowa: „miara Lebesgue’a”*. Twierdzenie rozumieją tylko wtajemniczeni, więc zaintrygowany podchodzi do dyskutujących młodzieńców. I – jak potem będzie głosił *wszem i wobec* – dokonuje największego matematycznego odkrycia w życiu. *Odkrycia Stefana Banacha* (Beata Maciejewska, *Genialni w kawiarni Szkocka*, „Gazeta Wyborcza” 2014, nr 254; dodatek „Magazyn na święto”, s. 12).

Profesor Steinhaus nigdy by tak o swoim odkryciu nie powiedział. O Banachu mówił on *wszem wobec*. *Wszem wobec i każdemu z osobna*. Bez zbędnego „i”.

Tyle kompetentnych objaśnień, tyle uzupełnień i sprostowań w zbiorze listów Magdaleny Samozwaniec (Magdalena Samozwaniec, *Moich listów nie pal! Listy do rodziny i przyjaciół*, wstęp, wybór i opracowanie Rafał Podraza, Warszawa 2014). I tyle drażniących powtórzeń: *Podaję, że Magdalena miała na myśli fakt...* (s. 39); *Podaję, że chodzi tutaj...* (s. 40); *Podaję, że chodzi tutaj o rok 1950...* (s. 63); *Podaję, że chodzi tutaj o Jadwigę z Gąsowskich...* (s. 64); *Podaję, że „Ewa” była tytułem roboczym „Telimeny”...* (s. 99); *Podaję, że mowa tutaj o przytaczanym liście Magdaleny...* (s. 125); *Podaję, że Magdalena pisze o materiałach...* (s.

Pani Sobieska

Urażona Marysieńka wróciła do Warszawy i tam 5 lipca wzięła ślub z Sobieskim. Rozgłaszano wszem i wobec, że czas przepisanej żałoby skrócono ze względu na groźbę wojny domowej w postaci rokoszu Lubomirskiego, w której po stronie króla miał stanąć nowy marszałek wielki koronny. Ślubu udzielał nuncjusz Pignatelli, późniejszy papież Innocenty XII. Jan istotnie po trzy-

"Ale Historia" 2014, nr 44, s. 5.

!!!
rękach, zachowujące się wyjątkowo głośno i nie wahające się na przykład przed publicznym bekaniem, pokazując w ten sposób wszem i wobec napełnienie brzucha tanim piwem. Obok biegały jakieś młodociane „czarownice”, wymalowane czarnymi farbami i w czarnych ubiorach oraz ostentacyjnie dziurawych rajstopach, często także z

"Najwyższy Czas!" 2014, nr 46, s. L

Nawet w dodatku historycznym do poczytnego dziennika można spotkać zniekształcone (ze zbędnym „i”) dawne wyrażenie: *wszem wobec*. Mawiano kiedyś: *Wszem wobec i każdemu z osobna* (wszystkim razem i każdemu z osobna). W redakcji tygodnika konserwatywno-liberalnego też tego zwrotu już nie znają.

140); *Podaję, analizując treść, że Magdalenie chodzi...* (s. 143); *Podaję, że mowa tutaj o Wydawnictwie Literackim...* (s. 152).

Ani Autorowi, ani Redaktorom, nie przyszło do głowy, że słówko „podaję”, ulubione przez autorów powieści kryminalnych, lepiej byłoby zastąpić innymi: *przypuszczam, myślę, wydaje mi się, sądzę*.

Sławomir Magala w interesującym szkicu poświęconym solidarności i „Solidarności” napomknął, że *Spółczesność polskie na pozycję milczącego „underdoga” spychano bowiem długo i systematycznie, w sposób niezwykle brutalny. Niemcy rozstrzelali profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego [sic!], Rosjanie mordowali polskich oficerów w Katyniu, Jazuzelski wypędzał wykształconych i niepokornych na emigrację* (*Aktualność „Solidarności”, „Odra”* 2014, nr 11, s. 13).

Pomylił autor miejsca i czasy. Profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej i Akademii Handlowej (razem 183 osoby) aresztowano 6 XI 1939 roku i wywieziono – po krótkim zatrzymaniu w więzieniu krakowskim i dłuższym we wrocławskim – do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen-Oranienburg. Obozowego piekła nie przeżyło kilkanaście osób (zob. Stanisław Pigoń,

Z przedziwa pamięci. Urywki wspomnień, Warszawa 1968; Stanisław Urbańczyk, *Uniwersytet za kolczastym drutem*, wyd. 3, Kraków 1975).

Profesorów uniwersyteckich i innych rozstrzelili Niemcy gdzie indziej, we Lwowie, nocą z 3 na 4 lipca 1941 roku; na Wzgórzach Wuleckich zabito wtedy (i w najbliższych dniach) 38 osób: profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej i Akademii Medycyny Weterynaryjnej, a także członków ich rodzin.

Gubernator Hans Frank mówił pod koniec maja 1940 roku do przedstawicieli policji i SS: *Nie da się opisać, ileśmy mieli zawracania głowy z krakowskimi profesorami* [protesty zagranicznych środowisk naukowych – A.W.]. *Gdybyśmy sprawę tę załatwili na miejscu, miałaby ona całkiem inny przebieg. Proszę więc Panów usilnie, by nie kierowali już Panowie nikogo więcej do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, lecz podejmowali likwidację na miejscu lub wyznaczali zgodną z przepisami karę* (cyt. za: *Okupacja i ruch oporu w „Dzienniku” Hansa Franka 1939–1945*, wybór i oprac. pod kierunkiem Stanisława Płoskiego: Lucjan Dobroszycki i in., tłum. z niem. Danuta Dąbrowska, Mieczysław Tomala, t. 1: 1939–1942, Warszawa 1970, s. 217).

I nie poszła w las nauka; profesorów lwowskich rozstrzelowano rok później na miejscu, nie zsyłano do obozów w głębi Rzeszy. Jeszcze jedna zbrodnia nie ukarana i mało znana. Przez lata wspominała ją tylko Karolina Lanckorońska, a relacje i dokumenty zbierał z uporem Zygmunt Albert. Kilka lat temu dopiero Dieter Schenk, niemiecki historyk i kryminolog napisał ważną książkę o tragedii we Lwowie (*Noc morderców. Każdą polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej*, przeł. Paweł Zarychta, Kraków 2011, Wydawnictwo Wysoki Zamek).

Kate Brown, profesor historii na Uniwersytecie Maryland, napisała książkę o sprawach narodowościowych na Ukrainie przed II wojną światową; studium przetłumaczono na język polski i ogłoszono drukiem w Wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tytuł zagadkowy i za dużo obiecujący: *Kresy. Biografia krainy, której nie ma. Jak zniszczono wielokulturowe pogranicze* (tłum. Aleksandra Czwojdrak, Kraków 2013).

Kresy to nie kraina, to przecież wiele tak różnych krain, które leżały na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, od Inflant Polskich za Dźwiną do Pobereża. Tysiące kilometrów od północy do południa. Któżby się odważył na napisanie „biografii” tylu krain, należących dziś do czterech państw. Kate Brown w przypisie dopiero, zamieszczonym na dalekiej stronie, wyjaśniała swojemu, amerykańskiemu czytelnikowi: *Obszar Kresów zmieniał się w czasie. Określenie to ma w języku polskim wydźwięk emocjonalny, oznaczając polskie rubieże zagrożone przez inne grupy narodowościowe. Używam tego terminu w odniesie-*

niu do spornego regionu po ukraińskiej stronie granicy sowiecko-polskiej w okresie międzywojennym (s. 275).

Uściślenie konieczne. Ale uczona Autorka używa określenia „Kresy” na różne sposoby, pisze o wschodnim Wołyniu i Podolu w okresie międzywojennym, kiedy indziej o guberniach podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej w czasach carskich, o całej Ukrainie Sowieckiej albo o Kresach w szerokim tego słowa znaczeniu. Dziwne materii pomieszanie w tej książce zza Wielkiej Wody wydanej przez polskie wydawnictwo uniwersyteckie. Zamierzenia ambitne. I tyle ról, w które wciela się Autorka; była reporterem, etnografem, szperaczem archiwalnym. Tyle ciekawych relacji i spostrzeżeń. I tyle wpadek, których nie dostrzegli nawet polscy recenzenci i redaktorzy.

O dwóch tylko fragmentach wspomnę pokrótce. O płodności kulturalnej na stykach kultur i narodów wiadomo od dawna. O roli ziem wschodnich w kulturze polskiej pisano wielokrotnie. Ale pani Profesor z Uniwersytetu Maryland o tym nie wie, tłumaczy po swojemu: *Niewiele wielkich umysłów i wybitnych postaci kultury objawiło się na kresach* [sic!]. *Zazwyczaj udawali się stąd* [tzn. skąd? z Sowieckiej Ukrainy? udawali się spokojnie w czasie stalinowskiego terroru? – A.W.] *do innych miejsc – Moskwy, Warszawy, Berlina, Londynu – by tam upomnieć się o sławę. Kresy zasłynęły nie tyle swymi indywidualnościami, ile raczej tłumami niedomytych imigrantów gawędzących w egzotycznych językach, stłoczonych na obrzeżach wielkich miast Nowego Świata i na peryferiach krajów Europy Zachodniej. To właśnie owe „masy” i rzadko wzmiankowana prowincja, z której przybyły, przez swe zniknięcia ucieleśniają istotną korektę wciąż kontynuowanej narracji o znacjonalizowanej przestrzeni i modernizującym postępie* (s. 16).

Nie wiadomo, co chciała powiedzieć Autorka, ta kontynuowana narracja o znacjonalizowanej przestrzeni i modernizującym postępie brzmi „naukowo”. Czyżby nie słyszała o „szkole ukraińskiej” w literaturze polskiej? Nie wie, jaką rolę pełnił Kijów i Żytomierz w polskim życiu kulturalnym do 1863 roku (Kijów będzie jeszcze ważnym ośrodkiem kultury polskiej po 1905)? Nie pamięta, skąd pochodzili Ignacy Paderewski, Karol Szymanowski, Jarosław Iwaszkiewicz i tylu innych twórców kultury? Pomieszanie z poplątaniem. Nie mogli recenzenci krajowi poradzić amerykańskiej badaczce, żeby zaglądnęła do pozostającej w rękopisie *Struktury duchowej narodu polskiego* Eugeniusza Romera (w dziale rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej). Tam by mogła się dowiedzieć o aktywności kulturalnej i gospodarczej poszczególnych regionów Polski historycznej.

Jeszcze dziwniejsze wywody: *Druga wojna „urasowila” kresy i charakter masowych wywózek. W odróżnieniu od przedwojennych sowieckich deportacji narodowościowych tym razem nie brano pod uwagę kryteriów klasowych i politycznych. Wszyscy Polacy mieli zostać wywiezieni ze Związku Sowieckiego*

[sic!], a wszyscy Ukraińcy z Polski [sic!]. Polskie władze komunistyczne wykorzystywały nawet niemieckie dokumenty tożsamości, oparte na nazistowskich koncepcjach rasowych, aby ustalić, kto jest Ukraińcem i podlega deportacji. Z powodu linii nakreślonej na mapie w Jalcie ludzi należących do ukraińskiej grupy językowej, których rodziny od wieków żyły w Galicji [nie tylko w zachodniej Galicji – A.W.], odesłano z ich dobytkiem do Związku Sowieckiego, Polaków zaś, od dawna mieszkających w takich polskich ośrodkach kulturalnych, jak Lwów, Równe, Żytomierz [sic!], Winnica [sic!], Łuck czy Kowel, przymusowo wysyłano do Polski (s. 258).

Badaczka zza Wielkiej Wody pisze na nowo historię, a polskie wydawnictwo naukowe rozpowszechnia jej zmyślenia. To nieprawda, że wszyscy Polacy mieli zostać wywiezieni ze Związku Sowieckiego. Prawo do przyjazdu do Polski w nowych granicach mieli obywatele polscy narodowości polskiej i żydowskiej. Ci,

którzy przed wojną mieli polskie obywatelstwo. Polacy, obywatele sowieccy, zamieszkali w okolicach Żytomierza i Winnicy chętnie by wtedy do Polski przyjechali (udało się to wtedy nielicznym, rodzinom żołnierzy, których wcielono nie do Armii Czerwonej, ale do armii Berlinga). Nie wszyscy Ukraińcy wyjechali wtedy z Polski za wschodnią granicę, zostało ich w kraju kilkaset tysięcy, część z nich wywieziono w 1947 roku (akcja „Wisła”) na Ziemię Zachodnie i Północne. Kilkadziesiąt tysięcy Polaków deportowanych w latach trzydziestych ze wschodniego Wołynia i Podola do północnego Kazachstanu nie miało prawa wyjazdu do Polski. Po co zmyślać, że po wojnie z Żytomierza i Winnicy tamtejszych Polaków przymusowo wysyłano do Polski? Taki przymus przyjęto by tam z wielką wdzięcznością.

Adam Wierciński

Bartłomiej Kozera

Pięćdziesiąt plus

Przyjęliśmy na pierwszy rok filozofii osoby w wieku późnostudenckim. Powiedzmy 50+. Na zajęciach siedzą gdzie indziej niż ci tuż policealni. Trzymają się na przerwach w swojej grupie. Ale uczęszczają rzetelnie na zajęcia. Na wykładach skrętnie wszystko notują, pytają o różne rzeczy. Nareszcie po wykładzie są pytania. Studenci policealni, dzienni i zaoczeni, sugerują mi ustawicznie, że jestem znakomitym dydaktykiem. Żadnych pytań. A ci mają pytania. O coś im chodzi.

Ci późnostudenci są zachwyceni studiami. Nie mogą nachwalić się pomysłu udostępnienia im sal wykładowych. Przyjęcia ich na studia. Co więcej, przyprowadzają znajomych. Toteż zaczęło się w naszym Instytucie robić ponownie gwarnie. Wydawało się, że to wszystko zasycha, a tymczasem zaczyna odżywać.

Ten ich zachwyt studiami ja rozumiem. Oto w swoim życiu doszli już do pewnych przemyśleń. Mają wyrobione zdanie na różne tematy, spotkało ich dobro i zło, więc o nim trochę wiedzą, a tu słyszą o koncepcjach już gotowych, logicznie skomponowanych, które mają za darmo. Bez wysiłku zdobywają to, co w minionych latach kosztowało ich wiele trudu, co może jeszcze chropowate i nieskończone. Na zajęciach kończymy ich zaczęte myśli, sugerujemy różne możliwości. Słowem – jazda bez trzymanki.

Prowadzę z nimi konwersatorium o nazwie *do-radztwo filozoficzne*. Toż to dla mnie uciecha nie lada. Późnostudenci uczestnicy są znakomitą podporą zajęć. Młodzież policealna szeleści papierową wiedzą, podpira się niewielkim doświadczeniem, a oni korzystają w pełnym zakresie z przemyśleń, zdarzeń. Ponieważ wiedza filozoficzna nie jest zbiorem formuł, które można spisać, ponieważ każdy musi sam w sobie tę wiedzę wytworzyć, więc tym starszym do takiej wiedzy bliżej.

Z jednym jest kłopot. Filozofować to podawać w wątpliwość nie tylko swoją wiedzę, ale siebie. Bardzo trudno jest im rozstać się z jakąś częścią siebie. Przywykli do niej, oswoili, a tu każą im to i owo odrzucić. Toteż bronią się dzielnie, co też mi się podoba.

Kiedy w młodości życia jest wiele, to go nie cenimy. Trwonimy czas, jesteśmy rozrzutni. Zaczynamy cenić życie później, gdy mamy świadomość, że jest go niewiele. Studenci 50+ są zachłanni na wiedzę. Wciskają się na każde zajęcia, które prowadzimy, także te nieprzeznaczone dla nich. Są uosobieniem tego, co to znaczy studiować. Łacińskie *studeo* znaczy *starać się*. Przy policealnych studentach to ja się starałem. A z tymi jest inaczej. Na stare lata starsi ludzie przywracają mi sens pracy. Czy to nie piękne zakończenie mojego spotkania z dydaktyką?

Irena Wyczółkowska

Alkestis

Ci, którzy święcie wierzą w swoją niczym niezakłóconą pomyślność, zdrowko nie do wyszczerbienia, żelazne, no i świetną karierę, bo mają przyjaciela wśród BARDZO WAŻNYCH OSÓB, mogą się doczekać srogiego zawodu. Wystarczy zapomnieć o przymilaniu się innym, także potężnym, i nieszczęście bum!, znienacka spada na biedną łepetynę. Tak się dzieje, i tak zawsze bywało – świadczy o tym historia Admeta. O, to był nie byle kto: syn króla Feresy, uczestnik pamiętnego polowania na dzika kalidońskiego i jeszcze, jakby tego było mało, jeden z Argonautów. Pozyskał sobie wdzięczność boga Apollona, ale to dłuższa historia, której nie osmielię się tu przytaczać, bo dobrze pamiętam, że nudziarz to ktoś, kto wszystko koniecznie chce jak najdokładniej wyjaśnić. Wystarczy powiedzieć, że kiedy Admet zakochał się w słynącej z urody i wszelkich zalet Alkestis, córce króla Peliasa, Apollo pomógł mu ją zdobyć. A to wcale nie było łatwe, gdyż Pelias zażyczył sobie nie lada bryki – jak dziś by się powiedziało. Miał to być powóz zaprzężony w lwa i dzika, biegnące obok siebie. Wymyślny warunek.

Dzięki Olimpijczykowi młodzi mogli się pobrać, na świat przyszły dzieci. Ale Admet zapomniał, co za fatalne roztargnienie!, że istnieją także inni bogowie, tak, i bardzo nie lubią być lekceważeni – nie złożył ofiary Artemidzie, a ta zapalała straszliwym gniewem. Mszcząc się, sprawiła, że w sypialni Admeta pojawiło się kłębówisko jadowitych węży. Brr, wyobraźmy sobie, jak w nieprzejrzystej ciemności budzi biedaka ten zwielokrotniony ssssssssssssyk. Groza! No i pewna śmierć.

Dobry przyjaciel i tym razem nie zawiódł. Upił Mojry! Tu muszę dodać, że, jak mi wyjaśniano, nazwę tego, co uczynił Apollo, można pojmować także inaczej – odurzył. A odurzyć można swym czarem, wrażeniem sprawianego przez siebie zaszczytu... Wyobraźmy to sobie. Oto w szarej pracowni Prządek (jakiś olimpijski strzeszek?) pojawia się

Promienisty. Blask jego uśmiechu... Parki strząsają z sukien resztki przędzy, wygładzają fartuchy, pośpiesznie poprawiają włosy. Ukłony, grzeczności: „Może kawkę? Herbatkę?”, nieskładne powitania. Są tak przejęte, tak zachwycone obecnością wytwornego Olimpijczyka, że bez trudu dają się namówić na takie drobne, drobnusie wykroczenie, nazwijmy to... nieco swobodniejszą interpretacją prawa. Admet nie umrze, jeśli znajdzie się ktoś, kto odda za niego swoje życie.

Jaka straszna przestroga dla wszystkich, którzy tak lekko, bo to już tylko figura retoryczna, szepczą: „Życie bym za ciebie oddał, tak cię kocham...” A jeśli niepozabawieni złośliwości bogowie zechcą sprawdzić rzetelność takiej deklaracji?

Apollo przekazał wiadomość. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę króla Feresy. Spodziewano się, że ten sędziwy już ojciec Admeta nie zawaha się ocalić swego syna. A tymczasem – iście żałosny widok! Oto władca mimo wieku tak pięknie dostojny, o dumnej postawie, maleje z chwili na chwilę, plecy okrągłe, głowa pochylona coraz niżej, znikła bez śladu aura siły i szlachetności. A już najgorsze wydały się te jego chude łydki, tak bezwstydnie drżące, gdy zaczął przekonywać, że groźne psy, które sam wychował, istne bestie, słuchają tylko jego, że rozpo-



Alkestis i Herakles, Eugène Delacroix, w zbiorach The Phillips Collection, Waszyngton

częto budowę świątyni i kto tego przypilnuje, a wiadomo, jacy dziś są ci rzemieślnicy i że polityczne układy z sąsiadami runą bez niego, wreszcie – że sprzeciwienie się wyrokom Przeznaczenia to może być jakieś fatalne w skutkach dla całego kraju, tak, kraju, bluźnierstwo, choć on, oczywiście, syna rzeszystymi łzami będzie oplakiwać... I tak by jeszcze gadał, jęczał, gdyby nie ona, Alkestis. Gdzieś tam z boku przycupnęła cichutko, jak na niewiaście wielkiej skromności przystało. A teraz wysunęła się na czoło, wyprostowana, z podniesioną głową, jakby swoim ciałem chciała cały dom zasłonić przed wszelkim złem. Ani łzy, ani grymasu przerażenia. Stanowczość.

Dramaty, opery, wiersze, a jest ich bez liku, opiewają to poświęcenie. Christoph Willibald Gluck, kompozytor osiemnastowieczny, także uczynił Alkestis bohaterką swojej opery. Nie pisałabym o tym, gdyby nie pewien może i błahy, ale godny uwagi szczegół. Poruszający. Otóż ojciec Glucka był leśniczym i być może kompozytor zapamiętał z dzieciństwa, niczym nocny koszmar, który prześladowa latami, jak to zablądził w mrocznym lesie. Ciemne drzewa na podobieństwo maszerującego wojska upiorów, urwiste skały, w złowrogiej ciszy krzyk nocnych ptaków, a może zjaw? Szum niewidocznego wodospadu. Tak sobie wyobraził, po latach, krajobraz Hadesu, gdzie błąka się zalękniona, samotna Alkestis – i tak, z wielką plastycznością, ukazał to swą muzyką.

Opisywano wielokrotnie, jak wyglądało pożegnanie małżonków. Muszę tu powiedzieć, że najbardziej wzruszył mnie... No kto? Oczywiście, Euryptides. Nie ma w tej ostatniej rozmowie patosu, rzewnej ckliwości. „Zaraz będę wśród tych, których nie ma”, mówi ze spokojem Alkestis. (Czytałam tekst w przekładzie Zygmunta Kubiaka). Chciałaby, żeby jej mąż nie szukał nowej żony, bo „ciężką by w zazdrości na naszych dzieciach położyła rękę”, a może, jak wszystkie kochające, boi się zapomnienia, pozostawiania w cieniu tej nowej, odnoszącej zwycięstwo – bo realnej. Admet prosi, by mogła go we śnie odwiedzać, „krzepić, bo i w nocy słodko na drogich, nawet i przez chwilę, patrzeć”, o czym wiedzą wszyscy doświadczeni stratą kogoś bliskiego i tak szczególnie szczęśliwi-nieszczęśliwi po takim spotkaniu we śnie.

Precz ze smutkami! Melancholio, wynocha! Orkiestra, tusz! Teraz będzie najprawdziwszy *happy end!* Bardzo rzadko się to u dawnych Greków zdarzało. Bo oto niemal jednymi drzwiami wymyka się bezszelestnie władca umarłych, Tanatos o czarnych skrzydłach, niosąc ciało Alkestis, gdy drugimi, z właściwym sobie rumorem, radosnym pokrzykiwaniem, wraca Herakles. Z Admetem znajdują się od dawna, obaj przecież brali udział w wyprawie po złote runo. Herakles to może i był gbur i prostak, ale przenikliwej wrażliwości mu nie brakowa-

ło. Mimo iż witano go gościnnie, szybko zorientował się, że w tym domu musiało się wydarzyć coś bardzo złego. Co? Dowiedziawszy się o wszystkim – znikł! Natychmiast pospieszył na ratunek, taki już był! Wdarł się do Hadesu, nie zważając na urażoną minę Charona i warczenie Cerbera. Drogę znał już dobrze i szybko przyprowadził stamtąd żywą i całutką Alkestis. Ileż tu było radości, pocałunków, wiatów. Uścisnęła męża, przytuliła dzieci, przyglądając się im badawczo, z czułym natężeniem, jakby nawet ten krótki czas bez niej mógł je okaleczyć, i może, zupełnie bezwiednie, pogłaskała którąś ze swych sukni, jak u Wisławy Szymborskiej ów „szalik o przedłużonej nagle przydatności”.

W niektórych mitach żona Admeta zawdzięczała swój powrót dobremu sercu Persefony, która dowiedziawszy się o ofierze miłującej kobiety, wyprosiła u męża łaskę dla niej. Błagała tak ładnie, uśmiechała się kusząco, może nawet obiecywała, że jeszcze zostanie z nim, dzień czy dwa, wiosna w tym roku późniejsza. Kto by odmówił?

Cóż, dzisiaj czyta się o pięknym poświęceniu Alkestis nieco inaczej. Z pewną przekorą, jeśli nie jawnym buntem. Może się już odmiennie postrzega skomplikowany świat obu płci. Natychmiast cisnie się na usta pytanie: czy rzeczywiście Admet szczerze kochał swą żonę? Jak mógł się zgodzić, by osierociła dzieci, poniosła tak okrutną karę za jego przewinienie? No tak, męzczyzna był ważniejszy, powiedziałyby z sarkazmem panie feministki.

A z drugiej strony taka rewizja, taka szkaradna dosłowność to zamach na symboliczny sens mitu. Cienie wędrujące po łąkach asfodelowych Podziemia śmiałyby się z takiej głupoty – przecież tu po prostu chodzi o cud miłości i to, czy zna się własną duszę.

I na koniec jeszcze jedno. Barokowy poeta Hieronim (Jarosz) Morsztyn, jak chyba wszyscy twórcy tej epoki ze znanstwem posługujący się antycznym przykładem, napisał wiersz „Alcestis, żona cnotliwa, za męża umiera”, gdzie, pewnie ku uciesze współczesnych czytelników, srogo piętnuje niewieścią podłość.

*U poganów za męża żony umierały,
A dziś by na ich grobie rade tańcowały.
Nie tylko żeby teraz zań zdrowie dać miała
Druga, ale by mu je trzykroć wziąć kazala.
Ledwie z jednego dusza, na kobiercu drugi,
Dziś wesele, jutro akt ostatniej postugi.*

Oj, widać gorzkich doznał zawodów autor słynnej opowieści o królownie Banialuce!

(przygotowywane *Mitoplotki II*)

Irena Wyczółkowska

Joachim Piecuch

Jego darem jest On sam

Mitologia grecka opowiada nam o przygodzie, jaka przydarzyła się królowi Frygii, Midasowi. Otóż, razu pewnego otrzymał on od boga Dionizosa obietnicę: „Spełnię każde twoje życzenie”. Król długo się nie zastanawiał: „Spraw, aby wszystko, do czego przyłożę rękę, zamieniało się w złoto” – poprosił. Życzenie zostało spełnione. Zadowolony Midas, próbując nowej umiejętności, zaczął dotykać różnych przedmiotów, a te błyskawicznie stawały się złote. Król nie posiadał się ze szczęścia. Mógł siebie nazwać najbogatszym człowiekiem świata. Ale kiedy zmęczony przemianami wszystkiego w złoto, głodny zasiadł do stołu, boży dar okazał się dla niego pułapką. Sięgnął po pieczeń, a ta stała się złotem, przyłożył puchar z winem od ust, a to przemieniło się w złotą ciecz. Ani chlebem, ani wodą, niczym nie mógł zaspokoić swego głodu, bo wszystko zamieniało się natychmiast w błyszczący metal. Jeszcze przed chwilą nie posiadał się ze szczęścia, a teraz siedzi jakby rażony piorunem. Poznał swoją chciwość i to, do czego ona prowadzi: śmierci z głodu i pragnienia. Oto paradoks: istnieje bogactwo, które każe człowiekowi umierać z głodu, i każe życiu zastygnąć.

Czy to opowiadanie jest aż tak bardzo odległe od naszego życia? Czy nasze skryte marzenia, pragnienia i życzenia nie krążą aż nazbyt często wokół dóbr materialnych, a ich zdobywanie i posiadanie nie czyni z nas ludzi obojętnych, oziębłych i apatycznych?

Opowiadanie o Midasie nie tylko zmienia naszą optykę, sposób patrzenia na bogactwo, ale wtrąca nas też w rozważania nad sensownością bożych darów.

Historię bożego daru, która sytuuje się w opozycji do opowiadania o mitologicznym Midasie, znajdujemy w Ewangelii św. Łukasza, który opowiada nam o narodzinach Boga chrześcijańskiego. Gdzie ono się dokonuje? W stajni betlejemskiej. Bogaty Bóg i skrajnie ubogie miejsce Jego narodzin – oto nowy paradoks. Reflektujący nad tą prawdą pierwszy wielki teolog, św. Paweł, mówi: „Znacie przecież łaskę Pana naszego Jezusa Chrystusa, który będąc bogaty, dla was stał się ubogim, aby was ubóstwem swoim ubogacić”.

Bóg i ubóstwo – jak to ze sobą powiązać? Nasze wyobrażenia o bogactwie i ubóstwie zaczynają się

chwiać. Potrafimy zrozumieć boga Dionizosa: sam będąc bogatym, potrafi zapewnić zamożność także człowiekowi. Nie doznaje przy tym jakiegokolwiek uszczerbku na swoim bogactwie, na swej władzy i splendorze. Ale ten jego dar okazuje się zgubny dla człowieka.

Inaczej Bóg chrześcijański. Jego darem nie jest umiejętność zapewnienia człowiekowi majątku i bogactwa. Jego darem jest On sam. Sięga więc po swój kapitał, po swoją boską substancję, aby nią człowieka obdarzyć. I oto mamy stajnię, żłób, dziecko uchodźców uciekających do Egiptu. Dziecko prześladowane i opuszczone. Droga do Betlejem nie jest wyścielona aksamitnymi dywanami. Bóg jest biedny, nie tylko *pro forma*.

W świetle tego wydarzenia bogactwo i ubóstwo zostają na nowo zdefiniowane. Czym jest Boży dar? Nie jest nim już złoto, lecz Ten, który sobą samym obdarowuje. Na tym polega Jego bogactwo: nie daje czegoś, co posiada, daje samego siebie. Oto boska logika, która okazuje się być logiką miłości. Jej istota polega na dawaniu. Tym samym, nie są bogaci ci, którzy dużo mają, ale ci, którzy wiele dają.

Jeśli poważnie traktujemy logikę boskiego daru, jeśli prawdziwie przyjmujemy przesłanie Ewangelii o narodzeniu Boga, musimy uznać, że staliśmy się bardzo bogaci.

Bóg, opuszczając niebo, znalazł nową ojczyznę w człowieku. Możemy więc porzucić uparte starania, aby stać się kimś takim jak On. Jeśli chcę być jak Bóg, to jedyną drogą jest... stać się bardziej ludzkim. Ta nauka każe nam myśleć o człowieku w kategoriach wielkości i godności.

Bogaty Król Midas, mimo swego bogactwa, mógł umrzeć z głodu. Ale znalazło się dlań wybaczenie: musiał wstąpić w wody rzeki Paktolos i wędrować w jej górę, a kiedy dotarł do źródeł rzeki, przeklęty czar został z niego zdjęty.

Tak poznał głupotę swego życzenia i skutki swojej chciwości.

Widać trzeba iść pod prąd rozmaitych mód i przekonań, każących nam uznawać za bogactwo to, co nim naprawdę nie jest. Zawsze jest jednak czas, aby wrócić do źródła.

Do narodzonego Boga, który stał się ubogim – aby nas, swym ubóstwem, wzbogacić.

Agnieszka Wojcieszek

Nobel wolał Jagnę

Reymontowska historia z tą nagrodą rozpoczęła się na kilka lat przed uzyskaniem przez niego tytułu laureata. Pierwsze notatki prasowe na temat kandydatury, zgłoszonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie, pojawiły się w 1918 roku. W ówczesnym czasie szanse na wygraną Polaka były – najogólniej mówiąc – mało prawdopodobne. Twórczość Reymonta nie była w Szwecji znana ani szerszemu odbiorcy, ani nawet wąskiemu gronu znawców literatury. Co więcej, w pamięci wciąż żywe pozostawało wspomnienie o noblowskich laurach innego polskiego prozaika – Henryka Sienkiewicza.

Najpełniejsze świadectwo tamtej atmosfery pojawia się w zapiskach, przebywającego natenczas w Szwecji, Stanisława Wędkiewicza. Z osobistych rozmów historyka literatury i wicedyrektora Biblioteki Nobla – Alfreda Jensena oraz prezesa Komitetu Noblowskiego – Haralda Hjärne, wynikało jednoznacznie, iż *Nagrody Nobla podczas trwania wojny Polak nie uzyska, gdyż bądź co bądź widziano by w tem manifestację polityczną, niegodną dla neutralnej Szwecji*.

Ale w tym czasie we Francji i Szwecji ukazały się też znaczące szkice poświęcone twórczości Reymonta, autorstwa wybitnych historyków literatury – prof. Francka-Louisa Schoella oraz prof. Fryderyka Brööka, będącego wówczas członkiem komisji przyznającej prestiżową nagrodę. Niewykluczone, iż właśnie aprobatą ze strony tego ostatniego przesądziła o późniejszym zwycięstwie polskiego powieściopisarza. Wspomniany krytyk, skądinąd zwolennik kultury polskiej, ocenił *Chłopów* jako arcydzieło (*masterverk*) i porównał tę epopeję do *Iliady* Homera oraz twórczości Zoli. Twierdził nawet, że w przeciwieństwie do Reymonta – *Zola prawie nigdy nie osiąga epicznego rozmachu*. Ponadto badacz dopatrywał się podobieństwa temperamentów postaci Reymontowskich i osobowości wykreowanych przez Tolstoja, Dostojewskiego czy Gorkiego.

Jednak z upływem czasu zainteresowanie młodopolskim twórcą znacznie osłabło, zarówno w Europie Zachodniej, jak i w krajach skandynawskich. Nie zmienił tego nawet rzetelny przekład *Chłopów* na język szwedzki, dokonany w 1920 roku przez wybitną tłumaczkę literatury polskiej – Ellen Wester, pisującą pod pseudonimem E. Weer. Szans literackiego sukcesu na arenie międzynarodowej zaczęto upatrywać w innym polskim realiście epoki – Stefanie Żeromskim.

Rzekoma rywalizacja pomiędzy Reymontem i Żeromskim budziła sporo kontrowersji na długo po zapadnięciu werdyktu. Co ciekawe, jej genezy upatry-

wano głównie w czynniku politycznym. Jeszcze 1977 roku Józef Rurawski w książce *Władysław Reymont* pisał o przejawach *zakulisowych machinacji politycznych, mających na celu „wymanewrowanie” Żeromskiego i poparcie dla Reymonta*. Często cytuje się słowa przyjaciela autora *Chłopów*, Jana Lorentowicza, który *oskarżał rządy Witosa i Władysława Grabskiego, że popierały kandydaturę Reymonta jako stronnika politycznego*. Jednocześnie, jakby z ubolewaniem, Lorentowicz napisał również, że: *Gdyby pozostawiono w Sztokholmie posła Michałowskiego i p. Czarnowskiego [zwolenników Żeromskiego] chociaż przez kilka miesięcy, nagroda literacka Nobla byłaby wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podzielona. Czynniki polityczny odegrał rolę decydującą: Żeromski nagrody nie otrzymał*.

Niewykluczone, iż – wbrew tezie Jana Lorentowicza – stało się tak ze względu na kontrowersję, jakie wówczas w środowisku szwedzkim pojawiły się wokół postaci Stefana Żeromskiego. Na skutek niepochlebnych opinii prasy niemieckiej, dotyczących powieści *Wiatr od morza* (1922), również w Skandynawii zmieniło się nastawienie do twórczości tego pisarza. Pojawił się nawet bardzo krytyczny artykuł autorstwa Fryderyka Brööka, który zarzucił Polakowi *bezgraniczny nacjonalizm „Urody życia”* (1912) oraz *brutalny imperializm „Wiatru od morza”*. Mimo iż w odpowiedzi na ten zarzut ukazało się obszerne studium Adolfa Stender-Petersena, przedstawiające tę powieść jako szczytowe osiągnięcie pisarstwa Żeromskiego, szanse autora *Popiołów* na zwycięstwo znacznie zmalały. Prawdopodobnie nie bez znaczenia pozostał również fakt, iż w 1921 roku zmarł czołowy zwolennik jego prozy – Alfred Jensen.

Zarówno reymontolodzy, jak i badacze biografii Żeromskiego, zgodnie obalają mit o nieprzyjaźni pomiędzy autorami. Stefan Talikowski (*Reymont w życiu rodzinnym*) następująco pisze o relacji obu pisarzy: *W domu Reymontów zawsze mówiło się o Żeromskim życzliwie i z podziwem. To co ich różniło, to poglądy społeczne i liberalizm moralny Żeromskiego. Różnili się nadto krańcowo usposobieniem i temperamentem (...). Były to jednak sprawy wyłącznie osobiste, które w żadnym wypadku nikogo nie upoważniają do generalizowania owych drażliwych tematów i tworzenia fałszywego obrazu wzajemnych stosunków obu pisarzy*.

Można też spotkać opinie, że w owej rywalizacji o prestiżową nagrodę (w której obok Reymonta i Żeromskiego udział brali również m. in: Tomasz Hardy,

Blasco Ibañez, Tomasz Mann oraz Maksym Gorki) – nie było przegranych. Np. zwolennik Żeromskiego, Adolf Stender-Petersen następująco uzasadniał stanowisko Akademii Szwedzkiej: *Spośród współczesnych polskich autorów dwóch tylko mogło uchodzić za kandydatów do Nagrody Nobla. Jednym był Reymont, a drugim Żeromski. Różnica między nimi nie jest różnicą w uzdolnieniu i nie da się też wymierzyć w żadnym stopniu estetycznej oceny (...). Obaj są godnymi przedstawicielami polskiej literatury, a przez swe przeciwnictwa dają świadectwo bogatej i zróżnicowanej strukturze duchowej swojego narodu.*

13 listopada 1924 roku przyznano Władysławowi Reymontowi tytuł laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Za powieść *Chłopi*, a nie za całokształt twórczości, albowiem wedle werdyktu Akademii Szwedzkiej powieść ta znacznie wyróżnia się na tle spuścizny autora. Po otrzymaniu informacji o przyznaniu Reymontowi nagrody – Alfred Wysocki (poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Sztokholmie) niezwłocznie wystosował do Reymonta depeszę, a w odpowiedzi otrzymał następujący komentarz: *Drogi Panie, piszę w dwadzieścia cztery godzin po otrzymaniu wiadomości o Noblu. Nie mogłem wcześniej, brakowało sił, roztrząsałem się do dna (...). I przyznaję się przed Wami, że nagroda uderzyła we mnie istotnym, wstrząsającym piorunem (...). Słowo jest niezdarne w takich chwilach i nie potrafi ująć nawet strzępów uczucia.*

W liście zawarta była również wzmianka awizująca nieobecność pisarza na uroczystości wręczenia prestiżowej nagrody literackiej. Powód: pogarszający się stan zdrowia. W owym czasie Reymont chorował bowiem na „generalne zapalenie płuc”, które wymagało długotrwałej i kosztownej kuracji w Nicei. Prawdopodobnie wizja absencji była powodem rozgoryczenia pisarza, a w jego korespondencji odnaleźć można szereg przepełnionych złością wyznań: *Nagroda Nobla, pieniądze, sława wszechświatowa i człowiek, który bez zmęczenia wielkiego nie potrafi się rozebrać. To istna ironia życia, urągliwa i prawdziwie szatańska.* 14 listopada 1924 roku w liście do Wojciecha Morawskiego autor *Ziemi obiecanej* pisze ponadto z nieukrywaną ironią: *Marzyłem jeno o ciszy i możliwości spokojnego pracowania jak o największym szczęściu. Naraz otwierają się wielkie drzwi rozgłosu! Nieznany wczoraj i lekceważony nawet przez rodaków, dzisiaj muszę brać pozę i twarz sławnego człowieka. Czy to niewarte śmiechu? Stałem się od razu dumą swojego narodu! Rodacy gotowi jeszcze czytać moje książki!*

W początkach maja 1925 roku w Paryżu zorganizowano na cześć polskiego laureata literackiej Nagrody Nobla wystawny bankiet, którego inicjatorem był wydawca Edward Champion. Wśród zaproszonych gości znajdowali się m.in.: André Gide, Paul Valéry, René Boylesve, Frédéric Lefèvre, Franck-Louis Schoell. W Polsce przewidziano z tej okazji uroczyste obchody zwane „Dożynkami Reymontowskimi”. Ogólnopolski zjazd delegacji chłopskich odbył się 15 sierpnia 1925

roku w Wierchosławicach. Niestety, tuż po zakończeniu uroczystości pisarz został odwieziony do lecznicy w Krakowie, a następnie do szpitala Przemienienia Pańskiego w Poznaniu. Kilka miesięcy później autora *Komediantki* zastała wiadomość o śmierci Stefana Żeromskiego. W liście do Wojciecha Morawskiego umieścił Reymont następujące słowa: *Cios to dla naszego piśmiennictwa okropny, dla mnie również i z wielu względów nie mniejszy. Byłem jego szczerym wielbicielem. Różniliśmy się bardzo, ale podziwiałem w nim genialnego pisarza. Niestety, nie ma następcy.*

Niespełna dwa tygodnie później, 5 grudnia 1925 roku, Władysław Reymont zmarł w Warszawie.

90-lecie przyznania Reymontowi Nagrody Nobla stało się w bieżącym roku powodem kilku uroczystych wydarzeń. W Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie odbyła się uroczysta inauguracja Obchodów Reymontowskich, z udziałem sekretarza stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej, Tadeusza Sławeckiego. Rodzajem dopełnienia była okolicznościowa ekspozycja w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Z myślą o zwolennikach prozy realistycznej instytucja ta przygotowała wystawę malarstwa rodzajowego, zatytułowaną: *Władysław Stanisław Reymont – cztery pory roku*. Była to doskonała okazja, by porównać literackie obrazy wsi, ukazane na kartach *Chłopów*, z wizją pejzaży wiejskich autorstwa współczesnych artystów. Wspomniany jubileusz uczciła również Wielkopolska, organizując 38. Międzywojewódzki Rajd Reymontowski na trasie Puzdry-Kołaczkowo.

Najpełniej noblowski jubileusz uczczono na terenie województwa łódzkiego. Rocznicowe obchody połączone zostały z 17. edycją Dnia Reymonta, który odbył się w czerwcu, na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi. Tegoroczne uroczystości plenerowe na terenie Łodzi i Lipiec Reymontowskich inaugurował uroczysty powrót „Kufra Reymonta”, czyli pomnika-laweczki wchodzącej w skład Galerii Wielkich Łodzian.

Wspomniane uroczystości miały jedynie charakter lokalny. Zabrakło, niestety, przedsięwzięć o zasięgu ogólnopolskim, a dotyczy to również przestrzeni medialnej. Niewykluczone, iż ma to także związek z pewną marginalizacją Reymontowskiej prozy i brakiem szerszego zainteresowania nią ze strony odbiorców. A już w 1925 roku Zdzisław Dębicki w nieco patetycznym tonie pisał: *obowiązkiem naszego sumienia jest stwierdzić, że autor „Chłopów”, mimo całej popularności tego utworu w Polsce i poza jej granicami, nie osiągnął jeszcze ani tego zrozumienia, ani tego ukochania, na jakie zasługuje jako wielki pisarz. Znamy go ciągle jeszcze za mało.*

Agnieszka Wojcieszek

Ireneusz Książek

Jak wykraść bogom Słońce?

Dlaczego Słońce świeci? Co jest źródłem energii, która dociera do Ziemi, dając życie roślinom i zwierzętom? Najstarszą odpowiedzią na te pytania było stwierdzenie, że jest to dzieło bogów (lub też samo Słońce było tym bogiem). Te odpowiedzi nie zadowalały naukowców od czasów co najmniej Newtona. On to właśnie na podstawie oddziaływań grawitacyjnych określił masę Słońca. Do końca XIX wieku jedynymi znanymi nauce źródłami energii były oddziaływania grawitacyjne oraz reakcje chemiczne. Ani energia wynikająca z zapadania się (kolapsu) grawitacyjnego, ani jakiegokolwiek procesy spalania nie tłumaczyły działania Słońca przez miliony lat (a na taki wtedy określano wiek niektórych skał na Ziemi). Bywało to także używane jako argument przeciwko teorii ewolucji przedstawionej przez Darwina. Ewolucja nie mogłaby trwać przez miliony lat, bo Słońce, według obliczeń fizyków XIX-wiecznych, nie może istnieć tak długo. Dopiero odkrycie w XX wieku reakcji jądrowych wyjaśniło zasadę działania tej wielkiej „kuli ognia”. Reakcje te są tysiące razy bardziej wydajne niż jakiegokolwiek reakcje chemiczne. Mimo że średnia moc wytwarzana przez jeden kilogram materii słonecznej jest rzędu miliwata (znacznie mniejsza od mocy wytwarzanej przez kilogram ciała ludzkiego) to, uwzględniając ogromne rozmiary Słońca, reakcje jądrowe potrafią zapewnić trwałość naszej gwiazdy przez miliardy lat.

Reakcje jądrowe, czyli 2+2 to mniej niż 4

W odróżnieniu od reakcji chemicznych, w reakcjach jądrowych suma mas substratów prawie nigdy nie jest równa sumie mas produktów. Jeśli połączymy na przykład ze sobą dwa protony i dwa neutrony to powstałe w wyniku tego jądro helu (zwane też cząstką α) będzie o nieco poniżej 1% lżejsze niż suma mas użytych protonów i neutronów. Co się stało z tą brakującą masą? Została zamieniona na energię, zgodnie ze słynnym wzorem Einsteina $E = m \cdot c^2$. W ten sposób masa Słońca co sekundę zmniejsza się o miliony ton.

Jądra wodoru czy hel to jądra pierwiastków lekkich – nieco inaczej sprawa się ma, gdy mamy do czynienia np. z uranem. W przypadku jąder ciężkich pierwiastków rozpad takiego jądra na dwa mniejsze prowadzi do ubytku masy i wydzielania się energii – tym razem suma mas jąder rozpadu jest mniejsza od masy jądra, które się rozpadło. Przykładem takich reakcji jest rozszczepienie jądra uranu bądź plutonu, które wykorzy-

stywane jest w broni jądrowej i reaktorach jądrowych.

Energia jądrowa może być zatem wyzwolona w dwojakiego rodzaju reakcjach – rozpadu ciężkich jąder atomów lub też łączenia się (fuzji) jąder lekkich. W gwiazdach, w tym w Słońcu, mamy do czynienia z tym drugim procesem.

Reakcji fuzji jądrowej jest wiele, bo też i wiele lekkich jąder może się ze sobą łączyć, tworząc cięższe pierwiastki. Dla różnych reakcji różne bywają warunki konieczne do ich przeprowadzenia, różna jest ich wydajność i różna energia wydzielana podczas reakcji. Ze względu na te różne właściwości najbardziej wydajną reakcją, nad którą obecnie się pracuje, jest reakcja fuzji deuteru i trytu. Deuter to izotop wodoru, który w odróżnieniu od zwykłego wodoru zawiera w jądrze oprócz protonu jeszcze neutron, a tryt to izotop, który w jądrze zawiera proton i dwa neutrony. Druga w kolejności jest reakcja deuter-deuter, ale jej wydajność jest ok. 100 razy mniejsza niż dla reakcji deuter-tryt.

Bogowie mieszkają na szczycie góry

Na początku lat 50. przeprowadzono po raz pierwszy na Ziemi reakcje łączenia lekkich pierwiastków – niestety w formie eksplozji. Jednak już przedtem rozważano, w jaki sposób można by przeprowadzać kontrolowaną reakcję fuzji jądrowej. Jeśli przedstawić to zadanie przez analogię czy metaforę wspinaczki na wysoką, nowo odkrytą górę, to na początku lat 50. ubiegłego wieku ta góra została dopiero co odkryta; okazało się, że jest wysoka na ponad 100 km i należy dopiero wynaleźć alpinizm. Rozpoczęła się wspinaczka, różne ekipy próbują podejść od różnych stron, stosując odmienne techniki. Zdarzało się, że niektórzy ogłaszali, że już są na szczycie, ale gdy rozwiły się mgły (tzn. dokładniej przeanalizowano wynik eksperymentu), okazało się, że to tylko niewielkie wzniesienie na drodze podejścia (np. brytyjski eksperyment ZETA). Zdarzali się fanteści (szaleńcy?, oszuści?) twierdzący, że znają drogę na skróty (np. argentyński projekt „Huemul” lub tzw. zimna fuzja). Złożoność tego projektu i jego koszty są ogromne, ale też i potencjalne korzyści dla ludzkości powodują, że w znacznej części są to wysiłki ogromnych, międzynarodowych zespołów. Współpraca ta trwa od roku 1958, gdy na konferencji w Genewie odtajniono te badania – i była kontynuowana nawet podczas wyścigu zbrojeń i najmroczniejszych czasów zimnej wojny. Uwieńczeniem

tych międzynarodowych wysiłków jest realizowany obecnie projekt tokamaka ITER, w którego budowę zaangażowane jest ponad 30 krajów reprezentujących ponad połowę populacji ludzi na Ziemi.

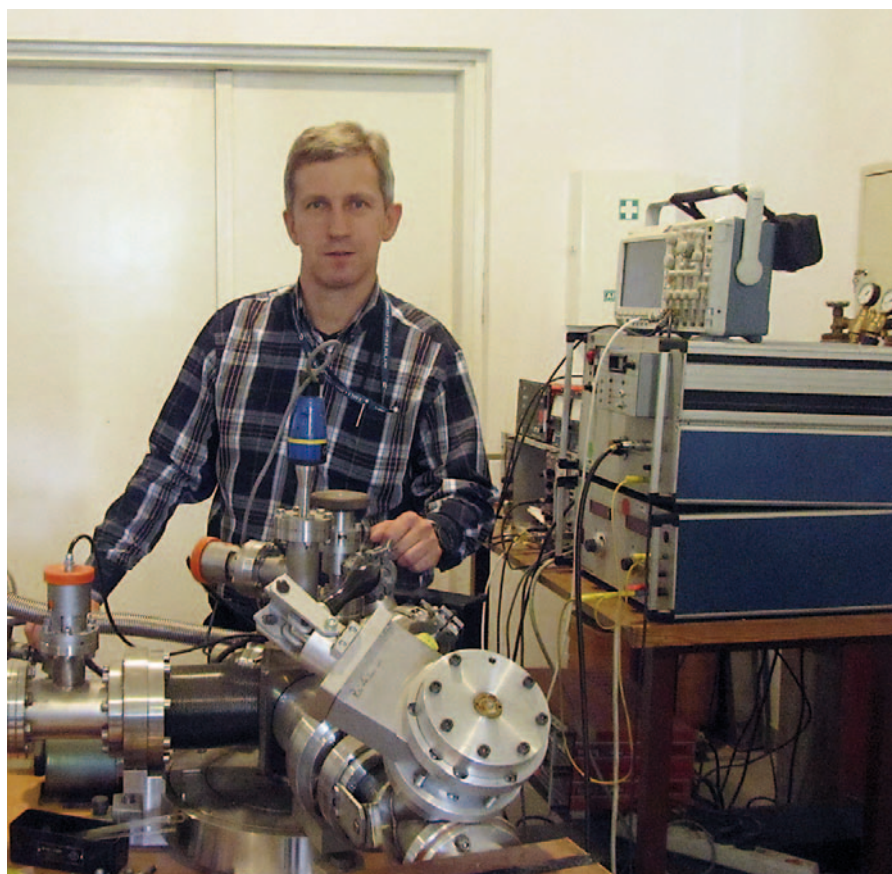
Aby przeprowadzać reakcje termojądrowe konieczne jest podgrzanie materii do temperatury ponad 100 mln – żadne naczynie nie wytrzyma tak wysokiej temperatury. Jednym ze sposobów jest zrezygnowanie z prób utrzymywania tej materii przez dłuższy czas poprzez spowodowanie miniaturowej eksplozji małej kapsułki paliwa. Jest to tak zwana kompresja inercyjna (ICF – *Inertial Confinement Fusion*).

Alternatywą jest wykorzystanie faktu, że w wysokiej temperaturze materia jest w stanie plazmy, czyli składa się z szybko poruszających się, naładowanych elektrycznie jonów i elektronów, a jak wiadomo, tory ruchu ładunków elektrycznych ulegają odchyleniu w polu magnetycznym. Gdy skorzystamy z tego zjawiska, przepis na uzyskanie „Słońca na Ziemi” wydaje się być prosty: należy zbudować magnetyczną klatkę na plazmę, odpompować z niej powietrze (do poziomu wysokiej próżni), wpuścić do środka ok. 1 grama paliwa (czyli mieszaniny izotopów wodoru) i podgrzać do 100 mln°C. Metoda ta zwana jest utrzymywaniem plazmy polem magnetycznym (MCF – *Magnetic Confinement Fusion*).

Jeśli pole magnetyczne będzie miało kształt prostej rury, to na końcach plazma będzie uciekać – próbowano zbudować specjalne zwierciadła magnetyczne, ale niestety (jak na razie) bez powodzenia. Rozwiązaniem wydaje się zawinięcie pola magnetycznego w kształt torusa (podobny do obwarzanka lub opony samochodowej). W tym wypadku pojawia się jednak inny problem, związany z tym, że bliżej osi symetrii torusa pole magnetyczne jest silniejsze niż w większej odległości od osi. Plazma nie daje się utrzymać w polu o takim kształcie – potrzebny jest jeszcze jakiś dodatkowy czynnik.

Podejście ścianą wschodnią – tokamak

W opracowanym przez radzieckich fizyków Igora Tamma i Andrieja Sacharowa urządzeniu nazwanym TOKAMAK (*Toroidalnaja Kamiera s Magnitnymi Katuszkami*) rolę tego dodatkowego czynnika potrzebnego do utrzymania plazmy pełni bardzo duży prąd (rzędu milionów amperów) w niej płynący. Wadą tego

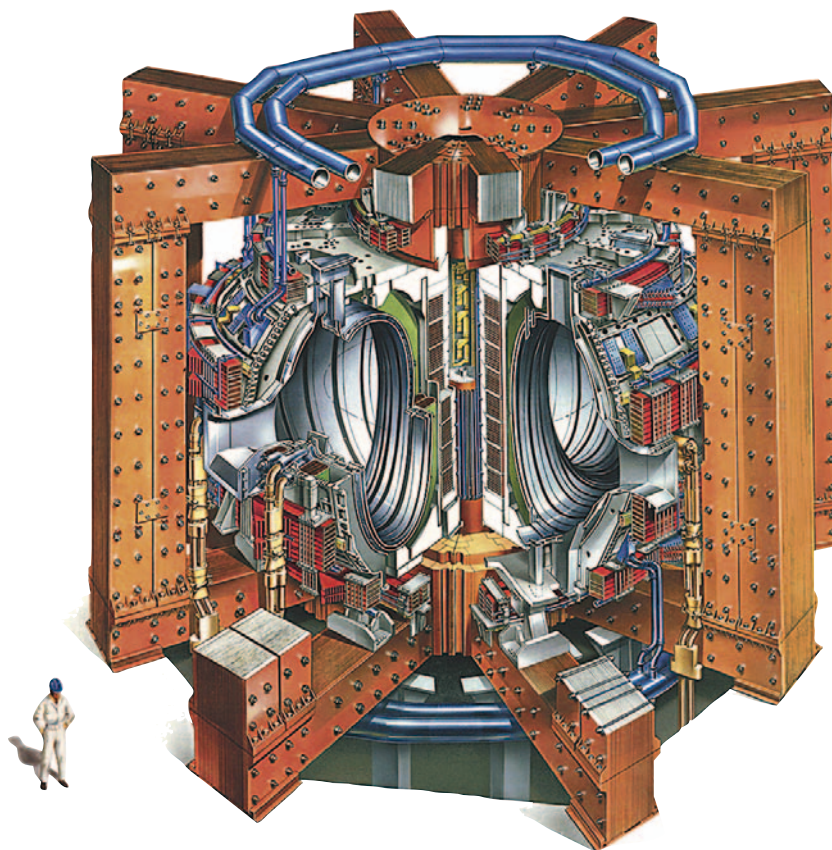


Dr Ireneusz Książek w laboratorium Instytutu Fizyki UO

rozwiązania jest występowanie szeregu niestabilności w plazmie, z których najgroźniejszą jest zerwanie sznura plazmy (ang. *disruption*). Gdy pod koniec lat 60. uczeni brytyjscy potwierdzili, że faktycznie Rosjanie w tokamaku uzyskują rekordową (jak na tamte czasy) temperaturę 1 mln°C rozwiązanie to stało się najpowszechniej stosowane. Na dodatek odkryto prostą zależność – im większy tokamak, tym lepsze rezultaty można uzyskać. Dlatego też na przełomie lat 70. i 80. zbudowano trzy ogromne tokamaki (jeden w Europie, jeden w USA i jeden w Japonii), których zadaniem było wykazanie, że proces kontrolowanej fuzji jest możliwy do uzyskania w tym urządzeniu – wszystkie trzy spełniły swoje zadanie. Jednym z nich jest największy obecnie działający tokamak JET (*Joint European Torus*), który znajduje się w południowej Anglii, kilka mil od Oksfordu. W nim to uzyskano, w 1997 r., 16 MW mocy z reakcji deuter-tryt. Jest to projekt ogólnoeuropejski, w badaniach prowadzonych na tym tokamaku biorą udział naukowcy z całego świata, wśród nich jest także autor tego artykułu. Zasady działania tego eksperymentu są z wielu powodów szczególne. Jest to eksperyment duży i skomplikowany, wymagający współdziałania wielu zespołów inżynierów i fizyków. Wyniki otrzymywane podczas jednego eksperymentu (tzw. strzału) to ponad 2 GB danych do przeanalizowania, a takich eksperymentów przeprowadza się w trakcie kampanii pomiarowej kilkadziesiąt dziennie. Przed rozpoczęciem kampanii pomiarowej zaprasza się więc do pomocy naukowców z różnych ośrodków, a i wśród

nich także fizyków z Opola. Autor artykułu spędził wiele miesięcy podczas kampanii pomiarowych JET jako pracownik zespołu spektroskopii, zajmując się kalibracją spektrometrów, analizą danych oraz doskonaleniem oprogramowania do tej analizy.

Jeśli by powrócić do metafory wspinaczki, konstruowanie kolejnych tokamaków można by porównać do zakładania kolejnych obozów pośrednich na drodze podejścia. Ostatnim obozem, z którego ma być poprowadzony atak na szczyt, będzie tokamak ITER. Nazwę tę można tłumaczyć na dwa sposoby: jako akronim pochodzący od słów *International Thermonuclear Experimental Reactor* (czyli międzynarodowy eksperymentalny reaktor termojądrowy) lub też odczytywać ją jako łacińskie słowo oznaczające podróż. Ma on być ostatnim krokiem przed skonstruowaniem prototypu elektrowni termojądrowej. Wytwarzana w nim plazma ma mieć objętość niemal 1000 m³ i reakcje jądrowe mają osiągać moc 500 MW (więcej niż moc jednego bloku elektrowni Opolo). Budowa tego urządzenia trwa obecnie w miejscowości Cadarache na południu Francji, a rozpoczęcie jego działania planowane jest na rok 2020.



Tokamak JET – *Joint European Torus*

Podejście ścianą zachodnią – stellarator

W czasie, gdy w Związku Radzieckim wymyślono tokamak, w Stanach Zjednoczonych powstała zupełnie odmienna koncepcja. Zamiast wprowadzenia dodatkowej siły, koniecznej aby zmusić plazmę do wędrówki dookoła torusa, Lyman Spitzer zaproponował, aby pozwolić plazmie na wędrówkę naturalną dla niej, powyginaną drogą. Aby było to możliwe, wytworzone przez uzwojenia pole magnetyczne musi być tak samo pokręcone. Dzięki temu, że nie ma potrzeby indukowania wielkiego prądu w plazmie, stellarator może działać w sposób ciągły, podczas gdy tokamaki działają impulsowo. Po wielkich sukcesach tokamaków, pod koniec lat 60., badania stellaratorowe zeszły na drugi plan, ale nie zostały całkowicie zarzucone. Szereg kolejnych stellaratorów, konstruowanych w Max-Planck-Institut w Garching koło Monachium, dostarczało bardzo obiecujących wyników. Obecnie w filii tego instytutu w Greifswaldzie, we wschodniej części Niemiec, rozpoczyna działalność największy na świecie stellarator o nazwie *Wendelstein 7-X* (w skrócie określane jako *W7-X*).

W projekcie tym bardzo znaczny udział mają fizycy z Polski, m.in. z Instytutu Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy w Warszawie, z Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, z Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Świerku, a także z Instytutu Fizyki Uniwersytetu Opolskiego.

Stellarator jest urządzeniem o niespotykanym stopniu komplikacji. Jeden z inżynierów pracujących przy jego budowie użył porównania, że gdyby porównywać *W7-X* z samolotem odrzutowym to tak, jakby porównać ten samolot z rowerem. Chociażby sam wymóg bardzo precyzyjnego określenia pola magnetycznego powodował, że do budowy konieczne było użycie specjalnych materiałów, a szereg urządzeń stosowanych standardowo nie mogło być wykorzystywanych ze względu na ich oddziaływanie z polem magnetycznym (choćby klasyczne silniki elektryczne). Sam układ ogrzewania mikrofalowego ma moc 10 MW (to tak, jakby podłączyć równocześnie ponad 10 tysięcy domowych mikrofalówek). Aby to promieniowanie przetransportować, konieczne było użycie specjalnych okien diamentowych (z syntetycznych diamentów), co dało tak duże nagromadzenie tego materiału, że porównać to można jedynie z ilością brylantów w skarbcu korony brytyjskiej.

Stellarator, jeśli powrócić do analogii wspinaczkowej, jest w tej chwili na etapie zakładania przedostatniego obozu pośredniego, jest o krok za drużyną tokamaków. Jeśli jednak okaże się, że droga tokamaków jest niemożliwa do przejścia (np. niestabilności plazmy

okażą się nie do opanowania), stellarator może wskazać drogę alternatywną. Możliwe też, co wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, że obie drużyny połączą swoje wysiłki i powstanie nowe urządzenie łączące w sobie najlepsze cechy tokamaka i stellaratora.

Jak dojrzeć, co przed nami? – spektroskopia plazmy

Podczas zaćmienia Słońca, obserwowanego w 1868 r., Norman i Lockyer zarejestrowali rozszczepienie światła (widmo) korony słonecznej, odkrywając tam linie widmowe, które nie odpowiadały żadnemu ze znanych pierwiastków. Nazwano ten nieznan pierwiastek słoneczny *helium*. Minęło prawie 30 lat do momentu, gdy William Ramsay w roku 1895 wyizolował hel z rudy uranowej. Historia odkrycia helu jest znana powszechnie, ale mniej znany jest fakt, iż oprócz helu zidentyfikowano wtedy, w widmie światła emitowanego z tzw. korony słonecznej, jeszcze inną, nieznaną linię widmową, którą przypisano kolejnemu pierwiastkowi, nazwanemu *coronium*. Dopiero w latach 30. odkryto, że widmo to jest emitowane przez dobrze znane żelazo, ale za to aż 13-krotnie zjonizowane. Badania te można uznać za początki spektroskopii plazmy.

Spektroskopia, czyli badanie rozszczepionego światła, może dostarczać nam informacji o składzie chemicznym najodleglejszych gwiazd, o warunkach fizycznych panujących na ich powierzchni. To dzięki spektroskopii możemy zmierzyć temperatury rzędu wielu tysięcy, a nawet i milionów stopni. I na dodatek to wszystko możemy robić pozostając w bezpiecznej odległości od badanych obiektów.

Połowę lat 60. XX wieku można uznać za początek działalności Katedry Spektroskopii Plazmy Instytutu Fizyki WSP w Opolu. Pod kierunkiem **prof. Antoniego Opolskiego** rozwijały się kariery naukowe m.in. **dr. hab. Antoniego Gollego**, **dr. hab. Tadeusza Wujca** czy **prof. dr. hab. J. Musieloka**. Nauczyciele ci kształcili kolejne pokolenie spektroskopistów, wśród nich **dr. hab. Adama Baclawskiego** i **dr. Ireneusza Książka**. Opolska grupa spektroskopii plazmy stała się znana w całym świecie i uzyskała zasłużenie bardzo dobrą opinię.

Dzięki tej opinii, gdy w 2005 r. Polska przystąpiła do organizacji EURATOM, zajmującej się m.in. koordynacją badań dotyczących kontrolowanej fuzji jądrowej w Europie, ośrodek opolski został zaproszony do udziału w tym projekcie. Na początku tego samego 2005 roku grupa naukowców z Max-Planck-Institut für Plasmaphysik odwiedziła Polskę, zachęcając pol-

skich naukowców do udziału w projekcie *Wendelstein 7-X*. Jednym z miejsc, które odwiedzili, był Uniwersytet Opolski, a skutkiem tej wizyty była umowa, w ramach której nasz zespół zajmuje się konstrukcją specyficznego spektrometru dla stellaratora *W 7-X*, o nazwie roboczej *C/O monitor for W7-X*.

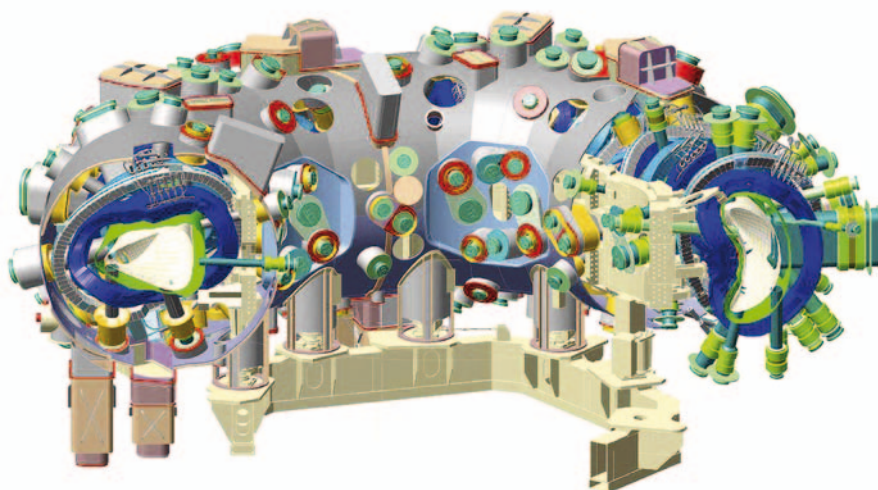
Czystość ognia

Aby osiągnąć cel, jakim jest wydajna fuzja termojądrowa, konieczne jest utrzymanie jak największej czystości plazmy. Nie jest to łatwe – należy najpierw uzyskać w naczyniu plazmowym (o objętości wielu metrów sześciennych) stan wysokiej próżni, a następnie wprowadzić tam odrobinę wodoru (rzędu grama) i podgrzać ten wodór do ponad 100 mln°C.

Niestety, w plazmie zawsze pojawiają się zanieczyszczenia – a to próżnia nie jest dostatecznie doskonała, a to utrzymanie plazmy się nie udało i lekko zetknęła się ze ścianą, a nawet gdy plazma jest dobrze utrzymywana, materiał ściany może nieco odparować w wyniku oświetlenia go promieniowaniem wytworzonym w plazmie. Obecność wszelkich takich zanieczyszczeń powoduje utratę energii, czyli wychłodzenie plazmy (głównie poprzez emisję linii widmowych jonów zanieczyszczeń).

Niekiedy tego typu zabrudzenia wprowadza się celowo, aby np. zbadać, jak zachowują się zanieczyszczenia plazmy, aby zbadać promieniowanie konkretnych linii widmowych lub gdy niestabilności plazmy stają się groźne i chcemy jak najszybciej ją schłodzić. Wtedy można zaobserwować, jak np. wprowadzenie do plazmy znikomej ilości niklu (poprzez odparowanie go przez ogrzanie powierzchni metalu laserem) powoduje, że moc wypromieniowana z plazmy wzrasta gwałtownie z 5 do 9 MW.

Bardzo ważne jest zatem stałe i precyzyjne monitorowanie poziomu tych zanieczyszczeń. Najlepszym narzędziem do tego służącym jest spektroskopia



Schemat stellaratora Wendelstein 7-X

optyczna. Ponieważ w tak wysokich temperaturach zanieczyszczenia występują jedynie pod postacią jonów o bardzo dużym ładunku (np. C^{+5} , N^{+6} , Ni^{+19} , Fe^{+26} , Cu^{+27} , itp.), to ich świecenie występuje wyłącznie w zakresie dalekiego ultrafioletu i promieniowania rentgenowskiego.

Spektrometry stosowane do tego celu są konstruowane indywidualnie ze względu na bardzo specyficzne warunki, w jakich muszą pracować – np. silne pola magnetyczne, promieniowanie gamma, promieniowanie neutronów powstałych w wyniku fuzji czy rozproszone promieniowanie mikrofalowe (z systemów ogrzewania). Jednym z takich specyficznych spektrometrów jest zaprojektowany przez fizyków z Uniwersytetu Opolskiego *C/O monitor for W7-X*. Jego zadaniem jest monitorowanie (poprzez pomiar natężeń linii jonów wodoropodobnych) poziomu zanieczyszczenia plazmy wytwarzanej w stellaratorze *Wendelstein 7-X*. Badanymi w nim zanieczyszczeniami będą te, które najczęściej występują w plazmie W7-X, tj. bor (który może być odparowany z elementów ścian poddanych boronizacji), węgiel (który może być odparowany ze ścian węglowych), azot (pojawiający się np. wskutek nieszczelności układu próżniowego) i tlen (który zaabsorbowany został w ścianie urządzenia podczas zapowietrzenia układu, a następnie przez wiele miesięcy powoli uwalnia się do próżni i tworzonej w niej plazmy).

Kiedy skradniemy bogom Słońce?

Laikom wydaje się niezrozumiałe, dlaczego – skoro od pierwszej eksplozji jądrowej (uranowej) do skonstruowania pierwszej elektrowni jądrowej minęło ok. 10 lat, a od pierwszej eksplozji termojądrowej minęło już ponad pół wieku – wciąż nie mamy elektrowni termojądrowych. Istota problemu tkwi, między innymi, w zupełnie odmiennych podstawach działania. W przypadku reakcji rozszczepienia (jaka występuje w bombach i elektrowniach uranowych) wystarczy zgromadzić odpowiednią masę materiału rozszczepialnego, a produkcja energii rozwija się spontanicznie – kontrolowanie tego procesu ma na celu ograniczenie jego prędkości, aby nie doszło do nadprodukcji energii, która może zakończyć się eksplozją (jak zdarzyło się to np. w Czarnobylu). W przypadku reakcji termojądrowych problemem jest uzyskanie parametrów fizycznych, w których reakcje te są uzyskiwane (takich jak temperatura, czystość plazmy czy czas jej utrzymania). Dopiero spełnienie tych, jakże wyśrubowanych warunków (np. temperatura ok. 10 razy większa niż w jądrze Słońca), może zapewnić produkcję energii na zadowalającym poziomie. Wynika z tego faktu jedna z wielkich zalet przyszłej energetyki termojądrowej – całkowite bezpieczeństwo takiego reaktora. Jakkolwiek awaria nie może doprowadzić do niekontrolowanej nadprodukcji energii, a musi zakończyć się

utrata warunków niezbędnych do fuzji i wyłączeniem elektrowni.

Wielu, zwłaszcza politykom, wydaje się, że skoro mimo trwających od ponad pół wieku badań nad tym problemem wciąż nie osiągnięto rezultatu, ten czas i zasoby zostały zmarnowane. W rzeczywistości jednak w badaniach tych następuje trwały postęp. Jeśliby dążenie do opanowania fuzji jądrowej porównać do wspinaczki na szczyt, to w latach 50. dopiero odkryto tę górę – górę o wysokości sto razy większej niż szczyty zdobywane dotychczas. W trakcie tej wspinaczki napotkano wiele niespodziewanych przeszkód i choć wiele razy wydawało się, że szczyt jest o krok, to gdy opała mgła okazało się, że jesteście zaledwie na grani, a przed nami jeszcze długa droga. Przetestowano wiele dróg, niektóre z nich prowadziły w przepaść, inne okazały się zbyt trudne do przejścia, jeszcze inne wydają się prowadzić w dobrym kierunku i mają szansę zakończyć się sukcesem. Wciąż istnieją zespoły szukające nowych podejść (np. *spheromak* czy urządzenia liniowe z nowymi, bardziej wydajnymi zwierciadłami magnetycznymi). Kontynuując tę metaforę, główny zespół, najbardziej zaawansowany, właśnie rozpoczął zakładanie ostatniego obozu, tuż pod szczytem (drużyna tokamaków i projekt ITER), nieco niżej znajdują się dwa inne zespoły (drużyna stellaratorów oraz fuzji inercyjnej), które próbują podejścia z innej strony. W ciągu najbliższych lat poznamy ich wyniki.

Opanowanie fuzji termojądrowej jest zadaniem, które prędzej czy później musi zostać przez ludzkość rozwiązane. Zapotrzebowanie ludzi na energię wciąż rośnie i nic nie wskazuje na to, aby ten wzrost mógł się zatrzymać. Obecnie każdy z nas, żyjących w świecie cywilizacji zachodniej, korzysta codziennie z ilości energii, jaką wytworzyliby w czasach starożytnych stu niewolników. A do tego cywilizowanego świata aspirują przecież miliardy ludzi żyjących w innych częściach globu.

Paliwa kopalne prędzej czy później ulegną wyczerpaniu. Prognoza, kiedy te zasoby się skończą, wciąż jest przesuwana – po każdym odkryciu nowych złóż węgla czy ropy naftowej. Jednakże, nawet według najbardziej optymistycznych przewidywań, są to co najwyżej setki lat. Jeśli opanujemy fuzję termojądrową, to wykorzystując te ok. 33 mg deuteru znajdujące się w jednym litrze wody, otrzymamy taką ilość energii, jak podczas spalania ok. 340 litrów benzyny. Biorąc pod uwagę powszechność wody na Ziemi, zasobów tego paliwa wystarczy nie na setki czy tysiące, a na wiele miliardów lat. Im szybciej dokonamy tego przełomu, tym więcej kopalin pozostanie dla przyszłych pokoleń, które będą ze zdziwieniem słuchały opowieści, jak to w przeszłości prymitywni przodkowie wykorzystywali ropę naftową czy węgiel po prostu je spalając – zamiast stosować je np. jako surowce dla przemysłu chemicznego.

Prof. dr hab. Józef Długosz

(1928–2014)

Pochodził z Piwnicznej (byłe woj. nowosądeckie). Z wykształcenia historyk, studia wyższe ukończył w 1958 r. na Wydziale Filozoficzno-Historycznym we Wrocławiu. Pracę w zawodzie bibliotekarza rozpoczął w 1953 r. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu, gdzie do 1957 r. był kierownikiem Działu Opracowania Zbiorów. Przez rok był instruktorem w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie (1957–1958). Po powrocie do Wrocławia, od października 1958 r., został zatrudniony w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich jako starszy bibliotekarz i kierownik Działu Opracowania Czasopism, tam pracował do końca marca 1972 r. Równoległe z pracą zawodową w bibliotekach, prowadził badania historyczne, opracowywał publikacje i przygotował pracę doktorską na temat mecenatu kulturalnego i dworu Stanisława Lubomirskiego (1583–1649), wojewody krakowskiego, którą pisał pod kierunkiem prof. Władysława Czaplińskiego.

Tytuł doktora nauk humanistycznych uzyskał w 1970 r. Jako zastępca dyrektora Biblioteki Głównej i Ośrodka Informacji Naukowo-Technicznej w Politechnice Wrocławskiej, w latach 1972–1981 zarządzał procesem gromadzenia i opracowania zbiorów, a także współdziałał w projektowaniu i uruchamianiu systemu bibliotecznego APIN-WASC. Kolejne lata działalności zawodowej dr. Józefa Długosza (1981–1990) wiążą się z Biblioteką Uniwersytecką we Wrocławiu. Tam pełnił funkcję kierownika Oddziału Zbiorów Zabezpieczonych, podejmował akcję porządkowania zbiorów poniemieckich, a następnie został dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej. Starszy kustosz dyplomowany dr Józef Długosz kontynuował pracę naukową i na podstawie pracy habilitacyjnej pt. *Jakub Sobieski (1590–1640) – parlamentarzysta, polityk, podróżnik i pamiętnikarz*, po przeprowadzonym przewodzie habilitacyjnym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, uzyskał tytuł doktora habilitowanego. W Jego dorobku naukowym znajduje się m.in. reedycja pamiętników Jakuba Sobieskiego z l. 1607–1613 i 1638.



Prof. Józef Długosz

W Opolu pracował w Instytucie Historii. Dyrektorem Biblioteki Głównej został w 1991 r. W tym czasie aktywizował zespół do pracy naukowej i przyczynił się do wydania pierwszego „Rocznika Biblioteki Głównej”. Szczególną troską otaczał zbiory dawne, kierując liczne starodruki do konserwacji. Inicjował również szereg działań związanych z komputeryzacją działalności bibliotecznej. W latach 2005–2008 prof. Józef Długosz był członkiem Komisji Egzaminacyjnej MNiSZW do przeprowadzania postępowania kwalifikacyjnego dla kandydatów na dyplomowanego bibliotekarza oraz dyplomowanego pracownika dokumentacji i informacji naukowej MNiSZW. Po zakończeniu pełnienia funkcji dyrektora biblioteki wrócił do pracy naukowej i dydaktycznej w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego jako profesor nadzwyczajny, a od 1998 r. profesor zwyczajny.

Wanda Matwiejczuk

Danuta Kisielewicz

Ostatni sołtys z rodu Bożków

Przypadająca w listopadzie br. 60. rocznica śmierci Arkadiusza (Arki) Bożka skłania do przypomnienia jego postaci. Był obrońcą polskości Górnego Śląska, zwolennikiem powrotu tej ziemi do Polski, niestrudzonym bojownikiem o wolną Polskę, a także wybitnym działaczem polskiego ruchu narodowego w Niemczech, politykiem polskiej emigracji niepodległościowej w Londynie, a po II wojnie światowej – wicewojewodą śląskim i działaczem społecznym.

Jego przodkowie od stuleci uprawiali śląską ziemię, zachowywali polskie tradycje, pielęgnowali polski język, wyznawali wiarę katolicką. Angażowali się społecznie w pracy dla miejscowych chłopów, a mężczyźni od wielu pokoleń pełnili funkcję sołtysa. Arka był ostatnim sołtysiem z tego rodu.

Przeciętny uczeń zadaje pytania

Dzieciństwo Arki Bożka, urodzonego w 1899 r. w Markowicach (pow. raciborski), przypadło na czas bujnego rozkwitu ruchu polskiego na Górnym Śląsku, skupionego wokół polskich towarzystw gospodarczych i kulturalno-oświatowych (banki ludowe i spółdzielnie rolnicze, polskie biblioteki, towarzystwa oświatowe i kulturalne, czytelnice, zespoły amatorskie i śpiewacze). Te organizacje i instytucje kształtowały świadomość narodową młodego wówczas Bożka.

W wieku sześciu lat rozpoczął naukę w szkole ludowej, a później doksztalającej w Markowicach. Należał do przeciętnych uczniów. Najbardziej lubił historię – na lekcjach zasypywał nauczycieli pytaniami, w domu z kolei zadawał je matce. To ona wyjaśniała mu skomplikowane dzieje Śląska, rozbudziła w nim zamiłowanie do książek, zainteresowanie przeszłością i społecznymi problemami regionu. Przyczynili się do tego także przyjaciele rodziny Bożków, którzy zabierali Arkę do Krakowa i Częstochowy na wycieczki, podczas których poznawał historię Polski.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, szesnastoletni wówczas Arka powziął decyzję o wstąpieniu jako ochotnik do cesarskiej armii – walczył na froncie francuskim i włosko-austriackim, został czterokrotnie ranny. Stopniowo docierało do niego, że Ślązacy są w wojsku traktowani gorzej od Niemców wywodzących się z głębi Rzeszy Niemieckiej. Przeżycia wojenne sprawiają, że w jego świadomości rozwija się poczucie odrębności narodowej: Bożek uświadamia sobie, że jest Polakiem. To w wojsku styka się z ruchem socjaldemokratycznym, a chłopskie pochodzenie pomaga mu w przyjmowaniu socjalistycznych idei. Staje się pacyfistą, pragnie, by wojna skończyła się jak najszybciej.

I coraz bardziej odczuwa tęsknotę za bliskimi i rodziną wsią.

W październiku 1918 r. wraca z wojny i żeni się z osiemnastoletnią wówczas markowiczanką – Jadwigą Komor. 11 listopada 1918 r., dokładnie w dniu podpisania przez Niemcy cesarskie rozejmu kończącego I wojnę światową, dwudziestoletni Arka Bożek był już żonaty.

Zgodnie z rodzinną tradycją zajął się gospodarowaniem na swoim, zrujnowanym przez wojnę, dziesięciohektarowym gospodarstwie. Oboje z żoną ciężko pracowali i ledwo wiązali koniec z końcem. W styczniu 1920 r. urodziła im się córka Paulina, a w następnych latach córki Lutosława i Anna oraz syn Eugeniusz, który jednak zmarł po trzech miesiącach od narodzin. W 1932 r. przyszła na świat najmłodsza córka Stefania. Wielkim wstrząsem w życiu Arki była śmierć ojca w 1920 r. (zmarł w wieku 60 lat) oraz śmierć matki w 1937 roku.

Tymczasem tworzy się państwo polskie, co budzi wśród Polaków na Górnym Śląsku wielkie nadzieje – na ulicach śląskich miast odbywają się manifestacje i wiece ludności polskiej, domagającej się przyznania Górnego Śląska odradzającej się Polsce. Bożek był wówczas młodym człowiekiem, nie miał większego doświadczenia w pracy politycznej. Ale polityka go interesowała. W maju 1919 r. uczestniczył w zjeździe spartakusowców w Gliwicach, podczas którego ostro zareagował na wystąpienia Niemców – swoim żarliwym przemówieniem sprzeciwił się postulatuwi przyłączenia Górnego Śląska do Niemiec. Jak później powiedział: *Bóg w jednej chwili dał mi język giętki i mocarny, serce przepoiło go głębią uczucia, mózg dał mu potrzebną logikę.*

W wieku 21 lat Bożek został wybrany do rady gminy w Markowicach. Jako radny dbał o interesy miejscowej polskiej ludności, bronił ją przed niekorzystnymi dla Polaków decyzjami ze strony niemieckich urzędników. W 1919 r. rozpoczął także działalność w Powiatowym Związku Kółek Rolniczych w Raciborzu, wybrano go również na przewodniczącego rady nadzorczej spółdzielni rolniczo-handlowej „Rolnik”.

W czerwcu 1919 r. wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, walczącej o wyzwolenie spod panowania niemieckiego i połączenie Górnego Śląska z Polską. W dwóch pierwszych powstaniach śląskich 1919 i 1920 r. nie brał udziału. Agitował natomiast, by głosować za przynależnością tego obszaru do Polski w mającym się odbyć na Górnym Śląsku plebiscycie. W plebiscycie (20 marca 1921 r.) 47 proc. głosujących opowiedziało się za przynależnością

do Polski, a 53 proc. – za przyłączeniem do Niemiec. W rodzinnej wsi Bożka, Markowicach, na 1177 głosujących, 585 osób opowiedziało się za Polską, 590 za Niemcami.

W trzecim powstaniu śląskim Bożek został dowódcą 2. kompanii 4. pułku raciborskiego. Zorganizował służbę sanitarną, zdobywał broń z niemieckich transportów kolejowych, był także łącznikiem dowódcy pułku z Międzysojuszną Komisją Rządzącą i Plebiscytową. Kompania 4. pułku raciborskiego, w której służył, opanowała przejście na Odrze, odbiła Markowice, udaremniając kolejne próby przerwania frontu oddziałem Selbstschutzu. W następstwie powstań i plebiscytu, zgodnie z decyzją Ligi Narodów, latem 1922 r., na Górnym Śląsku została wytyczona granica między Niemcami a Polską. Większość (71 proc.) obszaru plebiscytowego przyznano Niemcom, a 29 proc. – Polsce.

Pięćset metrów od Polski

Po podziale Górnego Śląska Bożek wraz z rodziną pozostał w Markowicach, a więc po stronie niemieckiej, zaledwie 500 metrów od granicy. Szybko przystąpił do tworzenia oddziałów Związku Polaków w Niemczech, organizacji mającej bronić ludności polskiej. 18 lutego 1923 r., na zjeździe w Bytomiu, powołana została Dzielnicą I ZPwN, a już 21 marca tegoż roku powstało koło w Markowicach. W latach 1927–1930 Bożek był wiceprezesem Związku, a od 1930 r. sekretarzem zarządu. Bardzo często uczestniczył w wiecach, większych zebraniach i zgromadzeniach. Łatwo nawiązywał kontakty, a jego ruchliwość, popularność i autorytet, jakim się cieszył, mobilizowały miejscową ludność do działań na rzecz ruchu polskiego. Był odważny, trzeźwy w osądach, nie zrażał się trudnościami i uparcie dążył do celu.

Był członkiem rad nadzorczych spółdzielni handlowych i budowlanych (np. „Rolnik”, „Strzecha”), co było niezbędne w prowadzeniu działań inwestycyjnych ZPwN. Bronił praw ludności polskiej przed Górnos Śląską Komisją Mieszana w Katowicach, jako członek Komisji z głosem doradczym walczył o zatwierdzenie przez władze polskich sołtysów, protestował przeciwko konfiskacie śpiewników polskich przez gestapo, a w czasach dyktatury hitlerowskiej walczył o zaprzestanie niemieczenia nazw miejscowości na Śląsku Opolskim.

Bożek, tak jak inni Polacy, zabiegał o wprowadzenie Polaków do parlamentu Rzeszy i Prus oraz do władz samorządowych z ramienia Polsko-Katolickiej Partii Ludowej. Wskutek zmasowanej, wrogiej propagandy niemieckiej nie udało mu się zostać posłem Landtagu i Reichstagu, był natomiast radnym gminy w Markowicach, a także naczelnikiem gminy (wójtem). Od 1929 r. był radnym sejmiku prowincjonalnego w Raciborzu, gdzie bronił chłopów i zubożałą ludność miejską przed nadmiernymi obciążeniami podatkowymi. Stał też na straży praw zawodowych, kulturalnych i religijnych polskiej ludności.



Arka Bożek

Za działalność w obronie polskości został w styczniu 1939 r. wydalony przez władze niemieckie ze Śląska Opolskiego (rejencji opolskiej) z zakazem przebywania w rejencjach: Słubice, Piła, Koszalin, Olsztyn, Elbląg, Meklemburgia, Westfalia i Nadrenia. W Berlinie – gdzie przebywał na wygnaniu – odwiedziła go żona Jadwiga. Opowiedziała mu o szykanowaniu ich dzieci, które jako jedyne uczęszczały do polskiej szkoły, prosząc męża, by zgodził się na przeniesienie ich do niemieckiej szkoły. Prosiła o to już wcześniej w liście do ojca jego córka Stefania, ale Bożek zdecydował, że dalej mają chodzić do polskiej szkoły.

Kiedy w maju 1939 r. miał odbyć się w Niemczech spis powszechny, Arka Bożek w liście do redakcji „Nowin Codziennych” nawoływał do podawania polskiej narodowości. Przesłuchiwany przez gestapo i straszony wtrąceniem do obozu koncentracyjnego, zdecydował się na ucieczkę do Polski. Przekroczył granicę w Chojnicach, skąd udał się do Warszawy. Na krótko przed wybuchem wojny zamieszkał w Katowicach. Dzięki staraniom Jana Wyglendy – działacza POW GŚL i powstańca śląskiego – otrzymał pracę w przedsiębiorstwie księcia pszczyńskiego Hochberga. Wielokrotnie udawał się nad granicę, nieopodal Markowic. Stamtąd, stojąc na wzgórzu, wpatrywał się w swoją rodzinną wieś.

Coraz bardziej mnie bierze melancholia

Po wybuchu II wojny światowej Bożek wyjechał do Krakowa, później do Sandomierza, Przemyśla, Lwowa i do Kut, następnie przez Rumunię, Jugosławię i Grecję dotarł do Francji, a po upadku Francji, na Wyspy Brytyjskie. We Francji, gdzie najpierw rezydował polski rząd na uchodźstwie, został posłem Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej, organu doradczego prezydenta RP na uchodźstwie. Na forum Rady wiele uwagi poświęcił sprawom żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, szczególnie interesował się losem kilku-

dziesięcioletniej rzeszy żołnierzy-Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu, którzy teraz dostali się do niewoli alianckiej i przeszli do polskich formacji wojskowych walczących u boku aliantów. Zabiegał dla nich o dobre warunki bytowe, odpowiednie szkolenie, nie tylko wojskowe, o awanse. Przede wszystkim troszczył się o to, by nie traktowano ich jak piątej kolumny i nie posadzano o współpracę z Niemcami. Bronił zarówno tych, którzy, będąc obywatelami państwa niemieckiego, walczyli w armii niemieckiej, jak i obywatele państwa polskiego, którzy w czasie wojny jako *volksdeutsche* zostali wcieleni do Wehrmachtu.

Był jednym z tych członków Rady, którzy domagali się włączenia Śląska Opolskiego do Polski. Wskazywał na znaczenie gospodarcze Śląska dla przyszłej przebudowy gospodarczej i politycznej państwa polskiego. W Radzie Narodowej RP wystąpił z rezolucją wzywającą rząd do zajęcia się sprawą Śląska, co spowodowało, że już w listopadzie 1942 r. rząd polski na uchodźstwie włączył do swej polityki, obok żądań przyłączenia do Polski Prus Wschodnich i Gdańska, postulat rewindykacji Śląska Opolskiego. W 1942 r. doprowadził do utworzenia w Londynie Koła Ślązaków w Wielkiej Brytanii, wspierającego wysiłki zmierzające do przyłączenia Śląska do Polski. W rocznicę plebiscytu na Górnym Śląsku, członkowie Koła przeprowadzili za pomocą radia, prasy polskiej i brytyjskiej akcję propagandową na rzecz Śląska. W 1941 r., wraz z innymi Polakami ze Śląska, Arka Bożek zorganizował w miejscowości Dundee w Szkocji, uroczyste obchody 20. rocznicy III powstania śląskiego.

Bożek widział potrzebę zmiany przyszłego ustroju Polski: nowa Polska powinna być państwem demokratycznym, tolerancyjnym, szanującym zasady etyki chrześcijańskiej, uznającym równość wszystkich obywateli bez względu na narodowość. Głosił idee Polski ludowej, w której szczególną rolę wyznaczał chłopom, robotnikom i inteligencji pracującej. Uważał, że Ślązakom należy się w przyszłej Polsce ranga równa innym obywatelom państwa.

W dramatycznym czasie wojny lękał się o bezpieczeństwo żony i dzieci, o ich byt materialny. W pamiętniku, który pisał w Londynie, czytamy: *Gdy myślę o rodzinie, to coraz bardziej mnie bierze melancholia i żal okropny tych biedaków cierpiących z mojej winy. Lęk mnie bierze, gdy myślę o tej chwili, kiedy zastanę rodzinę zniszczoną fizycznie i moralnie. Nie daj Panie Boże, żeby moje obawy miały się spełnić. Z każdym dniem coraz bardziej tęsknił za domem i rodziną, a z biegiem lat stawał się apatyczny i zgorzkniały, nieskory do kontaktów towarzyskich i rozrywek. Nie*

interesowały go spotkania i imprezy, niechętny był do odbywania podróży i wycieczek, nawet tych urządzanych przez Radę Narodową.

Były wicewojewoda bez emerytury

Po zakończeniu wojny Bożek wrócił na Śląsk Opolski, do rodzinnej wsi. Miał zostać wójtem gminy, chcieli tego mieszkańcy wsi i rodzina. Ale stało się inaczej. Został wysokiej rangi urzędnikiem wojewódzkim. Z racji pełnionych obowiązków zamieszkał w Katowicach, w miarę możliwości przyjeżdżał do rodzinnego domu. Żona Jadwiga dalej pracowała w zrujnowanym przez wojnę gospodarstwie.

W styczniu 1946 r. Arka został wicewojewodą śląskim (śląsko-dąbrowskim). Sprawował nadzór nad wydziałami: zdrowia, aprowizacji i handlu, komunikacji, kultury i sztuki, weterynaryjnym oraz likwidacji szkód wojennych. Zabiegał m.in. o sprawiedliwe przeprowadzenie akcji weryfikacyjnej, rozmieszczenie repatriantów ze wschodu na Śląsku Opolskim bez krzywdy dla miejscowej ludności, której bronił, zabiegając o naprawienie wyrządzonych jej nieświadomie krzywd przez administrację państwową lub ludność napływową. Tłumaczył różnice wynikające z odmiennych tradycji, kultury i obyczajów tych społeczności. Poświadczał Ślązakom polskie pochodzenie, starał się o uwolnienie ich z więzień i obozów, pomagał wdowom i sierotom po powstańcach.

Dla Bożka przyłączenie Śląska do Polski było spełnieniem jego dążeń. Fakt, że warunki polityczne dla włączonych do Polski Ziemi Zachodnich stworzyła polska lewica, utwierdziły go w słuszności tego kierunku politycznego. Jako wicewojewoda nie zapominał jednak o swoim chłopskim pochodzeniu i swoich śląskich przodkach: sprawy wsi i rolnictwa były mu zawsze bardzo bliskie. Będąc wicewojewodą, pełnił także wiele ważnych funkcji społecznych – był m.in. wiceprezesem



Obchody 20. rocznicy III powstania śląskiego w Dundee. Arka Bożek stoi pierwszy od lewej. Dalej: Elżbieta Korfantowa i gen. Marian Kukiel

Polskiego Związku Zachodniego, członkiem Rady Nacionalnej Związku Weteranów Powstań Śląskich.

W powojennej Polsce prowadził działalność polityczną, najpierw w szeregach Polskiego Stronnictwa Ludowego, partii opozycyjnej związanej ze Stanisławem Mikołajczykiem, z którym współpracował w Radzie Narodowej RP na emigracji, a z końcem 1946 r. – w szeregach Stronnictwa Ludowego. Wcześniej jednak, w lutym 1946 r., opowiedział się za przyłączeniem PSL do wspólnego bloku wyborczego (PPR, PPS, SD, SL, SP) i udzieleniem odpowiedzi *tak* na wszystkie trzy pytania w zbliżającym się referendum ludowym.

W styczniu 1947 r. został wybrany posłem do Sejmu Ustawodawczego z ramienia SL, a po kongresie zjednoczeniowym partii chłopskich w Warszawie (29 listopada 1949 r.) – przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Katowicach (pełnił tę funkcję do kwietnia 1950 r.). Był jednak stale inwigilowany przez Urząd Bezpieczeństwa i obserwowany przez swoich partyjnych kolegów. Zarzucano mu kontakty z Mikołajczykiem, brak wyraźnego stanowiska w sprawie uspołdzielczania wsi (rzeczywiście, nigdy nie był jej zdecydowanym zwolennikiem), obronę chłopów autochtonów przed nadmiernymi obciążeniami podatkowymi. Zarzucano mu także, że nie rozumie potrzeby płacenia podatków z *punktu widzenia walki klasowej*. Urząd Bezpieczeństwa w Katowicach inwigilował Bożka, przypisując mu działania zmierzające do obsadzania stanowisk w województwie Ślązakami i utworzenie tzw. grupy ślązakowców, powiązanych ze sprawą publicysty śląskiego Eryka Skowrona.

Mimo olbrzymiego zaangażowania w budowę nowego ustroju, Bożek był w czasach stalinowskich inwigilowany i stopniowo odsuwany od spraw publicznych. Ostatni raz wystąpił publicznie na forum Sejmu w lipcu 1950 r., kiedy opowiedział się za projektem ustawy o zniesieniu sankcji oraz ograniczeń w stosunku do osób, które w czasie II wojny światowej podpisały niemiecką listę narodowościową (*volkslistę*). Inwigilowano także jego rodzinę i prowadzono dochodzenie przeciwko jego zięciom: Franciszkowi Kustosiowi, którego podejrzewano o powiązania z postawionymi w stan oskarżenia księżmi kurii krakowskiej, a także Franciszkowi Klimie – synowi powstańca śląskiego, żołnierza PSZ na Zachodzie.

31 sierpnia 1950 r. dopada go bolesny cios: zostaje odwołany ze stanowiska wicewojewody śląskiego. Po podziale województwa śląsko-dąbrowskiego w 1950 r. nie znalazło się dla niego żadne stanowisko w nowo utworzonym województwie opolskim. Zaczął podupadać na zdrowiu. W atmosferze izolacji i zapomnienia popadł w depresję, kilkakrotnie przebywał w szpitalu. Cały czas pozostawał na utrzymaniu córki Anny i jej męża Franciszka – dopiero w listopadzie 1953 r. otrzymał przyznaną mu skromną emeryturę.

Zmarł 28 listopada 1954 roku. Po pogrzebie w miejscowej prasie ukazały się tylko krótkie informacje. Jedynie jego przyjaciel i powiernik Edmund Jan Osmań-

czyk napisał na łamach „Głosów znad Odry” obszerny artykuł, który zakończył stwierdzeniem: *Miał za sobą Arka życie burzliwe, ale piękne, życie prawdziwego ludowego bojownika.*

Ulica Drobiarska zamiast Arki Bożka

W świadomości społecznej mieszkańców Śląska Opolskiego Arka Bożek zajmuje poczesne miejsce. W plebiscycie zorganizowanym na koniec 2000 r. został przez czytelników „Gazety Wyborczej” wybrany – obok biskupa Alfonsa Nossola, Jana Edmunda Osmańczyka i Karola Musioła – wybitnym Ślązakiem XX wieku, żyjącym i działającym w części Górnego Śląska, na Śląsku Opolskim.

Znaleźli się jednak tacy działacze społeczni i publicyści, a nawet, niestety, historycy, którzy przedstawiali go jako osobę kontrowersyjną, zastanawiali się, czy powinien *stać na piedestale, pośród panteonu godnych do naśladowania synów tej ziemi?* Na konferencji w Raciborzu w 2003 r. pytali, czy pomnik w Raciborzu postawiono mu za to, że dzięki jego interwencji część Niemców po zakończeniu II wojny światowej uniknęła wysiedlenia? I czy ten fakt jest w stanie rozgrzeszyć go *za prostałinowską działalność?* Przedstawiano nieznanne rzekomo karty z życia *tego komunisty*, pokazywano jego fotografie w pruskim mundurze, cytowano wypowiedzi, w których krytykował zarówno władze w Berlinie, jak i w Warszawie, co miało obalać mit o jego niezachwianej propolskiej postawie.

Dziś Arka Bożek jest postacią nieco zapomnianą. Kto dziś pamięta, że rozgłośnia Polskiego Radia w Opolu nosi imię Arki Bożka?

Arka Bożek nie jest już patronem jednej z opolskich ulic, przy której znajduje się szkoła i wiele innych instytucji – nazwę zmieniono na... Drobiarską. W zamian patronuje uliczce na obrzeżach Opola, gdzie prawie nikt nie mieszka. A przecież jego imieniem nazwano ulice wielu polskich miast, nawet w Warszawie i Szczecinie.

Pamięć o Bożku próbuje wskrzesić grupa działaczy społecznych z Raciborza, której przewodzi emerytowany nauczyciel Alfred Nowak, autor wielu publikacji poświęconych Bożkowi. Dzięki ich zaangażowaniu powstał Społeczny Komitet 115. Rocznicy Urodzin i 60. Rocznicy Śmierci Arki Bożka, przypadającej w 2014 r. Tę grupę tworzą nauczyciele, naukowcy, pracownicy samorządowi i przedsiębiorcy, a patronat nad uroczystościami objął Henryk Siedlaczek – poseł ziemi raciborskiej na Sejm RP. Uroczystym obchodom towarzyszyć będą imprezy kulturalne, wykłady i spotkania oraz reedycja *Pamiętników* Arki Bożka wydanych przez Wydawnictwo „Śląsk” w 1957 r.

Danuta Kisielewicz

Danuta Kisielewicz jest autorką biografii pt. *Arka Bożek (1899–1954). Działacz społeczno-polityczny Śląska Opolskiego*, Opole 2006.

Mariusz Patelski

Śląsk potrzebował studentów

Koło Akademików Opolan w Poznaniu (cz. I)

Po zakończeniu II wojny światowej lokalne elity śląskie uznały za jedno ze swych najpilniejszych zadań powiększenie szeregów inteligencji, która, podobnie jak w innych częściach Polski, była w sposób szczególny tępiona przez niemieckich nazistów. Objęcie przedstawicieli ludności rodzimej nauką na poziomie wyższym wiązało się jednak z pokonaniem wielu trudności. Kazimierz Gołba, autor *Wieży spadochronowej*, pisał w obszernym tekście na łamach „Gościa Niedzielnego” (*Do wpisów!*, „Gość Niedzielny”, 31 sierpnia 1947, nr 35) o dramatycznej sytuacji młodych Ślązaków pochodzących zwłaszcza z opolskiej części województwa śląskiego: „Śląsk potrzebuje własnych nauczycieli, dyrektorów szkół, wizytatorów, którzy by rozumieli jego ducha. Potrzebuje dziennikarzy i literatów, którzy by dawali wyraz jego dążeniom przed światem. Ale skąd ich wziąć, kiedy np. na śląskim uniwersytecie we Wrocławiu wśród studentów polonistyki jest Ślązaków 1,2 proc.? Śląsk potrzebuje własnej administracji politycznej: burmistrzów, starostów, naczelników wydziałów, potrzebuje sędziów, prokuratorów, adwokatów. Cóż, kiedy ilość Ślązaków studiujących prawo jest również znikoma. Śląsk potrzebuje inżynierów do ciężkiego przemysłu, wyrosłych z tego samego środowiska, co ich robotnicy. Ale zarówno na Politechnice Gliwickiej, jak i Akademii Górniczej w Krakowie studenci śląscy są daleko w tyle poza swymi kolegami z Zagłębia”.

Przyczyn tego stanu rzeczy upatrywał częściowo w „starych volkslistowych uprzedzeniach” części profesury, a przede wszystkim w bierności śląskiego społeczeństwa. Wprawdzie, jak zaznaczał, ciężkie warunki materialne rodziców w istotnym stopniu utrudniały wielu młodym podjęcie wyższych studiów, ale jednocześnie zaznaczał, że gdy w Katowicach „Wojewódzka Rada Kultury ogłosiła konkurs na stypendia dla akademików najmniej podać wpłynęło od rdzennych Ślązaków”. Tekst zakończył wezwaniem do przedstawicieli śląskiego przemysłu o większą ofiarność – zasilenie funduszy stypendialnych wspierających młodzież akademicką.

Uwagi autora w dużej mierze uzasadnione były niską liczebnością studiujących Ślązaków. Jak wyliczył w kolejnym artykule redaktor Gołba, ludność Śląska zamieszkała w Polsce stanowiła trzymilionową społeczność, jednak studiujących Ślązaków było zaledwie 1 tysiąc – na 70 tys. wszystkich studentów. Największe skupisko młodzieży śląskiej znajdowało się

w Krakowie – tam łącznie pobierało nauki około 250 Ślązaków (w tej liczbie także śląscy klerycy) na 17 tysięcy wszystkich studiujących. Na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, na 2 tys. 560 studentów przypadło zaledwie 215 Ślązaków, a we Wrocławiu spośród 10 tys. studentów (na czterech uczelniach) było ich jedynie 170. Ostatnim dużym ośrodkiem, w którym tradycyjnie studiowali Ślązacy był Poznań, tam społeczność śląskich studentów liczyła 76 osób.

Niski procent Ślązaków podejmujących studia budził też zaniepokojenie władz kościelnych, na czele z administratorem apostolskim Śląska Opolskiego ks. infułatem Bolesławem Kominkiem. Wezwania do podejmowania nauki w szkołach średnich i na wyższych uczelniach opublikowano również na łamach „Wiadomości Urzędowych Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego” redagowanych przez ks. Pawła Latuska. Przedstawiciel miejscowej hierarchii napisał: „Nie wolno stać dłużej w bierności, zastarzałych pojęciach, na zepchniętych pozycjach. Szerokie warstwy ludowe i robotnicze biorą obecnie odpowiedzialny udział w budowie nowej przyszłości narodu. Ważną jest obecnie rola Duchowieństwa. (...) Uświadamiać, radzić, zachęcać, pomagać należy rodzicom, aby zrozumieli nową rzeczywistość i wskazywać im drogę do szkoły średniej i wyższej”.

Od liceum repolonizacyjnego do Koła Akademików Opolan

Otwarcie drzwi wyższych uczelni dla młodzieży śląskiej wymagało jednak pokonania wielu specyficznych dla tego czasu i miejsca barier. Przede wszystkim pojawiła się konieczność dokończenia przerwanej w czasie wojny edukacji na poziomie średnim przez dorosłą już młodzież. Kandydaci na studia, pochodzący ze Śląska Opolskiego, odrzucani byli na egzaminach wstępnych także z powodu przedstawionych niemieckich dokumentów szkolnych oraz słabej znajomości literackiej polszczyzny. Wkrótce pojawiły się projekty organizacji specjalnych gimnazjów i liceów dla dorosłych, w których miejscowa oraz przyjezdna ludność mogła uzupełnić swe wykształcenie. Szkoła taka – Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych, powstała w Opolu już we wrześniu 1945 r. Dwa lata później, po upaństwowieniu, szkoła zmieniła nazwę na Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące dla Dorosłych, popularnie zwane liceum repolonizacyjnym.

Na czele tej instytucji stała dobrze znająca miejscowe warunki, bardzo energiczna dyrektorka – Stefania Mazurek. Do szkoły trafiała głównie młodzież rodzima, mniej licznie – napływowa. Nieznaczny odsetek stanowili tzw. bytomiaci – bardzo aktywni i ideowi uczniowie zamkniętego w 1939 r. Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. W opolskim liceum poznali się lub odnowili kontakty m.in.: Kazimierz Malczewski jr., Zdzisław Malczewski, Konrad Poloczek, Alojzy Toma, a do grona tego dołączyli niebawem Józef Baron

– uczeń Korpusu Kadetów w Rawiczu oraz Franciszek Hadasik, Franciszek Krawczyk i Jan Nowak.

W tym środowisku najprawdopodobniej zrodził się pomysł utworzenia specjalnego akademickiego stowarzyszenia, które miało jednoczyć mieszkańców Śląska Opolskiego studiujących w wyższych uczelniach kraju – Koła Akademików Opolan. Pomysł ten, należy dodać, nie był czymś wyjątkowym. W powojennych warunkach przynależność do regionalnych związków akademickich pomagała bowiem w utrzymaniu się na studiach oraz dawała istotne wsparcie moralne i materialne. Przebywanie w gronie młodzieży z tego samego miasta czy regionu na pewno ułatwiało też proces adaptacji i integracji w nowym środowisku. Twórcy opolskiego koła brali jednakże pod uwagę lokalne tradycje i przykłady. Wzorem dla młodych Opolan były, istniejące przed 1939 r., stowarzyszenia studentów polskich w Niemczech m.in.: Związek Akademików Górnoślązaków „Silesia Superior” oraz Związek Polskich Akademików w Niemczech. Koło zostało ostatecznie utworzone na gruncie poznańskim, stąd jego pełna nazwa brzmiała Koło Akademików Opolan w Poznaniu (KAOwP).

Dokładna data powołania studenckiego stowarzyszenia nie jest znana. W notatce zamieszczonej na łamach „Gościa Niedzielnego” poinformowano jedynie, że z końcem 1946 r. „powstało przy wyższych uczelniach poznańskich osobne koło akademików, pochodzących ze Śląska Opolskiego. Koło liczyło 18 członków i udzielało porad dotyczących studiów na wyższych uczelniach polskich wszystkim, którzy ukończyli studia średnie wzgl. pragną je ukończyć. Kuratorem Koła został p. prof. dr [Zdzisław] Kaczmarczyk”. Podobna informacja ukazała się równocześnie na łamach wydawanych w Opolu „Wiadomości Urzędowych Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego” (styczeń–luty 1947, nr 11). Oficjalna działalność Koła rozpoczęła się w lutym 1947 r., opolskie stowarzyszenie zostało wówczas oficjalnie zalegalizowane



Uczestnicy opolskiego liceum repolonizacyjnego na wycieczce w Wieliczce (1948 r.)

przez Senat Uniwersytetu Poznańskiego. Pierwotna siedziba Koła znajdowała się początkowo w Poznaniu przy ul. Winklera 12, później została przeniesiona do Poznania-Jeżyc przy ul. Nad Saganką 2.

Miejsce powstania Koła nie było przypadkowe, Poznań okazał się bowiem po wojnie miejscem najbardziej otwartym dla przybyszów ze Śląska, którzy studiowali tutaj także przed rokiem 1939. Stefania Mazurek, w 1949 r., tak pisała o absolwentach swej szkoły: „Opolanie skupiali się najliczniej na studium medycyny i prawa. Uniwersytet Poznański przyjmował młode kadry Polaków pochodzących z Ziemi Odzyskanych ze szczególną serdecznością i okazał im dużo zrozumienia i życzliwości. Skutkiem tego powstało Koło Akademików Opolan, które przygarniało nowe zastępy młodych Opolan, wprowadzając ich w życie uniwersyteckie, ułatwiając im organizowanie egzystencji w nowym środowisku” („Nowiny Opolskie” 27 II – 5 III 1949, nr 9). O tym, że Uniwersytet Poznański rzeczywiście był otwarty na Polaków – byłych obywateli niemieckich, może świadczyć fakt, że zaraz po zakończeniu wojny w poczet studentów został przyjęty Bronisław Tomas (Thomas) z ziemi złotowskiej, absolwent Polskiej Szkoły w Bytomiu oraz były student Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Wrocławskiego usunięty przez Niemców z uczelni w czerwcu 1939 r., jak również pochodzący z powiatu złotowskiego bytomiaci: Jan Chodera – później profesor, historyk literatury niemieckiej, Leon Chodera – później doc. nauk medycznych Akademii Medycznej w Poznaniu oraz Marian Horst – lekarz i mikrobiolog związany później z Piłą.

Symbol akademików: herb Opola i rodło

Cele i strukturę stowarzyszenia szczegółowo regulowały przepisy zawarte w statucie KAOwP. Koło miało być organizacją, której zadanie polegało na „reprezentowaniu i obronie młodzieży opolskiej na terenie

Poznania”, „pomocy materialnej dla niezamożnych członków Koła”, „utrzymaniu ścisłej łączności z Ziemią Opolską” oraz „pielęgnowaniu chlubnych tradycji Polactwa opolskiego doby niewoli”. Na siedzibę Koła obrano Poznań, zaś obszarem jego działalności miał być teren Poznania i ziemi opolskiej. Akademiicy nieprzypadkowo też wybrali godło swego stowarzyszenia, w którym umieszczono elementy herbu Opola z Rodłem – znakiem Związku Polaków w Niemczech (ZPwN).

Wedle statutu do władz Koła należało: Walne Zebranie, Zarząd Koła (prezes, wiceprezes, sekretarz, skarbnik oraz dwóch ławników), Sąd Koleżeński oraz Komisja Rewizyjna. Zarząd wybierano na Walnym Zebraniu członków stowarzyszenia, które zwoływano co roku na początku pierwszego trymestru. W skład pierwszego Zarządu KAOWP, działającego w roku akademickim 1946/1947, weszli: Edmund Nawrocki (student medycyny) – prezes, Jan Bełka (student prawa) – sekretarz oraz Andrzej Rożanowicz (student prawa) – zastępca prezesa.

Statut Koła przewidywał dwa rodzaje członkostwa w stowarzyszeniu: zwyczajne i nadzwyczajne. Członkiem zwyczajnym mogła zostać osoba studiująca, jeśli spełniała jeden z zawartych w dokumencie wymogów: pochodziła z Opolszczyzny, była uczniem polskiego gimnazjum mniejszościowego w Bytomiu, należała do byłego Związku Polaków w Niemczech lub do byłego Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Kandydat na członka zwyczajnego musiał być ponadto wprowadzony przez dwóch innych członków zwyczajnych.

Do grona członków nadzwyczajnych mogły należeć osoby, które wykazały się przynależnością do wcześniej istniejących związków akademickich w Niemczech: „Silesia Superior” – Wrocław; „Polonia” – Berlin; „Związek Akademików Polaków” – Królewiec; „Koło Polaków Akademików” – Akwizgran lub innych stowarzyszeń akademickich w kraju i za granicą. Członkowie nadzwyczajni mieli prawo do wyboru jednego delegata na Walne Zebranie Koła z głosem doradczym.

Stowarzyszenie liczyło 16 członków nadzwyczajnych, których określano także mianem Koła Starszych Panów. Wśród nich byli przedstawiciele opolskiej inteligencji, m.in.: księża, lekarze, adwokaci oraz bankowcy. Jednym z pierwszych członków tej kategorii został Ernest Zmarzły – lider opolskich struktur PSL i jednocześnie prezes Polskiego Związku Zachodniego. Do seniorów Koła należał także, od maja 1947 r., administrator apostolski Śląska Opolskiego ks. infułat Bolesław Kominek, który zgodził się równocześnie zostać oficjalnym patronem Koła. Do grona członków nadzwyczajnych należał także dr Maksymilian Tkocz – pierwszy powojenny prezydent Opola i działacz Stronnictwa Demokratycznego. W jednym z pism zarządu KAOWP charakteryzowano członków stowarzyszenia w następujący sposób: „Wszyscy członkowie Koła Opolan to bojownicy sprawy polskiej w Niemczech, większość

z nich to więźniowie polityczni Buchenwald, Dachau oraz Moabit i Brandenburg, skazani głośnymi procesami przez Volksgerichtshof w Berlinie. Wielu z nich to czołowi działacze Związku Polaków w N. i przywódcy ludu opolskiego z doby niewoli. Ich trudowi i bohaterstwu zawdzięcza Polska powrót Ziem Odzyskanych na łono Macierzy”.

Niewątpliwie na kształt ideowy stowarzyszenia mieli wpływ byli uczniowie Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Na odtworzonej liście członków Koła (zapewne niepełnej), na 34 członków KAOWP aż dziewięciu to bytomiaci: Jan (Belka) Bełka, Władysław Brzeziński, Michał (Ciepluch) Ciepluch – mieszkańcy ziemi złotowskiej oraz Zdzisław Malczewski, Feliks Marciniak, Edmund Nawrocki, Gerard Pudełko, Konrad Poloczek i Alojzy Toma, którzy pochodzili z Górnego Śląska. Niektórzy z członków KAOWP, m.in. Józef Baron, Konrad Poloczek, Edmund Nawrocki, Zdzisław Malczewski oraz Andrzej Rożanowicz (jedyny w tym gronie katowiczanie), mieli za sobą także doświadczenia związane z działalnością w ruchu oporu, głównie w oddziałach szarych szeregow. Bytomiaci mieli też istotny wpływ na kierunki działalności Koła, wchodząc w skład kolejno wybieranych zarządów KAOWP.

Wsparcie dla studentów

Studiująca w Poznaniu młodzież znajdowała się w bardzo trudnym położeniu ekonomicznym, stąd jednym z ważniejszych zadań Koła Opolan było organizowanie pomocy materialnej dla uboższych członków stowarzyszenia. Temu celowi służyła, zorganizowana przez aktywistów Koła, Kasa Pożyczkowa, która udzielała zapomóg i pożyczek.

Wsparcie dla studiującej młodzieży starano się także organizować na Śląsku Opolskim. W tym celu powołano, 3 grudnia 1947 r., specjalny „Komitet Opieki nad Akademikami należącymi do Koła Akademików Opolan w Poznaniu”. Do kierownictwa komitetu weszli: Jan Wawrzynek – przewodniczący, Józef Piechotta – skarbnik oraz Maria Reszkówna – sekretarka i najprawdopodobniej Kazimierz Malczewski (senior) oraz Teodor Gadziński. Inicjatorzy tego przedsięwzięcia uzasadniali swą akcję tradycją wcześniej istniejących instytucji oraz wskazywali na konieczność odbudowy, wyniszczonej w latach wojny, polskiej inteligencji. W piśmie zawiadamiającym o powołaniu Komitetu zaznaczali też: „Społecznym obowiązkiem pozostałych członków b. Związku Polaków w Niemczech, Związku Weteranów Powstań Śląskich, a przede wszystkim inteligencji rodzimej jest nawiązanie do chlubnej tradycji Towarzystwa Pomocy Naukowej w Bytomiu, do którego należeli: śp. ks. Proboszcz Koziółek Karol, pierwszy prezes Związku Polaków w Niemczech (Dzielnicy I Śl. Opolskiego), śp. ks. Nawrot profesor I Polskiego Gimnazjum w Bytomiu (zginął śmiercią męczeńską w obozie konc.[entracyjnym] w Dachau), śp. ks. Klimas Czesław z Tarnowa, śp. Weber Stanisław z Bytomia i wielu

innych żyjących w wolnej Polsce. Stwierdzić musimy tragiczny fakt, że Niemcy przede wszystkim mordowali inteligencję polską. Nakazem chwili i nakazem państwowym jest stworzenie tej brakującej inteligencji”. Szczegóły dotyczące funkcjonowania Komitetu oraz organizowania przez jego członków pomocy dla opolskich studentów nie są jednak znane. Organizacja ta przetrwała niewiele ponad rok i na przełomie 1948 i 1949 r. musiała zawiesić działalność „z przyczyn od jej członków niezależnych”.

Skala pomocy, jaką uzyskali członkowie Koła, nie jest znana; z zachowanych opracowań wynika, że stowarzyszenie pozyskiwało subwencje m.in. od władz Opola i Poznania. W 1948 r. dzięki zabiegom Zarządu, pod przewodnictwem Konrada Poloczka, Feliksa Marciniaka i Gerarda Solisza, udało się nawiązać bliższą współpracę z sekretarzem generalnym Polskiego Związku Zachodniego (PZZ) – Czesławem Pilichowskim. Dzięki tym kontaktom udało się wyjednać z Funduszu Stypendialnego PZZ roczne stypendia wysokości 3 tys. złotych dla ośmiu członków studenckiego stowarzyszenia. Wsparcie uzyskano także od innych instytucji. Towarzystwo Przyjaciół Szkół Wyższych w Katowicach przyznało Kołu jednorazową dotację wysokości 20 tys. zł., natomiast Wydział Starostwa Powiatowego w Opolu – dotację w wysokości 30 tys. złotych. Wizyty oraz podania o pomoc, kierowane do innych instytucji państwowych i stowarzyszeń, nie przyniosły natomiast oczekiwanych rezultatów.

Największego wsparcia studiującym Opolanom udzielał oficjalny patron KAOwP – administrator apostołski ks. Bolesław Kominek. W początkach 1948 r.

przyznał Kołu dotację wysokości 10 tys. złotych z przeznaczeniem na cele administracyjne, z sumy tej jednak 8 tys. złotych od razu rozdzielono wśród najuboższych studentów. W marcu 1948 r. ks. dr Kominek powołał specjalny „Fundusz Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego – Caritas” dysponujący kwotą 100 tys. złotych, z której miano wypłacać dwudziestu studentom miesięczne stypendia wysokości 1000 złotych, w okresie od marca do czerwca 1948 roku. Po wyczerpaniu tej sumy Zarząd Koła zobowiązany był do rozliczenia funduszu ze Związkiem „Caritas” Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego. Opolscy studenci wspierani byli także przez „Caritas Academica” w Poznaniu.

W kolejnych latach ta pomoc była kontynuowana. Z zachowanych dokumentów wynika, że w styczniu 1950 r. akademicy uzyskali za pośrednictwem opolskiego Caritasu pomoc rzeczową w postaci: butów, mydła i prześcieradeł, a następnie, w tymże miesiącu, na konto nowego prezesa Koła wpłynęła pierwsza rata pomocy doraźnej wysokości 60 tysięcy złotych. Dalszą pomoc dla akademików uniemożliwiło najprawdopodobniej rozwiązanie Koła, które nastąpiło kilka miesięcy później. Należy wspomnieć, że KAOwP wspomagało także Opolan studiujących w innych ośrodkach kraju, m.in. pomocą doraźną objęty był studiujący na Politechnice Wrocławskiej Kazimierz Malczewski jr.

Mariusz Patelski

(Ciąg dalszy – w następnym numerze „Indeksu”)



Koło Akademików Opolan w Poznaniu (udało się ustalić tylko niektóre nazwiska). 1.NN, 2. Jan Nowak, 3. NN, 4. NN, 5. Józef Baron, 6. Alojzy Toma, 7. Urszula Dąbek, 12. Franciszek Hadasik

Włodzimierz Kaczorowski

Na elekcję – bez poręczy

Pierwszy warszawski most

Zanim zbudowano pierwszy stały most na Wiśle w Warszawie, przeprawa przez Wisłę odbywała się promami oraz łodziami. Budowa stałego drewnianego mostu w XVI w. była ogromnym przedsięwzięciem inżynierskim. Wisła rozlewała się szeroko (zwłaszcza w czasie wiosennego i letniego wzrostu jej poziomu wody), a budowniczowie musieli realizować projekt najdłuższej drewnianej przeprawy rzecznej w ówczesnej Europie.

Inicjatorem budowy stałego mostu w Warszawie był król Zygmunt August, który najpierw w 1549 r. wykupił od Stanisława Jeżowskiego, pisarza ziemi warszawskiej, prawo wyłączności przewozu przez Wisłę, dając mu w zamian wsie Przekory i Dobra Wola, 40 włók lasu ze wsią Cisse, młyn Rajek, pół młyna Czaczka oraz 200 florenów rocznie. Do właściwej budowy mostu przystąpiono 19 lat później, kiedy 25 czerwca 1567 r. wbito pierwszy pał w dno Wisły. Budową mostu kierował mistrz Erazm z Zakrocymia, podpisujący się Erasmus Cziotko, *fabrikator pontis Warszoviensis*. Niektóre źródła podają, że był on z pochodzenia Włochem ze słynnego rodu florenckich mistrzów – Giotto, gdyż często podpisywał się jako Ciotto, a nazwisko w polskiej pisowni uległo zniekształceniu. Z urzędu nad całością spraw związanych z budową mostu, a zwłaszcza nad jej stroną finansową, czuwali Zygmunt Wolski, kasztelan czerski piastujący również urząd starosty warszawskiego oraz Kasper Sadłocha, sekretarz królewski, prepozyt kolegiaty warszawskiej. Talenty gospodarcze i organizacyjne Kaspra Sadłochy zostały spożytkowane przy podjętej w Warszawie przez Zygmunta Augusta budowie stałego mostu przez Wisłę, a od 1568 r. również i rozbudowie zamku. W połowie 1569 r. został Sadłocha mianowany zarządcą obu przedsięwzięć królewskich i pełnił tę funkcję do lipca 1572 r. Dysponował dostarczonymi mu sukcesywnie funduszami, prowadził rejestry wydatków, których podsumowaniem były: *Szafunek pieniędzy na budowanie dworu warszawskiego tak drzewem jako murem* oraz *Rejestr mostowy* (niezachowany). Po śmierci Zygmunta Augusta, na polecenie Anny Jagiellonki, siostry króla, kontynuował nadzór nad pracami przy budowie mostu, aż do jego otwarcia 5 kwietnia 1573 r. Prawdopodobnie wyłożył własne pieniądze na ukończenie mostu, ponieważ w 1576 r. otrzymał ze skarbu królewskiego 1 556 złp. jako należność za tę budowę.

Zygmunt August nie doczekał ukończenia mostu, zmarł 7 lipca 1572 r. W związku ze zbliżającą się elekcją *viritem* nowego króla, prowizorycznie wykończono pomost i most otwarto 5 kwietnia 1573 r. W dniu otwarcia most miał jeszcze pewne braki od strony Pragi, nie miał poręczy i był niebezpieczny dla przepływającej się szlachty uczestniczącej w elekcji pod wsią Kamion.

Most oparto na palach dębowych o średnicy ponad 60 cm, miał on 850 m długości, stał na 15 filarach, a rozpiętość przęsła wynosiła po 48 m. Całkowity koszt jego budowy wyniósł 100 tys. zł czerwonych, czyli 180 tys. złp. Zastosowane rozwiązania techniczne mostu były imponujące i wzbudzały podziw zarówno u miejscowej ludności, jak i u przybyszów. Georg Braun, geograf niemiecki, skonstatował: „Most ten miał przeszło 1150 kroków długości, a jeżeli zważyśmy na jego szerokość, jak i koszta na niego wyłożone, zaiste trudno coś podobnego znaleźć w Europie i nie można go było [nie] podziwiać”. Okazałość mostu wychwalali również polscy historycy Jan Andrzej Krasieński (1550–1612), Stanisław Sarnicki (1532–1597), Marcin Kromer (1512–1589). O moście i Wiśle Jan Kochanowski (1530–1584) napisał kilka fraszek:

Na most warszawski

*Nieubłagana Wisło! Próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i tamujesz drogi,
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć,
Bo krom wiosel, krom promów, już dzisiaj suchą nogą,
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.*

*Bógżeć zapłać, o królu, żeś ten most zbudował!
Pierwejem zawsze szeląg nad potrzebę chował,
A dziś i tenem przepił, bo, idąc do domu
Najpóźniej, od przewozu nie płacę nikomu.*

Na tenże

*To jest on brzeg szczęśliwy, gdzie na czasy wieczne
Litwa i Polska mają sejmy mieć społeczne.
A ten, który to unję wielkiem swem staraniem sprawił,
Aby już więc żadnego wstrętu nie zostawił
Wisłę, która nie zawždy przewoźnika słucha,
Mostem spętał: bród wielki, ale droga sucha...*

W trzy lata po oddaniu mostu do eksploatacji król Stefan Batory, mąż Anny Jagiellonki, zaczął go naprawiać. W 1587 r. most zniszczyła wiosenna powódź. Król jednak go odbudował przy znacznym wsparciu finansowym Anny Jagiellonki. W 1582 r. królowa „ozdobiła most po stronie Warszawy wieżą warowną czworograniastą, z cegły z łukiem sklepionym, a na tej wieży umieszczono ku rzeczy wiecznej pamiętce spiżową tablicę...”. W wieży tej, istniejącej do dziś, w XVII i XVIII w. mieścił się skład prochu, stąd jej obecna nazwa – Stara Prochownia.

W 1911 r. Tadeusz Sylwester Korzon (1839-1918), historyk, opublikował artykuł zatytułowany: *Most przy ul. Mostowej w Warszawie*, w którym m.in. stwierdził: „Do najciekawszych okazów Starej Warszawy, znajdujących się na Wystawie obecnej, w czerwcu 1911 r., należy niewątpliwie duża tablica brązowa (długości 174 szerokości 110 cm) z napisem łacińskim, wydobyta ze składów magistratu i umieszczona na wschodach, wiodących do głównej Sali Ratusza. Rdza wyżarła liter kilka, uszkodzone wyrazy dają się jednak odgadnąć, uzupełnić, a więc i przetłumaczyć na język polski:

„Aby mostu stałego zaczętego wspaniałym nakładem i cudną sztuką przez Zygmunta Augusta Króla Brata

a po jego śmierci przez Nią podobną robotą dokończonego nie ogarnął kiedyś nagły pożar od źle strzeżonych w sąsiedztwie domostw przedmieszczańskich i ogarnionego nie obrócił niespodziewanie w perzynę Anna Jagiellonka, Królowa Polska, Wielkich Królów małżonka, siostra, córka, kazała obwarować to podmurze najbezpieczniejszym ogrodzeniem ceglany wprowadzonym od fundamentów. Roku Chrystusa Boga naszego 1582”.

Pomimo dobrej jakości wykonania i funkcjonalności, most ten ulegał częstym uszkodzeniom. 30 czerwca 1587 r., w czasie trwania sejmiku elekcyjnego, na polach między Wolą a Warszawą, podczas wjazdu orszaku Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego, na skutek deszczu, burzy i nadmiernego obciążenia most został zerwany. Najprawdopodobniej bardzo szybko go naprawiono w celu zapewnienia możliwości dojazdu uczestnikom obrad sejmowych i elektorom nowego króla na pole elekcyjne. W 1603 r., w wyniku zaniedbań konserwacyjnych i powodzi, stały most na Wiśle uległ zniszczeniu.

Król Zygmunt III Waza (1587–1632) na tym samym miejscu wybudował nowy most, któremu również zagrażały powodzie, płynące rzeką kry, niszczące i pod-



Widok Warszawy od strony Pragi, z widocznym mostem Zygmunta Augusta, a właściwie Stefana Batorego. Abraham Hogenberg (grafik); Jacob Hoefnagel (rytownik); Georg Braun (wydawca), [1617], Muzeum Narodowe w Warszawie (fot. Piotr Ligier)

mywające pale mostu. Definitywne zniszczenie mostu nastąpiło w 1621 r.

Zachował się najbardziej znany wizerunek stałego mostu warszawskiego z 1617 r. Jak wynika z analizy tej ikonografii, jak również z ustaleń badaczy, nie jest to rycina przedstawiająca most Zygmunta Augusta, ale most Stefana Batorego. Zgodnie z interpretacją W. Sobieskiego „[ż]e to jest most z czasów Batorego, dowodzi narysowany tu herb Polski w postaci orła, który ma na piersi herb króla Stefana (wilcze zęby). Od strony Warszawy widać ową warownię graniastą, a więc rycina przedstawia most z lat 1582–1586. Pomimo że tablica głosiła, że Anna zupełnie most dokończyła (*perfectum*), to jednak od strony Pragi jest most jakby niedokończony, bo brak w tej części poręczy, a opiera się tylko na łodziach (z wiosłami); była to zapewne część zwykle rozbieralna dla przepuszczenia większych tratw i okrętów”.

Współczesny badacz historii mostów warszawskich A. Niemierko, analizując rycinę mostu warszawskiego z 1617 r., stwierdził: „Widać na niej, że most opierał się nie na 15, lecz na 22 filarach. Z 23 przęseł, 18 od strony Warszawy było kratowych, a 5 od strony Pragi leżajowych. Przęsła leżajowe znajdowały się nad błotnistym terenem zalewowym i miały w świetle po około 15 m. Przęsła kratowe były zaś dłuższe o około 22 m. Batory nie sprowadzał z Grodzieńszczyzny tak długich sosen jak Zygmunt August. Jego most miał mniejsze rozpiętości przęseł i był bezpieczniejszy, ale i tak, jak na owe czasy, były to duże rozpiętości. Na rycinie Hogenberga nie widać przęseł zwodzonych. Wysokość podpór była więc wystarczająco duża do przepuszczenia pod mostem barek z masztami”.

Jak już wspomniałem, do całkowitego zniszczenia stałego mostu w Warszawie doszło w 1621 r. Wydarzenie to spowodowało, że w miarę potrzeby na czas każdego następnego sejmiku elekcyjnego i elekcji budowano mosty sezonowe. Między 1621 a 1775 r. powstawały na Wiśle w Warszawie wyłącznie mosty tymczasowe: elekcyjne i wojenne. 8 października 1775 r. oddano do użytku pierwszy w Warszawie most stały, łyżwowy, rozbierany na zimę i na nowo stawiany wiosną, wybudowany przez Adama Ponińskiego, podskarbiego wielkiego koronnego. Miał on 566 m długości i opierał się na 60 łyżwach, jego szerokość wynosiła prawie 12 m. Przed mostem stały budki poborców opłat.

W Warszawie od lat myślano o moście stałym. Opracowanie projektu zlecono Stanisławowi Kierbedziowi (1810–1899), inżynierowi komunikacji, budowniczemu mostów, generał-majorowi inżynierii w służbie rosyjskiej. Car

zatwierdził projekt S. Kierbedzia w 1859 r. S. Kierbedź jako główny inżynier budowy ukończył budowę pierwszego stałego mostu żelaznego na kamiennych podporach przez Wisłę w Warszawie w 1863 r. Za budowę tę otrzymał od skarbu Królestwa Polskiego dożywotnią pensję 1 500 rubli rocznie.

Poświęcenie i otwarcie mostu nastąpiło 22 listopada 1864 r. Nadano mu imię Aleksandrowskiego, na cześć Aleksandra I, który jako pierwszy z carów nosił też tytuł króla polskiego. Jednak społeczeństwo warszawskie nazwy tej nie zaakceptowało i nazwało go mostem Kierbedzia. Po odzyskaniu niepodległości w II Rzeczypospolitej nazwę tę zatwierdził magistrat stołeczny. Most ten, zwany do zniszczenia go w 1944 r. mostem Kierbedzia, był wielkim osiągnięciem technicznym. Przęsła jego miały rozpiętość po 79 m, przy budowie filarów zastosowano po raz pierwszy na ziemiach Polski sprężone powietrze, belki poprzeczne jezdni przebiegały ponad dolnymi pasami dźwigarów, co znalazło później zastosowanie w wielu mostach w cesarstwie rosyjskim i zostało wysoko ocenione przez specjalistów zachodnioeuropejskich.

Obecnie Warszawa ma następujące mosty: kost Kolejowy pod Cytadelą (konstrukcja pod północnym torrem oddana do użytku w 1946 r., drugi południowy tor oddany w 1947 r.); most Ponińskiego (oddany do użytku po odbudowie w 1946 r.); most Śląsko-Dąbrowski (otwarty w 1949 r., obecna konstrukcja tego mostu spoczywa na podporach mostu Kierbedzia); most Kolejowy Średnicowy (oddany do użytku po odbudowie w 1949 r.); most Gdański (most drogowy oddany do użytku w 1959 r.); most Łazienkowski (otwarty w 1974 r.); most Grota-Roweckiego (otwarty i poświęcony w 1981 r.); most Świętokrzyski (oddany do użytku w 2000 r.); most Siekierkowski (oddany do użytku w 2002 r.); most Marii Skłodowskiej-Curie (otwarty w 2012 r., poprzednia nazwa: most Północny).

Włodzimierz Kaczorowski



Most łyżwowy Adama Ponińskiego (reprod. z: A. Kraushar, *Widoki Warszawy i jej okolic*, Karola Albertiego, malarza nadwornego hessko-darmsztadzkiego ze schyłku XVIII wieku, Warszawa 1912, s. 35)



Park w Strzelcach Opolskich na pocztówce z początku XX w.

Krzysztof Spalek

W cieniu cisa

Park w Strzelcach Opolskich

W Strzelcach Opolskich rozpościera się na znacznej powierzchni bardzo interesujący pod względem krajozrazowym i przyrodniczym park, położony w sąsiedztwie ruin zamku. Jest jednym z najlepiej utrzymanych i zagospodarowanych tego typu obiektów na Śląsku Opolskim.

Na terenie parku występują malownicze stawy oraz wiele pomnikowych drzew, m.in. buk pospolity, lipa drobnolistna, miłorząb dwukłapowy oraz jeden z okazalszych w województwie opolskim cis pospolity, liczący około 200 lat (cis jest drzewem rosnącym wyjątkowo wolno: wysokość dwóch metrów osiąga dopiero w wieku około dwudziestu lat). Gatunek ten w naszym kraju jest objęty ochroną. Na terenie parku spotkać również można wiele interesujących gatunków roślin zielnych, m.in. kokorycz pustą, lepiężnika różowego i zawilca żółtego.

W parkowych stawach, w ostatnim czasie odmulonych, występują rzadkie gatunki roślin wodnych, m.in.

rdestnica ostrolistna, rdestnica ściśniona, rdestnica stępiona, rzęśl hakowata. Akwenty te są również miejscem rozrodu licznych gatunków płazów, w tym traszki zwyczajnej, żaby trawnej i ropuchy zielonej. Ropucha zielona należy do najbardziej odpornych na wysuszenie i nasłonecznienie spośród naszych płazów. Jest również jednym z najlepszych śpiewaków. Głos samców przypomina długotrwałe, perliste, wysokie trele. Przed rozpoczęciem wydania głosu samce silnie nadymają worek rezonatora na podgardlu. Dzięki temu koncerty ropuch zielonych słyszane są nawet z odległości kilku kilometrów. W południowej części parku znajduje się, obecnie zrujnowana, neogotycka wieża widokowa, tzw. wieża Ischl. Jest ona wierną kopią wieży Kolowrat w austriackim mieście Ischl. Wzniesiono ją dla upamiętnienia mieszkającej w Austrii siostry byłego właściciela Strzelec Opolskich hrabiego Renarda – Margarethy von Kolowrat. Wieża widokowa jest czterokondygnacyjną budowlą, na której szczycie znaj-

dował się taras widokowy z balustradą oraz niewielką wieżyczką. Roztaczały się z niej piękne widoki na Strzelce Opolskie i okolice Góry Świętej Anny. Jest to jedna z niewielu wież widokowych, jakie znajdują się w naszym regionie, stąd też może warto podjąć starania o przywrócenie jej do dawnej świetności. Do wieży prowadzi malownicza aleja. W niewielkim kompleksie leśnym, otaczającym wieżę Ischl, natrafić można, przy odrobinie szczęścia, na interesujące gatunki grzybów. Najciekawszym z nich jest włosogwiazd czarnogłowy, który należy do jednych z najrzadszych grzybów w Polsce. W całym kraju obecnie znany jest tylko z dwóch stanowisk, z których jedno znajduje się właśnie w strzeleckim parku. Grzyb ten występuje w miejscach zacienionych, najczęściej w sąsiedztwie drzew liściastych. Za młodu jest zamknięty i kulisty, a w miarę dojrzewania pęka od szczytu na kilka nieregularnych płatów. Występuje tu również wiele innych grzybów, z których część należy do ginących w Polsce i objętych ścisłą ochroną. Są to m.in.: czarka szkarłatna, soplówka gałęzista oraz gwiazdosz trójdzielny. Czarka szkarłatna posiada miseczkowate owocniki o średnicy od 1 do 5 cm, wewnątrz jaskrawoczerwone lub karminowe, na zewnątrz białawe. Grzyb ten występuje w zaroślach i lasach na opadłych gałązkach drzew liściastych. W naszym regionie znany jest z kilkunastu stanowisk. Soplówka gałęzista to gatunek objęty ścisłą ochroną,

którego białawe owocniki są nieregularnie koralowato rozgałęzione. Soplówka gałęzista występuje w naturalnych lasach liściastych i mieszanych, głównie buczynach. Na Śląsku Opolskim występuje również na terenie Parku Krajobrazowego Góra Świętej Anny, w dolinie Małej Panwi koło Kolonowskiego oraz w zabytkowym parku w Pokoju. Natomiast dojrzały owocnik gwiazdosza potrójnego składa się z kulistej okrywy wewnętrznej i okrywy zewnętrznej pękającej na 4 do 8 grubych ramion, które rozchylają się gwiazdkowato. Grzyb ten wyrasta pojedynczo lub gromadnie w miejscach zacienionych, na glebie bogatej w humus, w parkach, lasach liściastych i mieszanych. W naszym województwie znany jest z kilku stanowisk położonych na terenie Parku Krajobrazowego Góra Świętej Anny oraz w okolicach Opola i Krapkowic.

W sąsiedztwie wieży znajdował się głąz upamiętniający polowanie, w którym uczestniczył cesarz Wilhelm II. Wykuto w nim napis informujący o tym, że w tym miejscu 2 grudnia 1902 r. cesarz upolował 50 tys. sztuk bardzo rzadko spotykanego białego koguta bązanta. Obecnie po kamieniu nie pozostał żaden ślad, a o jego istnieniu świadczą tylko nieliczne zachowane fotografie.

Krzysztof Spalek
(pocztówki ze zbiorów autora)



Staw Parkowy. Pocztówka z 1915 r.

Spotkanie z cyklu *Śladami pamięci*

W gabinecie pachniało fajką

Bohaterem spotkania w Muzeum UO, inaugurującego cykl spotkań *Śladami pamięci*, 12 listopada br., był zmarły przed dwudziestu laty **profesor Marian Kaczmarek**, literaturoznawca, prorektor WSP ds. nauki i współpracy z zagranicą w latach 1975–1981, wieloletni dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, a w ostatnich latach życia dyrektor Zakładu Literatury Staropolskiej i Oświeceniowej WSP w Opolu.

Muzealną salę wypełnili dawni współpracownicy profesora, jego studenci, znajomi, a także rodzina, m.in. żona **Łucja Kaczmarek**, siostra **Teresa Piowar** i syn **Michał**, a także ostatni rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu i pierwszy rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. Jerzy Pośpiech**, emerytowani profesorowie: **Dorota Simonides**, **państwo Maria i Lech Nowakowscy**, **Dorota Piasecka**... Nie zabrakło i obecnych pracowników oraz studentów Uniwersytetu Opolskiego. W spotkaniu wziął również udział proboszcz sąsiadującej z Collegium Maius UO parafii pw. Matki Boskiej Bolesnej i św. Wojciecha **ks. Tadeusz Słocki**, który wcześniej odprawił mszę św. w intencji zmarłego profesora.

Jak na pamięć o profesorze przystało, spotkaniu, przynajmniej na początku, towarzyszyła naukowa atmosfera: **prof. Elżbieta Dąbrowska**, prodziekan Wydziału Filologicznego, prezes Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (współorganizator cyklu *Śladami pamięci*) przypomniała dokonania profesora Kaczmarka w referacie pt. *Profesor Marian Kaczmarek w literacko-kulturowej przestrzeni nie tylko staropolskiej*, po czym **prof. Mirosław Lenart** wygłosił referat pt. *Archiwum odrzuconej mądrości, czyli o losach literatury dawnej we współczesnej edukacji*.

A po części naukowej przysła pora na wspomnienia.

Prof. Dorota Simonides: – Był pięknym człowiekiem o głębokiej duchowości, czasami wydawało się, że nie pasuje do współczesnych, konsumpcyjnych czasów. Człowiekiem nad wyraz poważnym, umiejącym słuchać – co jest bardzo rzadkie – i wyciszonym wewnątrz, szanującym każdego, z kim rozmawiał. Także, a może przede wszystkim studentów. Kiedy próbowaliśmy go zatrzymać,

gdy spieszył się na zajęcia, przerywał: – Niestety, ale studenci już na mnie czekają...

Bez Mariana, który przyszedł do nas z Ossolineum, trudno było sobie wyobrazić nasz Instytut Filologii Polskiej. A tworzyli go ludzie będący ze sobą bardzo blisko. U nas nigdy nie było waśni, nienawiści, obgadywania... Bo i nie było czasu na obgadywanie, na tzw. kwadrans dla bliźniego...

Kiedy byłem dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, mój gabinet pachniał ulubionymi przeze mnie perfumami *Escape*. Po mnie dyrektorem został Marian. Weszłam do gabinetu, a tu obcy zapach: tytoń, fajka. Znak, że zaczęły się nowe czasy, czasy Mariana. Zapach się zmienił, ale atmosfera została ta sama, czuło się to samo ciepło. Nie mogłam oddać Instytutu w godniejsze ręce.

Doc. dr Lech Nowakowski: – Dlaczego ja, chemik, znalazłem się tu, w gronie humanistów? Otóż Marian był moim szkolnym kolegą. Razem kończyliśmy szkołę podstawową, a później Liceum Ogólnokształcące im. H. Sienkiewicza we Wrześni. Byliśmy dobrymi kolegami, choć nie mieliśmy wspólnych zainteresowań. Kiedy ja siedziałem w sali biologiczno-chemicznej, Marian siedział gdzieś i czytał albo szukał potrzebnych mu książek. Kiedy myśmy grali w piłkę, Mariana z nami nie było. Czytał. Kiedy my chodziliśmy pod szkołę żeńską pooglądać dziewczyny, Mariana z nami nie było. Mieszkał przy ulicy Kościuszki, naprzeciwko był Dom Żołnierza, gdzie często organizowano różne uro-



Na zdjęciu (od lewej): dr Wanda Matwiejczuk, prof. Elżbieta Dąbrowska, prof. Mirosław Lenart. Za mównicą – Michał Kaczmarek



W spotkaniu wzięli udział m.in.: dr Dorota Piasecka, Łucja Kaczmarek, Teresa Piwowar, prof. Bogusław Wyderka, profesorowie Maria i Lech Nowakowscy, prof. Jerzy Pośpiech i ks. Tadeusz Stócki

czystości, koncerty, a także pokazy filmowe. Zawsze wkręcałem się między żołnierzy, żeby obejrzeć za darmo jakiś film (szczególnie taki od osiemnastu lat). Mariana tam też nie było, bo Marian się wkręcić nie potrafił. Zepsuł się rower, trzeba było coś zakombinować – Marian do tego też się nie nadawał. Korzyść z Mariana była taka, że jak człowiek szukał jakiejś książki, mógł być pewien, że znajdzie ją u niego. On był jedynym posiadaczem podręcznika Chrzanowskiego.

Teresa Piwowar, siostra Mariana Kaczmarka: – Oboje urodziliśmy się we Wrześni, we wspaniałej, pełnej miłości rodzinie. Marian – w 1934 r., ja w 1938. Mama była nauczycielką języka polskiego, tato matematykiem. Kiedy wybuchła wojna, Niemcy mieli już gotowe listy z nazwiskami lekarzy, nauczycieli i księży, więc już w pierwszych dniach września zabrali ojca z domu, mama została z nami sama. Marian miał pięć lat, ja roczek. Wyrzucili nas na bruk. Zamieszkaliśmy u dziadka Zakrzewskiego (ojca późniejszego profesora Bogdana Zakrzewskiego, który jest rodzonym bratem mojej mamy) na wsi pod Wrześnią, a później przygarnął nas dziadek Kaczmarek. Kiedy wojna się skończyła, wrócił z obozu ojciec. Pamiętam, że myśmy z bratem przed nim uciekali – tak strasznie był wynędzniały. Jakiś czas mieszkaliśmy we Wrześni, a później przenieśliśmy się do Poznania. Brat zdał na polonistykę. Ja byłam wyrodną, tępą istotą, która wybrała studia na Politechnice Wrocławskiej – brat już wtedy pracował we wrocławskim Ossolineum. Mieszkałam wtedy, jako panienka z dobrego domu, w klasztorze. W tym klasztorze poznałam Łucję, studentkę chemii, moją przyszłą bratową. Marian mnie odwiedzał, ale z czasem okazało się, że odwiedza mnie przy okazji, bo przychodził do Lusi.

Marian nic nie potrafił zrobić, miał dwie lewe ręce. To Lusia, którą nazywał Muszką, wierciła otwo-

ry w ścianach, przybijając gwoździe, robiła w tym domu wszystko. Oni się bardzo kochali. To była naprawdę wspaniała rodzina. Ja myślałam, że człowiek jest wtedy spełniony, kiedy pozostawi po sobie mądrego, wartościowego, drugiego człowieka. A Marian pozostawił po sobie takich trzech wspaniałych synów, z których może być dumny. To uważam za jego największy sukces.

Dr Wanda Matwiejczuk, kierownik Muzeum Uniwersytetu Opolskiego: – W latach 80. prof. Marian Kaczmarek jako prorektor opiekował się także biblioteką Wyższej Szkoły Pedagogicznej, którą ja kierowałam. Biblioteka była w fatalnym stanie: stropy popękane, ciasno... Był to trudny

czas polityczny i ekonomiczny, nie było żadnych widoków na budowę nowego obiektu. W Opolu, z przyczyn ekonomicznych, wstrzymano wtedy kilka rozpoczętych inwestycji: siedziby dzisiejszego ZUS-u, Izby Skarbowej i siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR, którą planowano ulokować przy ulicy Strzelców Bytomskich. Ten budynek bardzo nam odpowiadał, poszliśmy więc z profesorem Kaczmarkiem na oględziny tej wstrzymanej budowy, a później umówiliśmy się na spotkanie z przedstawicielami władz partyjnych województwa oraz opolskimi architektami (tu muszę dodać, że niestety, nikt z pozostałych członków władz uczelni nie kwapił się, żeby nam towarzyszyć, poszliśmy więc z profesorem Kaczmarkiem sami).

Profesor przyjął taką taktykę: nic nie mówimy, słuchamy, co oni mają do powiedzenia. Trwało to długo, argumentów, mających nas zniechęcić padło wiele. Kiedy skończyli, głos zabrał profesor Kaczmarek. Bardzo spokojnie przytoczył jeden tylko argument: jeśli państwo chcecie, aby w tym mieście rozwijała się uczelnia wyższa, abyście wy i wasze dzieci mogły się tu kształcić, to przyzwoita biblioteka jest tu niezbędna. Przekonał ich, na drugi dzień rektor Gospodarek otrzymał telefon z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, że wyrażają zgodę, budynek będzie nasz. Dzięki profesorowi mamy więc bibliotekę, w której dziś znajduje się blisko milion woluminów.

Po spotkaniu można było obejrzeć wystawę fotografii i pamiątek związanych z profesorem Marianem Kaczmarkiem, przygotowaną przez jego syna Michała, a także pracowników Muzeum UO **Katarzynę Mazur-Kuleszę** i **dr. Andrzeja Szczepaniaka**.

Barbara Stankiewicz
Fot. **Andrzej Szczepaniak**

Alicja Piasta

Wytańczone obrączki

Nasza przygoda z tańcem rozpoczęła się równo pięćdziesiąt lat temu. I trwa do dziś.

A wszystko zaczęło się w 1964 roku, kiedy oboje, choć oddzielnie, przyjechaliśmy do Opoli studiować w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Ja – rusycystykę, Ryszard – kierunek elektryczny. Zamieszkaliśmy w „Mrowisku”. Na pierwszym roku trzeba było mieć zaliczenie z tzw. kółka zainteresowań – wybranego spośród trzech działających na uczelni. Do wyboru był taniec, chór i teatr. Traf chciał, że oboje wybraliśmy taniec towarzyski. Właśnie na zajęciach z tańca poznailiśmy się z Ryszardem. Od drugiego roku tańczyliśmy jako para, a tańczyliśmy już nie z obowiązku, na zaliczenie, ale z przyjemnością. Taniec powoli stawał się naszą pasją.

Treningi odbywały się w auli WSP, dwa razy w tygodniu. Naszym trenerem był Kazimierz Michlik, uczeń słynnego prof. Mariana Wiczystego, jeden z najwybitniejszych polskich nauczycieli tańca (dziś uczy tańczyć seniorów w opolskim Domu Dniennego Pobytu Magda-Maria w Opolu). Za orkiestrę robiło dwóch studentów, którzy przygrywali na pianinie – często w stanie wskazującym.

Wkrótce założyliśmy Studencki Klub Taneczny. Rysiek, mój partner, został jego prezesem, a Maciek Przybył, student chemii, wiceprezesem. W ciągu pięciu lat studiów wspólnie zorganizowaliśmy kilka pięknych turniejów tańca towarzyskiego. Na jednym z nich dostaliśmy od sponsora adapter „Bambino”. Trener przywiózł z NRD płyty z muzyką taneczną, odąd grajkowie nie byli nam już potrzebni. W 1966 r. zdobyliśmy z Ryszardem naszą pierwszą klasę taneczną „D”, i pojechaliśmy na Akademickie Mistrzostwa Polski do Poznania. Nasz debiut nie był sukcesem, uplasowaliśmy się poza finałem. Za rok, już w klasie wyższej, bo „C”, zajęliśmy piąte miejsce, a w 1969 r., w klasie „B” zdobyliśmy wicemistrzostwo Polski w obu stylach: łacińskim i standardowym. W 1970 r., już po studiach – brązowy medal w klasie „A”.

Wyjeżdżaliśmy również na turnieje taneczne do Czechosłowacji, NRD i na Węgry. Pamiętam, jak oszczędzałam, żeby móc kupić sobie nową sukienkę do tańca. Na stolówce jadłyśmy z koleżanką jeden obiad na pół, żeby było taniej. A sukienki były o wiele skromniejsze niż dziś. Zamiast tiulowych halek, zakładałyśmy halki z gazy technicznej, sztywnej, ale ciężkiej. Na uszycie jednej halki potrzeba było 50 metrów tiulu. Falbany szyło się z tiulowych kólek. Pierwszą halkę z

prawdziwego tiulu sprawiłam sobie dopiero w 1969 r., już jako tancerka klasy „A”: tiul był ciemnoróżowy (50 jardów), do tego była sukienka z jaśniejszego szyfonu. Tiul załatwił nam wujek koleżanki, który mieszkał w Stanach, kamyczki z „Jabloneksu” kupiłam w Czechosłowacji przy okazji wyjazdu na turniej. Pamiętam, że seledynowa sukienka do „łaciny” miała halki uszyte z 15 jardów pomarańczowego tiulu. Kłopoty z odpowiednim strojem do tańca mieli także panowie. Mój partner Ryszard dostał od rodziny mieszkającej we Francji koszule non-iron, szłał tamtych lat. Pamiętam, jaki to był dramat, kiedy okazało się, że uprane przez niego, wywieszane, żeby obciekły – natychmiast wyparowały z akademikowej suszarni...



Alicja Bykalska i Ryszard Piasta na Międzymiastowym Turnieju Tańca (Opole, Poznań, Katowice, Wrocław) w auli WSP w Opolu, grudzień 1966 r.

Na turniejach obowiązywały odpowiednie fryzury – dla kobiet koki. Czesła nas fryzjerka Basia, w zakładzie na rogu Grunwaldzkiej i Kośnego. Koki musiały przetrwać nie tylko występ na turnieju, ale czasem i związany z nim kilkudniowy pobyt za granicą, były to więc konstrukcje bardzo sztywne, umocnione dziesiątkami spinek, usztywnione lakierem. Tancerki czeskie i niemieckie były w lepszej sytuacji – przywoziły sztuczne koczki, które dopinały sobie tuż przed występem. U nas wtedy takich cudeniów nie było. Były za to cieniutkie, NRD-owskie siateczki (mam taką do dziś!), które za-

kładałyśmy na koki, żeby lepiej się trzymały. Chłopcy z zagranicznych wojaży przywozili sobie guziko-spiniki, muszki i sztywne kołnierzyki do koszul frakowych. Był to czas Beatlesów, w związku z tym obowiązywały dłuższe włosy – z tego powodu Ryszard miał kłopoty, bo na zajęciach z wojska wymagano krótko przystrzyżonych... Za nieodpowiednią fryzurę musiał więc zdawać na wojsku dodatkowe regulaminy.

Profesjonalne buty taneczne były nie do zdobycia. Kupowałam więc na targowisku w Opolu, na dzisiejszym placu Teatralnym, bardzo ładne, amerykańskie pantofelki, niestety sztywne i niewygodne, i w nich tańczyłam. Pierwsze prawdziwe buty do tańca, na irchowej podeszwie, zrobił mi szewc, który miał zakład przy ul. 1Maja. A dziś? We Wrocławiu są dwa sklepy z butami do tańca. Mam ich kil-



Na zdjęciu (od lewej) tancerze Studenckiego Klubu Tanecznego WSP w Opolu: Wiesława Przewłocka i Maciej Przybył, Alicja Bykalska i Ryszard Piasta, Teresa i Jan Wróblowie

ka par, w różnych kolorach, do standardu i „łaciny” – chyba sobie rekompensują niedostatki tamtych lat.

Rokrocznie, w karnawale, w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej, odbywały się bardzo eleganckie bale. Rozpoczynał je rektor polonezem, często w jednej parze ze mną. Raz nawet zostaliśmy zaproszeni przez rektora, ja i Ryszard, na lampkę koniaku.

Nagrody na turniejach były bardzo skromne, wręcz symboliczne. Przyznawano je parze, stąd często kłóciliśmy się z Ryśkiem, w czym pokoju w akademiku będzie stać np. zdobyty puchar. A raz, na turnieju w NRD, dostaliśmy w nagrodę... komplet pościeli. Pościel trafiła do mojego pokoju, ale Rysiek ciągle się dopominał, żebym pozwoliła mu przespać się pod nią. Doczekał się. W 1971 r., w mojej wymarzonej, różowej, turniejowej sukience brałam ślub z moim pierwszym

i jedynym partnerem tanecznym, a odtąd i życiowym. Świadkiem na naszym ślubie był Karol Musioł, wielki nasz przyjaciel i miłośnik tańca. Orszak weselny tworzyli oczywiście tancerze w strojach turniejowych.

Taniec jest obecny w naszym życiu do dziś. Ryszard jest nauczycielem tańca i sędzią I kategorii. Sędziował na przeszło 700 turniejach. Wychował wiele utytułowanych par i instruktorów tańca (był także wykładowcą w nieistniejącym już Studium Kulturalno-Oświatowym). Od wielu lat prowadzi Klub Miłośników Tańca, najstarszy w Polsce.

Ostatnio naszą pasją jest *tango argentino*, taniec zmysłowy, taniec ludzi dojrzałych.

Alicja Piasta



Ślub Alicji i Ryszarda. Na zdjęciu (od lewej) m.in.: Papa Karol Musioł, Roma i Andrzej Babiakowie, Jan Bogdanowicz (Wróbel), Maria Iglicka, Alfred Delinowski, Alicja i Ryszard Piastowie, Elżbieta Kędzińska, Aleksandra Wójcik, Krzysztof Marczak, Krystyna Grzyb, Konrad Słowik (lipiec 1971 r.)

Kolejne eksponaty w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego

Homer i oporniki

Muzeum Uniwersytetu Opolskiego w ostatnich miesiącach wzbogaciło się o kolejne, bardzo ciekawe eksponaty. Jednym z nich jest *Mappa Geographica Exactissima, Continens Imperatoris Haereditarium Dominium Silesiam, nec non eiusdem Provincias interiores Ducatus, Comitatus, Baronatus etc. edente Petro Schenck Cum Privilegio Ord. General. Holland et West Frisiae*. Ta zabytkowa kartografia wykonana i wydana została w 1720 roku w Amsterdamie przez Petro Schencka, znanego holenderskiego, niemieckiego grawera. Podarował ją do zbiorów muzealnych mec. Hendrik Foth z Dusseldorfu, fundator także innych dzieł przekazanych wcześniej Uniwersytetowi Opolskiemu podczas inauguracji roku akademickiego 2014/2015.

Kolejnym wartościowym eksponatem jest popiersie Homera, ojca poezji epickiej, autora *Iliady i Odysei*, wykonany z gipsu patynowanego. Reprodukacja ta powstała w pracowni przy Muzeum w Luwrze. Świadczy o tym odciśnięta u podstawy pieczęć z napisem: *Moulage Musee du Louvre, reproduction*. Cennym nabytkiem jest również wizerunek Richarda Wagnera, niemieckiego kompozytora, dyrygenta i teoretyka muzyki okresu renesansu, wykonany z ceramiki polichro-



Obraz *Madonna z dzieciątkiem* można podziwiać w Kaplicy św. Wojciecha

mowanej. Popiersia te zdobią wnętrze Sali Rektorskiej Muzeum Uniwersytetu Opolskiego, budząc zaciekawienie i przykuwając uwagę osób zwiedzających ekspozycję. Muzeum wzbogaciło się także o obraz olejny *Madonna z dzieciątkiem* pochodzący z przełomu XIX i XX wieku, który można podziwiać w Kaplicy św. Wojciecha. Zakupione obiekty, cechujące się wartością artystyczną i historyczną, przyczyniły się do wzbogacenia muzealnej kolekcji sztuki.

Od października br. w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego można także zobaczyć unikatową aparaturę pochodzącą z kolekcji Pracowni Dydaktyki Fizyki Uniwersytetu Opolskiego. Tym razem są to elektryczne mierniki i oporniki z początku XX wieku, zebrane przez **mgr. Andrzeja Trzebuniaka**, fizyka i kolekcjonera, który od lat gromadzi przyrządy, w przeszłości stanowiące cenną pomoc dydaktyczną do nauczania fizyki. W ekspozowanej kolekcji znajdują się między innymi: opornica sekwencyjna o zakresie od 1Ω do $100\ 000\Omega$, wykonana w znanej niemieckiej firmie Gebr. Ruhstrat A.G. Göttingen, mikroamperomierz skonstruowany w byłym Związku Radzieckim, woltomierz służący do pomiaru bardzo wysokich napięć (10kV), produkcji znanej czeskiej firmy METRA BLANSKO a.s., a także kilka innych ciekawych specjalistycznych urządzeń, obecnie stanowiących już wartość historyczną i poznawczą, w szczególności dla młodzieży interesującej się fizyką.

Świeżo pozyskane eksponaty, jak i zgromadzone wcześniej zbiory warto obejrzyć, a szczególne zaproszenie do zwiedzenia Muzeum Uniwersytetu Opolskiego kierujemy do studentów, którzy rozpoczęli w tym roku akademickim studia w Uniwersytecie Opolskim.



Andrzej Trzebuniak z Instytutu Fizyki przekazuje dr Wandzie Matwiejczuk, kierownik Muzeum UO, kolekcję elektrycznych mierników i oporników

Katarzyna Mazur-Kulesza
Fot. Andrzej Szczepaniak

Janusz Słodczyk

Oszczędzać i szukać dochodów

Finanse polskich uniwersytetów

W dniach 14–15 listopada br. odbyło się kolejne spotkanie prorektorów odpowiedzialnych za finanse dwudziestu polskich uniwersytetów klasycznych. Uniwersytet Opolski reprezentował prorektor ds. nauki i finansów **prof. dr hab. Janusz Słodczyk**. W trakcie spotkania, zorganizowanego tym razem przez Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, omawiano aktualną sytuację finansową i spodziewany wynik finansowy w roku 2014 w każdej z uczelni, m.in. w kontekście ostatniego naboru na studia. Część dyskusji poświęcono formom zatrudnienia nauczycieli akademickich ze środków na badania statutowe i finansowaniu kosztów postępowania w przewodach doktorskich i habilitacyjnych.

Warto przypomnieć, że Uniwersytecka Komisja Finansowa (UKF) działa przy KRUP (Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich), a przedmiotem jej działań jest wymiana doświadczeń w zakresie zarządzania finansami uniwersytetów w Polsce i stałe monitorowanie zmian związanych z gospodarką finansową uczelni. Do zadań UKF należy też opracowywanie materiałów w zakresie analizy finansowej uniwersytetów, a także proponowanie nowych rozwiązań, istotnych ze względu na sposób pozyskiwania środków finansowych i zasady ich wydatkowania. Ponadto UKF formułuje opinie i stanowiska dotyczące spraw finansowych podejmowanych przez KRUP.

Z moich dwuletnich doświadczeń bieżącej kadencji wynika, że bardzo konkretna, wnikliwa i – co najważniejsze – bardzo otwarta wymiana doświadczeń na temat zarządzania finansami uniwersytetów jest bardzo przydatna, co podkreślają wszyscy uczestnicy naszych spotkań. Możliwość porównania metod i sposobów ograniczania deficytu, restrukturyzacji zatrudnienia, sposobu realizacji podwyżek wynagrodzeń oraz interpretacji niektórych zapisów ustawy ma ogromne znaczenie dla każdego z prorektorów odpowiedzialnych za finanse.

Corocznie koledzy z Uniwersytetu Gdańskiego, na podstawie dostarczonych przez nas materiałów, opracowują wielostronicowy raport, stanowiący kompendium wiedzy o aktualnej sytuacji i kondycji dwudziestu polskich uniwersytetów.

Na pełną ocenę sytuacji w 2014 roku poczekamy do publikacji najbliższego raportu. Już dziś jednak można powiedzieć, że praktycznie wszystkie uczelnie podjęły w miarę skuteczne działania, zmierzające do poprawy sytuacji finansowej. Trzeba przypomnieć, że początek bieżącej kadencji wiązał się z postępującym coraz szybciej spadkiem przychodów za studia niestacjonarne. W roku 2012 duża część uczelni miała ujemny wynik finansowy – w niektórych przypadkach ta strata sięgała kilkunastu milionów złotych. Jednocześnie władze ministerialne ogłosiły, że przy zmniejszającej się liczbie kandydatów na studia nie ma żadnych szans na zwiększenie dotacji podstawowej, a uczelnie powinny docenić, że realizowane są obiecane wcześniej podwyżki wynagrodzeń w szkolnictwie wyższym.

W minionych dwóch latach uniwersytety skoncentrowały się przede wszystkim na zmniejszeniu kosztów, co wiązało się z ograniczaniem zatrudnienia. W niektórych uczelniach przebiega to łagodnie (np. przez nieodnawianie etatów), w innych bardziej radykalnie (np. zwolnienia grupowe). Zmniejszenie kosztów dokonuje się przez jednorazową lub nawet kilkuletnią rezygnację z przyznawania nagród rektorskich i inne działania oszczędnościowe. Uczel-



Prorektor prof. Janusz Słodczyk (na zdjęciu – w środku) podczas posiedzenia prorektorów uniwersytetów polskich w Kielcach

nie usprawniają zarządzanie m.in. poprzez wprowadzanie informatycznych systemów zarządzania zintegrowanego.

Niełatwo zwiększyć przychody. Uczelnie pozbywają się niepotrzebnych budynków, co często ratuje bieżący bilans, ale rzecz jasna jest tylko przychodem jednorazowym. W największych uczelniach, pozyskujących dużo grantów i innego typu tematów badawczych, coraz większe znaczenie w budżecie mają wpływy z narzutów uczelni od badań naukowych.

Warto podkreślić, że niektóre uczelnie uzyskują istotne wsparcie we władzach swoich miast i regionów – oczywiście tych, które doceniają miastotwórczą i regionotwórczą rolę uniwersytetu.

Generalnie działania oszczędnościowe przyniosły stopniową poprawę sytuacji uniwersytetów. Kilka z nich ciągle jeszcze jest w trakcie wychodzenia z zapaści finansowej. W moim przekonaniu poprawa ta jest jednak wynikiem wykorzystania prostych rezerw (ograniczenia drugich etatów, zwolnienia nauczycieli, którzy nie wywiązali się ze swoich obowiązków, wyprowadzenia pewnych usług poza uczelnię). Na Uniwersytecie Opolskim staramy się jednak, by oszczędności w żadnym stopniu nie naruszyły nasze-

go potencjału badawczego i warunków niezbędnych do utrzymania uprawnień do nadawania stopni naukowych czy minimów do prowadzenia kierunków. Pojawia się jednak pytanie, czym zastąpimy spadek przychodów za studia niestacjonarne w najbliższych 2 – 3 latach, czyli do momentu, kiedy wpływy za studia płatne praktycznie przestaną mieć znaczenie w naszym budżecie. Czy znajdziemy jeszcze rezerwy, które uda się wykorzystać bez szkody dla potencjału poszczególnych wydziałów, czy umiemy wdrożyć rozwiązania organizacyjne, które poprawią efektywność funkcjonowania naszego uniwersytetu i wreszcie: czy będziemy umieli znaleźć nowe źródła przychodów. **Odpowiedź brzmi: musimy.**

Nie mamy wpływu, lub bardzo niewielki, na okoliczności zewnętrzne związane np. z demografią lub polityką rządu wobec szkolnictwa wyższego. Musimy jednak radzić sobie również wtedy, gdy te uwarunkowania będą niekorzystne. Jestem przekonany, że na Uniwersytecie Opolskim, wspólnie z władzami wydziałów i instytutów, potrafimy znaleźć rozwiązania, które bez względu na okoliczności zewnętrzne pozwolą nam na dalszy rozwój i umacnianie pozycji naszej uczelni.

Aneta Mazur

Światy melancholii

Pod znakiem Dürerowskiego Saturna

W dniach 22–24 października br., pod egidą Katedry Historii Literatury, Komparatystyki i Antropologii Literackiej Uniwersytetu Opolskiego (Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa) oraz Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, odbyła się ogólnokrajowa, interdyscyplinarna konferencja naukowa pt. *Światy melancholii*. Ponad czterdziestu uczestników reprezentowało różne dyscypliny filologiczne (poloniści, angliści, germaniści, iberyści, hungarysta, rusycystka), historię sztuki oraz muzykologię. Organizatorzy chcieli w ten sposób uhonorować 500-letnią rocznicę powstania miedziorytu Albrechta Dürera *Melencolia* (1514–2014), a także przywołać bogatą, wielowątkową historię zjawiska, które w dziejach kultury niejedno miało imię: począwszy od mitycznej „czarnej zółci” (ją właśnie oznaczała grecka *melaina chole*), skończywszy na różnych wariantach splinów, weltschmerzów czy nostalgii. Słynna ikona europejskiego humanizmu, zwana z powodu swej zagadkowej semantyki „obrazem obrazów” oraz „labiryntem znaczeń”, była zresztą fizycznie obecna – dzięki życzliwości dyrektora Muzeum Śląska Opol-

skiego **Urszuli Zajączkowskiej** oraz uprzejmości Muzeum w Nysie, które na czas konferencji udostępniło ze swoich zbiorów odtisk Dürerowskiego miedziorytu. Przedstawiona na nim tajemnicza, uskrzydłona postać, alegoria różnych aspektów melancholijnej dyspozycji i tradycji, stała się na wiele wieków kultową ikoną artysty, humanisty, uczonego, symbolem tzw. *melancholia gen erosa*, czyli rozterki twórczej, a może symbolem człowieka myślącego w ogóle. *Dzielo Albrechta Dürera, motyw przewodni konferencji, uświadamia nam mnogość podejmowanych prób drążenia zakamarków ludzkiej duszy w nadziei na zgłębienie tajemnicy życia i śmierci, na znalezienie sensu ludzkiego cierpienia* – powiedział w słowach otwierających konferencję dziekan Wydziału Filologicznego **prof. Andrzej Ciuk**. Przywołał on pokrótce dzieje zjawiska oraz... melancholijne akcenty w repertuarze powojennych piosenkarzy polskich (wcale liczne, jak się okazało).

Twórczość Dürera była jednym z dominujących wątków obrad. Zainaugurował je wykład **dra hab.**



Prof. Andrzej K. Kuropatnicki mówił o medycznych, filozoficznych i religijnych kontekstach melancholii w wiekach dawnych. Z prawej – prof. Marek Dybizbański

Andrzeja K. Kuropatnickiego z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie o medycznych, filozoficznych i religijnych kontekstach melancholii w wiekach dawnych. Nową, autorską interpretację *Melencolii* jako formalnego i tematycznego dyptyku przedstawił **prof. Bogusław Czechowicz** (Uniwersytet Opolski, Uniwersytet w Hradcu Králové), a w świat Dürerowskiej hieroglifiki zwierzęcej – jak np. słynny pies u stóp alegorycznej postaci – wprowadziła słuchaczy **dr Joanna Zagożdżon** (Uniwersytet Opolski). Z propozycją współczesnej lektury średniowiecznego miedziorytu wystąpiła **dr Anna Maria Skibska** (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), odkrywając w nim rozległe, bo postmodernistyczne, a nawet feministyczne skojarzenia. Nie mogło oczywiście zabraknąć rozważań na temat „mroków niemieckiej duszy”, której odzwierciedlenia tradycyjnie upatrywano w miedziorycie norymberskiego artysty. Podjęło się tego zadania grono germanistów (**dr Aneta Jurzysta** i **dr Estera Głuszko-Boczoń** z Uniwersytetu Rzeszowskiego, **mgr Tomasz Górny** z Uniwersytetu Jagiellońskiego), omawiając obecność melancholii (i *Melencolii*) w utworach Gottfrieda Benn'a, Petera Weissa, Thomasa Manna oraz Günthera Grassa. Recepcję Dürerowskich motywów w poezji francuskiej przedstawił **dr hab. Piotr Śniedziewski** (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), ich powiązanie z wymiarem obłędu ukazała **mgr Dominika Skiba** (Uniwersytet Wrocławski). Wreszcie grupa prelegentów poświęciła uwagę zjawiskom literackim lub plastycznym powiązanym w sposób bardziej odległy z Dürerowskim prototypem: jak wizyjne światy Williama Blake'a (**dr Agnieszka Osińska**, Wałbrzych), zagadkowa, enigmatyczna wyobraźnia Norwida poety i rysownika (**dr Edyta Chlebowska** i **dr hab. Piotr Chlebowski**, KUL) czy słynna *Melancholia* Jacka Malczewskiego (**mgr Adam Szelaż**, Uniwersytet Wrocławski). Nie zabrakło rów-

nież wystąpienia ukazującego tradycję melancholii w teologicznym kontekście Drogi Krzyżowej i duchowej medytacji (**mgr Monika Bednarczyk**, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie).

Referaty pozostałych uczestników eksplorowały w większości rozległe obszary melancholii literackiej, starając się uchwycić jej niezliczone odcienie zwłaszcza w okolicach pre/neo/romantycznych: czy to w słynnych tekstach literackich, jak *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego (**mgr Maria Janoszka**, Uniwersytet Śląski), czy u sztandarowych romantyków i modernistów, jak Juliusz Słowacki (**dr Monika Kulesza-Gierat**, KUL) i Waław Berent (**dr hab. Sabina Brzozowska**,

Uniwersytet Opolski), czy w przypadku autorów mniej znanych, jak Józef Korzeniowski (**dr hab. Marek Dybizbański**, Uniwersytet Opolski) oraz Ludwik Szyrmer (**mgr Aleksandra Łęgowik**, Uniwersytet Wrocławski). Ciekawy nurt rozważań wyłonił się z szeregu wystąpień podejmujących specyfikę melancholii męskiej i kobiecej, a także patologie związane z doświadczaniem miłości, nudy i obłędu. Melancholiczne przestrzenie intymności w relacjach damsko-męskich w stuleciu XIX przeanalizowała finezyjnie **prof. Magdalena Jonca** (Uniwersytet Wrocławski), a **dr Joanna Mańkowska** (Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie), **dr Patrycja Spytek** (Uniwersytet Warszawski) oraz **dr hab. Anna Ledwina** (Uniwersytet Opolski) wprowadziły w tajniki przewrotnej gry miłości i śmierci, pamięci i szaleństwa w prozie hiszpańskiej, rosyjskiej oraz francuskiej. Klasyczny w tym kontekście motyw bowaryzmu podjął **mgr Maciej Sagata** (Uniwersytet Warszawski), odnajdując go w utworach Bohumila Hrabala i Zygmunta Haupta. Kontrapunkt do tematyki melancholii kobiecej zbudowały wystąpienia **prof. Beaty Obsulewicz-Niewińskiej** (KUL), **mgr Katarzyny Gościński** (Uniwersytet Warszawski) i **mgr Agaty Janiak** (Uniwersytet Wrocławski), które poddały oglądowi wizerunek męskiej *melancholii generosae* i jej odcienie u takich artystów jak Feliks Jabłczyński, Jerzy Liebert oraz Józef Czapski.

Począwszy od wczesnej nowoczesności tropy melancholii komplikują się i dają o sobie znać w postaci rozmaitych niepokojów biograficznych, historycznych, egzystencjalnych, światopoglądowych, społeczno-cywilizacyjnych – i w najprzeróżniejszych formach estetycznych. Szlaki, którymi przebiegała modernistyczna i postmodernistyczna melancholia, śledziły referaty omawiające tropy młodopolskie (**dr hab. Hanna Ratuszna**, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), diagnozujące minorowe klimaty współczesnej literatu-

ry czeskiej (**prof. Anna Gawarecka**, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), jak również wytyczające melancholopodobne nurty polskiej prozy ostatnich dekad (**prof. Dorota Heck**, Uniwersytet Wrocławski). W bogatym gąszczu współczesności wielu prelegentów zdecydowało się na studia przypadków indywidualnych, gdzie meandry melancholii przybierały ciekawe, nietypowe bądź kontrowersyjne formy wyrazu. Tak uczynili autorzy wystąpień prezentujących światy prozy J. R. R. Tolkiena (**dr Mateusz Bourkane**, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), Pawła Huelle (**dr Andrzej Franaszek**, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie) oraz Anny Kamieńskiej (**dr Bartosz Małczyński**, Uniwersytet Opolski), twórczość Edwar-da Stachury (**dr Anna Małczyńska**, Opole), depresyjną aurę biografii i pisarstwa Virginii Woolf (**dr Anna Roter-Bourkane**, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu) oraz Samuela Becketta (**prof. Krystyna Modrzejewska**, Uniwersytet Opolski), a także melancholiczne znamiona poezji Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego (**dr Maciej Jaskot**, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie; **dr Yurii Ganshenko**, Zaporoski Państwowy Uniwersytet Medyczny), Rafała Wojaczka (**Maksymilian Wroniszewski**, Uniwersytet Gdański) oraz Wiesława Kulikowskiego (**dr Ewelina Radion**, Rzeszowskie Towarzystwo Muzyczne).

Biorąc pod uwagę tradycyjne rady medyków, którzy negatywne skutki „czarnej żółci” proponowali leczyć wpływem muzyki, można powiedzieć, że i tym razem tradycji stało się zadość: spotęgowaną dawkę melancholii literackiej, wzbogacanej przez prelegentów efektami prezentacji multimedialnych, podsumowała efektowna, czysto muzyczna puenta konferencji:

ilustrowany dźwiękowo wykład **prof. Jolanty Szulakowskiej-Kulawik** (Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach) na temat dekadenc-kiej melancholii w muzyce francuskiej i hiszpańskiej. Trzeba jednak zaznaczyć, że pomimo iż październikowa aura zadbała o odpowiednio melancholijną, jesie-no-deszczową oprawę obrad, ich uczestnicy nie ulegli smętnym wpływom Saturna, patrona melancholików (o czym świadczyły żywe, bynajmniej nie melancholiczne dyskusje) – pomni faktu, iż ten sam mityczny Saturn patronował ludziom nie tylko nieszczęsnych kondycji, ale i wzniosłych profesji; nie tylko upadkowi i klęsce, ale i legendzie o Złotym Wieku ludzkości.

Aksjologiczna ambiwalencja melancholii oraz wszelkich nastrojów od niej pochodnych to bezsprzecznie najciekawszy rys jej kulturowych dziejów. Warto o tym pamiętać zwłaszcza w epoce owładniętej obsesją depresji, panicznie uciekającej od ciężaru smutku, powagi czy zamyślenia w lekkość bez troski i samozadowolenia. Przecież już w czasach Arystotelesa zauważono, że cień melancholii towarzyszył zawsze ludziom, których natura obdarzyła jakąś namiastką talentu. Pamiętał o tym Goethe, mówiąc o elemencie melancholii niezbędnym geniuszowi. Pamiętał też autor *Anhellego*, który pozostawił jedną z piękniejszych i trafniejszych definicji zjawiska: *Dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.*

Aneta Mazur

(Na str. 23 rozmowa z dr Anną Małczyńską – o melancholii i jej wpływie na twórczość).



W sali Muzeum Śląska Opolskiego

Konferencja na Uniwersytecie Opolskim

Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie

27 października br. na Uniwersytecie Opolskim odbyła się konferencja naukowa *Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie*, zorganizowana przez Opolski Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, Instytut Politologii Uniwersytetu Opolskiego, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim, Ambasadę Republiki Kazachstanu w Polsce, Polsko-Kazachstańskie Stowarzyszenie Przyjaźni i Współpracy, Stowarzyszenie „Mój Kazachstan” oraz Studenckie Koło Naukowe Politologów Uniwersytetu Opolskiego.

Wydarzenie to wpisało się w cykl opolskich spotkań naukowych poświęconych zagadnieniu wielokulturowości na Śląsku Opolskim i w wybranych krajach wschodnich, w których kulturze można odnaleźć liczne powiązania z kulturą polską. Wcześniejsze konferencje dotyczyły Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Patronat honorowy nad konferencją sprawowali: **Yerik Utembayev** – ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Republiki Kazachstanu w Polsce, **Józef Bryll** – prezes Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, **Ryszard Wilczyński** – wojewoda opolski, **Andrzej Buła** – marszałek województwa opolskiego, **prof. dr hab. Stanisław Sławomir**

Nicieja – rektor Uniwersytetu Opolskiego.

Konferencja została zorganizowana przy wsparciu Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego oraz Departamentu Współpracy z Zagranicą i Promocji Regionu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego.

Gości honorowych i uczestników konferencji powitał prezes Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód **Eugeniusz Brudkiewicz**. W krótkim przemówieniu przywołał dotychczasowe działania podejmowane wspólnie z Ambasadą Kazachstanu w RP, Urzędem Marszałkowskim Województwa Opolskiego oraz Uniwersytetem Opolskim: wizyty ambasadorów Kazachstanu w województwie opolskim, wyjazdowe misje gospodarcze oraz Dni Kazachstanu na Opolszczyźnie w 2008 r., podczas których odbyły się liczne wystawy, sympozja, spotkania kulturalne i biznesowe.

Moderatorem konferencji była **dr hab. Aleksandra Trzecielińska-Polus, prof. UO** – kierownik Katedry Stosunków Międzynarodowych w Instytucie Politologii UO. Zauważyła, że konferencja jest próbą porównania podmiotów właściwie nieporównywalnych – ogromnego państwa, w którym żyje obok siebie ponad



W trakcie konferencji *Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie*

sto narodów i milionowego województwa. Jednak kultura obu obszarów ma zróżnicowany rodowód – kształtowała się pod wpływem przenikania się na tych terenach wielu różnorodnych tradycji i kultur.

Następnie głos zabrali goście honorowi, którzy wyrazili uznanie dla organizatorów za podjęcie tak złożonego tematu.

Rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja dokonał oficjalnego otwarcia obrad. Jako historyk i wybitny znawca dziejów dawnych Kresów, autor pięciu tomów serii *Kresowa Atlantyda*, podkreślił potrzebę prowadzenia badań nad powiązaniem kulturowymi Polski z innymi krajami.

Radca-minister Ambasady Kazachstanu w Polsce **dr Murat Zhakypbekov** przekazał obecnym przesłanie od ambasadora Kazachstanu w RP Yerika Utembayeva, który objął konferencję swoim patronatem i wspierał organizatorów na wszystkich etapach przygotowań.

Prezes Zarządu Krajowego SWP-W Józef Bryll podkreślił, że Kazachstan jest państwem niezwykłym – jednym z nielicznych, w którym przedstawiciele tak wielu narodowości i wyznań żyją obok siebie niemal bez konfliktów. Przywołał przy tym słowa Jana Pawła II wypowiedziane podczas II pielgrzymki do Kazachstanu: *Tutaj, na tych bezkresnych stepach, spotykały się i nadal spotykają w pokoju mężczyźni i kobiety różnych narodowości, kultur i religii*. Prezes Bryll odwołał się do źródeł wielokulturowości w tym kraju – czasów, kiedy Kazachstan, jako jeden z najistotniejszych odcinków Szlaku Jedwabnego, był pomostem między Wschodem a Zachodem, dzięki wymianie handlowej umożliwiał zetknięcie się ze sobą wielu odrębnych kultur.

Dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO **dr hab. Janusz Henryk Dorobisz, prof. UO**, powitał uczestników jako gospodarz miejsca i wyraził zadowolenie, że z analizą problemu konferencji zmięrzają się wybitni znawcy tematyki wielokulturowości w Polsce i Kazachstanie, których spostrzeżenia mogą wnieść istotny wkład do badań naukowych nad tym zagadnieniem.

Przed rozpoczęciem sesji referatowej wyświetlono film o współczesnym Kazachstanie przygotowany przez Ambasadę Kazachstanu w RP.

Sesję rozpoczęła **Ryszard Galla**, poseł na Sejm RP, wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, wystąpieniem pt. *Mniejszości narodowe i etniczne w Polsce*. Omówił zmiany, jakie mają być wprowadzone do Ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym i podkreślił potrzebę rozwijania możliwości używania języków poszczególnych grup etnicznych.

Dr Murat Zhakypbekov wygłosił referat w języku rosyjskim na temat: *Mniejszości narodowe i etniczne w Kazachstanie*. Nakreślił okoliczności historyczne kształtowania się wielonarodowego państwa oraz przedstawił działania nakierowane na zachowanie bo-

gactwa kulturowego i językowego poszczególnych grup etnicznych, a także na budowanie dialogu. Według jego słów, dzięki takiej aktywności ze strony państwa udaje się prawie całkowicie uniknąć konfliktów na tle narodowościowym i religijnym.

Prof. dr hab. Dorota Simonides w referacie pt. *Wielokulturowość Śląska Opolskiego – model europejski* podkreśliła bogactwo kulturowe regionu, w którym od średniowiecza przenikały się wpływy wielu odmiennych kultur: niemieckiej, czeskiej, żydowskiej, śląskiej, a w późniejszym okresie także kresowej.

Dr hab. Elżbieta Trela-Mazur, prof. UO, podczas wystąpienia na temat *Wielokulturowość bogactwem Kazachstanu* dokonała charakterystyki wybranych grup etnicznych zamieszkujących ten rozległy kraj.

Norbert Rasch, przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim, zaprezentował działalność kierowanej przez niego organizacji. Zaznaczył, że pielęgnowanie kultury mniejszości niemieckiej jest szczególnie ważne w tym regionie, który nie tylko jest jej największym skupiskiem w Polsce, lecz również miejscem przenikania się kultur różnych grup etnicznych. Dlatego konieczne jest dążenie do wzajemnego poznawania się i dialogu, przy jednoczesnym zachowaniu własnej odrębności.

Następnie głos zabrali dwaj byli ambasadorowie Polski w Kazachstanie – **prof. dr hab. Marek Gawęcki** oraz **dr Władysław Sokołowski**.

Pierwszy z nich w referacie pt. *Polacy w Kazachstanie – historia i współczesność* postanowił obalić kilka zakorzenionych w powszechnej świadomości mitów. Opowiedział m.in. o zsyłkach i miejscach osiedleń, które, chociaż nie były przygotowane do przyjęcia nowych mieszkańców, to jednak przeważnie nie były też na tyle peryferyjne, by zesłańcy nie mogli się kształcić i dbać o rozwój kultury.

Z kolei dr Sokołowski podzielił się swoimi spostrzeżeniami z czasów pełnienia urzędu ambasadora. Zauważył, że silne przenikanie się kultur i aktywną współpracę między różnymi narodowościami w Kazachstanie można zaobserwować zarówno w sferze publicznej, jak i codziennym życiu.

Bożena Kalecińska, zastępca dyrektora Wydziału Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców Urzędu Wojewódzkiego w Opolu, przybliżyła temat osiedleń repatriantów z Kazachstanu na Opolszczyźnie. Nasze województwo przyjmuje relatywnie najwięcej repatriantów z tego państwa i prowadzi aktywną współpracę z lokalną społecznością nakierowaną na ich integrację.

Izabela Jasińska, etnograf Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, dokonała prezentacji wystawy stałej *Etnografia Opolszczyzny – tradycja i zmiana*. Scharakteryzowała przede wszystkim wpływ kultury kresowej na opolskie dziedzictwo kulturowe.

Podczas dyskusji uczestnicy konferencji odnieśli się do problemów wielokulturowości w Polsce i Kazachstanie, zwłaszcza historii i współczesności poszczególnych grup etnicznych oraz kwestii dotyczących prze-

siedleń i repatriacji. Zwrócono uwagę na zagadnienie tożsamości mieszkańców Kazachstanu jako, z jednej strony, obywateli tego państwa, z drugiej – przedstawicieli różnorodnych narodowości.

Podsumowania obrad dokonała prof. Aleksandra Trzecielińska-Polus, zwracając uwagę na podobieństwa między Śląskiem Opolskim i Kazachstanem. Obydwa te podmioty to obszary pogranicza: nasze województwo między państwami, kulturami i regionami, a Kazachstan – między kontynentami. Ogromny wpływ na strukturę omawianych podmiotów wywarła polityka innych państw – Niemiec w przypadku Opolszczyzny, a Rosji w odniesieniu do Kazachstanu. W obu regionach funkcjonują ustawy zapewniające poszanowanie

kultury, języka i religii. Przy tym warto zauważyć, że ani w Polsce, ani w Kazachstanie, język nie stanowi wyznacznika przynależności narodowej czy etnicznej.

W konferencji wzięli udział także liczni studenci politologii, filologii wschodniosłowiańskiej, slawistyki oraz przedstawiciele nauki i kultury, w tym członkowie Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

W holu Collegium Civitas uczestnicy mogli zobaczyć wystawę publikacji dotyczących Kazachstanu i Śląska Opolskiego, przygotowaną przez pracowników Międzyinstytutowej Biblioteki Politologii, Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Polskiego.

Agata Malec

Jerzy Duda

Kresowe Madonny

*Czy słyszysz jak echo dzwonów, co się stepem ściele,
Czule jak woń piołunów, czai się i perli.
Niby kadzidła strumień w drewnianym kościele,
w cerkwi jak ta, co stoi nad brzegami Nerli.*
(Jarosław Iwaszkiewicz)

Piękną tradycją stowarzyszeń i organizacji skupiających wokół siebie dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, po II wojnie światowej osiadłych na Śląsku Opolskim, są coroczne Święta Madonn Kresowych, obchodzone uroczystość w ostatnią niedzielę sierpnia każdego roku, w Wójcicach k. Nysy. Tam, w kaplicy kościoła św. Andrzeja Apostoła, znajduje się słynący cudami obraz Matki Boskiej Łopatynskiej, przywieziony w 1946 roku przez wygnanców z Łopatyna, do miejsca, gdzie przyszło im rozpocząć nowe życie.

Tadeusz Kukiz napisał: „Kiedy po II wojnie światowej, w następstwie jałtańskiego układu, polska ludność Kresów zmuszona została do opuszczenia rodzinnych stron, ruszając w daleką podróż i niepewną drogę, obok skromnego dobytku – w miarę możliwości – zabierała także te przedmioty, które były znakami jej związku z ziemią ojczystą. Szczególne miejsce wśród nich zajmowały obiekty kultu religijnego, a głównie obrazy Matki Bożej... Dokonano tego z niemałym trudem, poświęceniem, a nawet narażeniem życia”.¹ Z kolei Maria Kałamajska-Saeed wyraziła przekonanie, że „w naturalnym odruchu, dla zmniejszenia obcości nowych miejsc, gdzie przyszło im żyć – umieszczali w tamtejszych

kościółkach wizerunek Opiekunki lat dawnych”.²

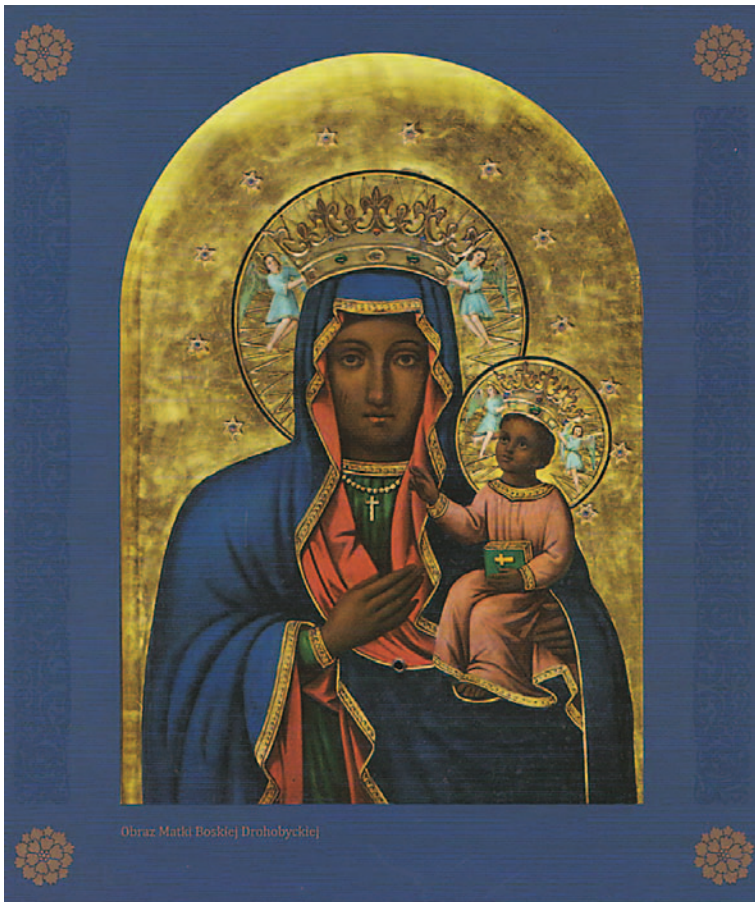
O niezwykłym kulcie Matki Boskiej w naszym kraju pięknie napisał Norman Davies: „Miałem 23 lata, kiedy odwiedziłem Polskę i kiedy na Jasnej Górze poczułem ową niezwykłą, magnetyczną siłę, jaką Matka Boska wywiera na każdym z tam obecnych. Uczestnicząc w pielgrzymce do Kalwarii Zebrzydowskiej, dostrzegłem, jak bardzo wspólne pielgrzymowanie zbliża do siebie ludzi. Dużo później przyszło mi uklęknąć przed Matką Boską Ostrobramską. I tak oto znalazłem się w Rzymie, w pełnym znaczeniu tego słowa. Teraz już jako człowiek wspólnoty rzymskokatolickiej, mogę wreszcie docenić niezwykłą rolę najświętszej Maryji Dziewicy zarówno dla chrześcijańskiej wiary, jak i dla długich dziejów Europy”.³

Na inny z kolei problem zwrócił uwagę Zbigniew Żakiewicz, który stwierdził, że to, iż lud polski i jego kapłani zabierali z sobą Madonny Kresowe, rzeczy bezcenne, stanowiące o pamięci pokoleń, mówiące o żarliwej wierze, wydawało się rzeczą naturalną, ale dalej napisał: „A jednak dziś nie jest rzeczą zbyt jasną, czy zabierając świętą ikonę, nie chciano mieć

¹ Tadeusz Kukiz, *Wolyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji tuckiej*. Biały Dunajec 1998, s. 8.

² Maria Kałamajska-Saeed, *Ostra Brama w Wilnie*. Warszawa, s. 228.

³ Norman Davies, *Przedmowa*, [w:] Janusz Rosikoń: *Madonny Europy*. Warszawa 1989, s. 13.



Obraz Matki Boskiej Drohobyckiej

Obraz Matki Boskiej Drohobyckiej

w niej *zakładnika*, który sprawi, iż wierny Bogu lud znów powróci do swych gniazd rodzinnych. A może kierowano się inną motywacją? W przeczuciu historycznych zmian, wstrząsających w posadach całym życiem, zmian nieodwracalnych, brano ze sobą tę jedyną i niezawodną Opiekunkę, aby w nowym świecie móc modlić się przed tą samą ikoną, przed którą modlili się ojcowie i dziadowie.⁴ I tym samym, w porządku duchowym zachować tak potrzebną ciągłość, nie tracąc korzeni.

Wielki orędownik i piewca Madonn Kresowych dr Tadeusz Kukiz wiele lat swojego życia poświęcił dokumentowaniu obrazów, przemieszczonych z rubieży w nowe miejsca osiedlenia kresowian. W latach 1997–2002 wydał siedem tomów tej tematyce poświęconych, w których opisał 118 wizerunków Madonn. Jako pierwszy ukazał się tom: „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezji gliwickiej”, ostatni poświęcił „Madonom Kresowym i innym obrazom sakralnym z Kresów w diecezjach polskich. Suplement”, czterotomowe dzieło doczekało się podwójnych wydań. Dodatkowo, w 2013 roku ukazały się bibliofilskie, numerowane „Madonny Kresowe” – to wydanie zbiegło się z przyznaniem dr. Tadeuszowi Kukizowi medalu „Zasłużonemu Kulturze Gloria Artis”.

W każdym przypadku motywem i powodem do zajęcia się danym obrazem było jego przemieszczenie,

mniej znaczenie miały wartości artystyczne. Fascynujące są te opisy. Historia każdego obrazu może stanowić tworzywo do przygotowania oddzielnej publikacji czy też scenariusza filmowego. Oto przykład jednego tylko opisu, znajdującego się w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Raclawicach Śląskich, obrazu przewiezonego przez ekspatriantów z kresowego Buszcza (woj. tarnopolskie, diecezja lwowska). Według legendy obraz ten został nabyty w Rzymie, w połowie XVII wieku przez jednego z członków możnego rodu Sieniawskich, z przeznaczeniem dla jednego z kościołów w Królestwie Polskim. W czasie jego przewożenia zatrzymano się w Buszcu, a kiedy chciano kontynuować podróż, konie żadną miarą nie chciały ruszyć z miejsca. Dowiedziawszy się o tym, Sieniawscy postanowili ufundować kościół właśnie w Buszcu. Malowany na lipowej desce obraz przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem na prawej ręce, stojącą na półksiężycu i deptającą smoka. Wizerunek szybko zyskał rozgłos słynącego łaskami. W dni odpustowe do Buszcza przybywały wielotysięczne tłumy, w tym także procesje pątnicze z odległych parafii.

Kiedy podczas II wojny światowej rozpoczęły się napady banderowców, Polacy szukali schronienia w swoim kościele. Pierwszy bandycki atak nastąpił w styczniu 1943 roku, ocaleni tylko ci, którzy zdążyli ukryć się na chórze i pod dachem kościoła, którego nie udało się bandytom zdobyć. Dwa miesiące później Buszcz uległ zagładzie, spalono wszystkie polskie domy, ich mieszkańców wymordowano. Tylko nielicznym udało się zbiec do Brzeżan. Kościół ograbiono, następnie podpalono. Ocalał tylko cudem słynący obraz. O pomoc w jego przewiezieniu poproszono stacjonującego w Brzeżanach hauptmana Franza Georga Moravca. Z żołnierskim patrolem przedostał się do Buszcza, odebrał i przekazał obraz brzeżańskiej parafii. Kiedy po II wojnie światowej Polaków wyrzucano z Kresów Wschodnich, proboszcz parafii w Buszcu ks. Filip Zajac, wyjeżdżając z ostatnią grupą ocalałych parafian, zabrał z sobą ten obraz. Początkowo był on w jednej z bocznych kaplic kościoła w Raclawicach Śląskich, a od 1957 roku został umieszczony w ołtarzu głównym. Dwukrotnie odwiedził miejscowych parafian i kościół Franz Georg Moravec, który tak pięknie wpisał się w historię Buszcza i jego mieszkańców.⁵

„Rodakom pomordowanym i zamęczonym na mojej ziemi rodzinnej”, piękną książkę poświęcił Władysław Żołnowski. Jest to przejmująca opowieść o wojennych,

⁴ Zbigniew Żakiewicz, *Ujrzane, w czasie zatrzymane*. Lublin 1996.

⁵ Tadeusz Kukiz, *Madonny Kresowe i inne obrazy z Kresów w diecezji opolskiej*. Wrocław 1998, s. 63.



Obraz Matki Boskiej Kochawińskiej

tragicznych losach Buszcza i zamieszkujących tę miejscowość od wielu pokoleń Polakach.⁶

Nowy rozdział historii Madonn Kresowych napisała... Poczta Polska, wprowadzając do obiegu 14 sierpnia 2014 roku, a więc w przeddzień święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – dwa znaczki pocztowe o nominałach 1,75 zł i 4,20 zł, przedstawiające odpowiednio obrazy Matki Boskiej Drohobyckiej i Matki Boskiej Kochawińskiej. Autorką projektu znaczków jest Agnieszka Sancewicz, autorem opisów obrazów w okolicznościowym folderze – Romuald Kołodzki-Stobbe, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej.

Obraz Matki Boskiej Drohobyckiej namalowany na miedzianej blasze pochodzi z przełomu XIX/XX wieku, poświęcony został w 1904 roku wraz z nową kaplicą pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej Królowej Polski, ufundowaną przez polskich kolejarzy w Drohobyczu (województwo i diecezja lwowska) jako symbol narodowej tożsamości kolejarskiej społeczności. Sowietci, którzy w 1944 roku wkroczyli do miasta, zdewastowali kaplicę, przestrzelony obraz uratowały Kazimiera i Zofia Cisowskie. Przechowywały go do czasu otrzymania wiadomości o odnowieniu drohobyckiej kaplicy przez dawnych mieszkańców tego miasta. Oryginał obrazu poddano konserwacji, zachowano przestrzelinę, znalazł on swoje miejsce w oł-

tarzu głównym kościoła o.o. Bonifratrów w Warszawie, świątyni niemal przylegającej do pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. W odbudowanej ze zgliszcz kaplicy w Drohobyczu umieszczona została kopia obrazu, na zewnątrz kaplicy wmurowano dwujęzyczną – po polsku i po ukraińsku – marmurową tablicę z inskrypcją: „Ta Kaplica zbudowana w 1904 roku odbudowana została AD 1998 roku staraniem Polaków z Drohobycza dla uczczenia modlitwą ofiar I i II wojny światowej”.

„O Mater Dei Electa esto nobis via recta” („Matko przez Boga wybrana bądź nam drogą prostą do Pana”), taki napis zdobi słynący cudami obraz z XVII wieku Matki Boskiej Kochawińskiej, z leżącej nieopodal Stryja Kochawiny (woj. stanisławowskie, diecezja lwowska). Oryginał namalowany jest na desce dębowej. W 1912 roku obraz został ukoronowany przez ówczesnego metropolite lwowskiego arcybiskupa św. Józefa Bilczewskiego. W uroczystości koronacyjnej uczestniczyło prawie 100 tysięcy wiernych. Po II wojnie światowej obraz trafił do Gliwic, obecnie znajduje się w Sanktuarium

Matki Boskiej Kochawińskiej w Gliwicach, prowadzonym przez o.o. jezuitów. W 2014 roku kopię obrazu przekazano wiernym kościoła rzymskokatolickiego w Drohobyczu.

Trzeba w tym miejscu wspomnieć, że jednym z ważnych powodów podjęcia przez dr. Tadeusza Kukiza prac nad dziejami Madonn Kresowych była odezwa z 1990 roku – autorstwa ks. Czesława Michalunio i Bronisława Niemczyka – skierowana do byłych mieszkańców Kochawiny: „Liczba osób, które żyją dawną Kochawiną, które mają w pamięci dawny jej obraz, w sposób nieubłagany maleje. Użyte tutaj określenie *Kochawina* to nie kościół, nie parafia nawet, ale skrawek ziemi ojców naszych, który pozostał po tamtej stronie granicy. To część naszego życia. To co przeżyliśmy, jest częścią Cudownego Obrazu, częścią historii narodu. Nie możemy dopuścić, żeby to wszystko zapadło w mrokach zapomnienia”.

Źródłem fenomenu kultu Madonn Kresowych, kultu wbrew wszystkiemu, uparcie żywego, w którym jest niespożyta siła, sprawiająca, że rośnie on wśród przeciwności, a w zmieniających warunkach nabiera nowych wartości, niosących wiarę w opiekuńczą moc tym wszystkim, dla których Madonny Kresowe są symbolem tego, co najświętsze i najdroższe, w szczególności mieszkańcom dawnych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, głęboko przeżywającym swoje poczucie wydziedziczenia.

⁶ Władysław Żołnowski, *Matka Boska Buszczacka i jeźdźcy Apokalipsy*. Lublin 1998.

Bartosz Suwiński

Apokryf spisany po szturmie

Poezja Radosława Wiśniewskiego

Jaskółek tak dużo było obok siebie, że drut zwiślał ociężałe jak naprężony różaniec.
Było ich wiele, ale same czarne (J. Jowkow, tłum. H. Kalita).

Poezja Radosława Wiśniewskiego jest gęsta jak chaszczce, kłębiące się głęboko w jarze, po tej stronie wzgórza, gdzie właśnie zachodzi nas zmierzch. Panuje w niej duży tłok, słowa zderzają się ze sobą, orbitują wokół tematów, których osi nakładają się na siebie, powodując rodzaj nagłych spięć znaczenia, rozsadanego przez różne porządki. Wyobraźnia Wiśniewskiego działa jak uśpiony wulkan, który raz po raz wyrzuca z siebie lawę słów, palących problemów, od których czerwieni się współczesność. Poeta potrafi napinać wewnętrzne struny i zrywać je ostrym szarpnięciem językowej rebelii. Język raz jest jak petarda, wybucha skondensowaną treścią, innym razem jak fajerwerk, który eksploduje „rozstrzelonym” znaczeniem. Pierwszy tomik, *Nikt z przydomkiem*, przynosi surrealne wizje, niesie poetyckie obrazy, których ciemna logika staje się tematem wiersza. Sporo jest tu rozsianych modlitw, skupień, ogniskujących się widzeń, na ciemnych tłach. Dużo się tu dzieje, fraza gna szybko, obraz zapada w kolejny obraz. Imaginacja staje się rodzajem ćwiczenia dla języka, który musi wykrzyknąć się po wszystkich wyobrazeniowych kątach. I niczym rezonansowe pudło, dobyć z siebie najgłębsze tony i dźwięki. Bohater wierszy zwie się „kronikarzem zamętu” [NZP, 9]¹, i od razu przedstawia nam się jeden z najbardziej rozpoznawalnych rysów tejże poezji, będącej nieustannym zdawaniem sprawy z „szaleństwa” (biedy, głodu, wojny, dyskryminacji – to oczywiście tylko wyimki z katalogu tematów) codzienności. Podmiot, niczym reporter, zdaje sprawę – „wystarczy być kliszą” powie protagonista wiersza *Stacja Wrocław. Kierunek północ – Gdańsk* [NZP, 45] – ze swoich obserwacji, z angażowania się po stronie wartości, po stronie pobitych. Uczciwa, domagająca się respektowania prawa poezja. Pełna wiary, że sama może przyczyniać się – skupiając w wierszu bolączki i dylematy – do dyskusji nad „stanem duszy i świata”. Do protestu i przeciwdziałania złu. Mówiąca stanowcze „nie”, panoszącej się jawnie

niesprawiedliwości. Owo zaangażowanie lekko tłumi rysa młodzieńczej, erotycznej pasji pisania „o nas i dla nas”. Przez tom idzie rodzaj wewnętrznej cezury, która kładzie się *limesem* na tomie, tak że widzimy młodzieńca, który niejako na naszych oczach staje się mężczyzną. Dochodzi do własnej, niepowtarzalnej dykcji. Co ważne: nie ma mowy o banale, wyslizganych metaforach, publicystycznych zwrotach akcji. Nie. Wiśniewski dysponuje trudną, mgławicową wyobraźnią. Jej gra na różnych poziomach abstrakcji buduje napięcie i odrywa od kartki światy, za których łunami łąpczywie wypatrujemy, gdzie chcielibyśmy znaleźć dla siebie choćby jeden oswojony kąt, zdatny do postępu przyczółek, choć:

Tutaj. Odra wzbiera drugi raz w roku
cierpliwa do obłędu ziemia znosi wszystko.
We mnie pługi znaczą
coraz głębsze wąwozy
woda spływa w głąb
oddaje pole pod całopalenie.

[NZP, 20- 21]

Bo żywioł i pęd zmiany, obrazowania, jest tu dla czytającego nieustępliwy i do tego trzeba się przyzwyczaić, jakoś stawiać interpretacyjne zapory dla wylewającej się strugi poetyckich światów. Ale nie jest tak, że trzymamy się tylko w górze i nie wiemy „k którędy przebiegają / koryta naszych podziemnych rzek, gdzie łączą się, rozwidlają / i mieszają swoje ciemne płyny” [NZP, 54].

Wiśniewski także rozpoczyna od konkretnego, zaczyna od ziemi, stąd rusza historia, tu rozpoczynamy widzenie ludzkiego ubóstwa. Patrzymy na przegrane życiorysy, przetrącone biografie, kolejowe dworce pełne od zapadających w pamięć szarych kadrów, pustych korytarzy, pospiesznie pakowanych walizek, ludzkiego znoju i mozołu, historii zaczynanych w połowie albo od nowa: „między żarnami czasu / z prochu powstają / w proch się obracam” [NZP, 8]. Staruszka pcha wózek wypchany kartonami, policja legitymuje bezdomny bród, skini potracając dziewczynę, w rogu ktoś patrzy na to wszystko z niesmakiem. Dymią czubki kominów wystających w zapyziałych dzielnicach, gdzie

¹ Dalej utwory R. Wiśniewskiego lokalizuję wg następującego modelu: *Nikt z przydomkiem*, Toruń 2003 [NZP], *Albedo*, Kraków 2006 [A]; *NeoNoe*, Sejny 2009 [NN]; *Abdykacja. Wiersze zaangażowane i nie*, Jedlińsk 2013 [AZ]. W nawiasie kwadratowym podaję skrót tomu i stronę, na której znajduje się odnośny fragment.

śmieci walają się po kątach. Ognik papierosa przebija się przez zmrok. O świcie niedoszły samobójca tańczy na gzymsie, mijają kolejne sezony „prochu w proch”. Nieprzystawalność niektórych roślinie, innych przerasta własny cień. A czas odmierza trudną, nieustępliwą tyradę kolejnych nicostek:

aż przyjdzie dzień gdy będziesz uważnie obserwował
wędrowki ptaków, dusza z ramienia zejdzie pod skórę

będziesz gotowy

by odejść

[NZP, 30]

To wszystko przecina Odra, wstęga wynosi się na pola. Świat czeka na swoją rację. Dusza już wypatruje za ramieniem, ostatnim przysiółkiem. Zło nie próżnuje, zawiązuje kolejne pakt, podważa kolejne pieczęcie. Jest. Przeciwno temu przychodzą wiersze. Ale to dopiero początek. Teraz poeta chce się oddalić, znaleźć swoje *m i e j s c e*. By lepiej się zmarnować. Kiedy zbiegli bogowie pozacierali ślady, pocie pozostał jedynie wiersz (jako schron), by zdeponować siebie na potem, bo teraz „będziesz trwać / oddalony od siebie zaklętego w osiadłą nad pograniczem smutę; // chropowatą fakturę ściernisk [NZP, 37].

Spora część wierszy Radosława Wiśniewskiego, jest jak „pancerniki”, które trzeba pręcej czy później sformować. Poeta odkrywa przed nami dziejowy fatalizm, mroczne strony historii, na co nakłada się rozbuchana wyobraźnia, z której krzesane są iskry jak zapłony dla kolejnych wierszy. Przypomina, „że nie ma pustych dat / na tarczy zegara [A, 27]. W tomie *Albedo* klimat jest tęgi, jakoś przywodzi na myśl atmosferę *Pod wulkanem* Lowry’ego. Ciężką, opresyjną zawieszinę, przez którą wychodzi się na powietrze, łapie kolejny oddech, podejmuje następny wiersz. W tym tomie metafory są wyjątkowo skondensowane, mocne, utrwalają całą siłę poetyckiego obrazowania Wiśniewskiego. Tomik ów jest popisem stylistycznej ekwilibrystyki mieszania tropów i zagęszczania znaczeń. Można by powiedzieć, że stoi metaforą: otwartą na różne styki językowych peregrinacji:

na szczycie monte alban
indianie wystawieni na żer powracających bogów
obdzierają psa ze skóry
i wróżą z jego jelit czas wąwozu

[A, 11].

Wiersze idą naprzeciw światu pogrążonemu w moralnym letargu, wymierzają mu swoje razy, przywołują zapodziały winy. Językowe ekscesy podbijają stawkę wiersza, który gra o wszystko. Wiśniewski kopie w rejestrach, ciemnych pasmach mowy, szukając dróg, którymi mógłby wyjść na jakieś światło. By jakoś udało się ułożyć z historią, zaaprobować jej scenariusze.

Pierwszy i ostatni krzyk są autoportretami frazy:

zbliża się nów i miasto pije
bezimienną hemoglobinę z rozstępów ciszy, oddycha
jakby jeszcze żyło i nic nie było zapisane w obcych
alfabetach
na wyczerpanej do białości
ziemi

[A, 29]

Kolejny tomik, *NeoNoe*, jest zadumą nad dniem dziejszym wyzutym z rytuału, obrzędowości. Nad tym, jak techniczna cywilizacja potraciła humanistyczne fundamenty. Jest próbą zdefiniowania współczesnej kultury, której źródła zakorzenione w sztuce wysokiej, w micie, wyschły – czytamy w wierszu *Przez rzekę*: „jesteśmy mówieni / i tłumaczymy się poprzez korzenie” [NN, 13], zaś otwierający książkę wiersz, kończy się wersami: „Spróbuj jednak od nowa, / bez wstępnych narzędzi otworzyć człowieka. Niech nie wie co to / lament niech wymierza wiarę” [NN, 9]. Poeta opowiada świat obcesowo obcy, komunikujący się ze sobą łączem, po zerwaniu którego zapada głucha noc. Wiśniewski gra z biblijnymi fabułami, a jego apokryfy są roztrzaskane jak stągwie. Pojawiają się tony profetyczne i potrzeba restytucji tradycji. Poeta upomina się o istnienie pełniejsze, dla ułomków i strzępów przeszłości, przeszłej świetności, z których zszywa ściegi wierszy:

nad nami, w otwartym

włazie, powietrze rzeźbiło postacie znane
z zatartych epitafiów, zarysy imion i nazwisk
ludzi, o których wie piasek

[NN, 10].

Jaką by zawiązać dla Wiśniewskiego wspólnotę wrażliwości? Gdzie go usytuować? Z pewnością gdzieś między Romanem Honetem (za którym mógłby powtórzyć: „Tu płacze każda Matka Boska, synu. // Od tygodnia tu jestem. / Od miesiąca”² albo: „myślałem o tych, którzy mieszkają w gwiazdach, / a rzeczy w gwiazdach są martwe, nieustające”³), a Radosławem Kobierskim (pod słowami którego mógłby się być może podpisać: „przynajmniej jest ciemno. można odpocząć / przed kolejnym lotem w środek ognia”⁴), pomiędzy nurtem „ośmielonej wyobraźni” a rozpisywaniem holocaustowych traum, wojennych fabuł, co zdaje się szczególną sygnaturą dla twórczości autora *Albedo*. Wiśniewskiego widzę jako pewien punkt odniesienia dla „nagrobnych epitafiów” Grzegorza Wróblewskiego czy w pewnym stopniu dla juveniliów

² R. Honet, *Pójdiesz synku do piekła*, Kraków 1998, s. 14.

³ R. Honet, „serce” (*wiersze pewnego lata*), Kraków 2002, s. 40.

⁴ R. J. Kobierski, *niedogony*, Kraków 1997, s. 10.

Martyny Buliżańskiej (*Moja jest ta ziemia*) i w bratnim uścisku z *Czarnym wodewilem* Konrada Wojtyły (by wspomnieć tylko ostatnie publikacje), czy Dariuszem Pado (który w wierszu dedykowanym Wiśniewskiemu, zapisuje ich „terytorium”: tutaj ziemia dalej udaje lód / drzy jakby miał się wynurzyć / bunkier uśpiony gazem // we mgle która nas łączy”⁵). W jakimś stopniu zainicjował on nurt „odpominający” okropieństwa wojny, tak jakby wiersze stawały się pasami transmisyjnymi dla przeszłości, których pamięć wciąż trzeba podsycać. Choć ostatnio Wiśniewski skręca w rejony „zadziornej publicystyki” (to oczywiście nie zarzut), to stale ma na uwadze swoje, mówiąc metaforycznie, „ciężkie wiśniaki”, czyli całą kanonadę salw artyleryjskich, którymi gromią nas wiersze (jako podzwonne po dwóch wojnach światowych). Ale jeszcze trwa,

jest szabas pejzażu,

i nie ma fałszywego słowa w pustce kłębiącej się wokół szczytu. jutro wszędzie słońce i wyda nas na cięcie. zejdziemy w dolinę w której każdy jest swoim głosem

[NN, 25].

Abdykacja – tom najbardziej doraźny, interweniujący, na czasie, pełen zaangażowania i troski o etyczne podwaliny rzeczywistości⁶. Żarna historii, które opisuje Wiśniewski, często mielą na proch: wolny, niepodległy, nieukładający się ani z ziemią, ani z wiatrem. Lotny ślad po życiu spisany na straty. Zapisany na

⁵ D. Pado, *Ijar*, Rzeszów 2009, s. 68.

⁶ „Zaangażowanie tej poezji przekłada się na napięcie. W każdym wierszu wzbiera coś ocierającego się o ostateczność, co brzmi jak pytanie o sens życia i śmierci. A także o prawdę wiary. Zaangażowanie poety w duchową pracę współczesności wiązałoby się ze szczególnym napięciem, stawianiem niewygodnych pytań i formułowaniem intymnych odpowiedzi co do powinności towarzyszących egzystencji niepewnej i rozkołysanej niczym dziurawe czółno. Albo arka” (K. Maliszewski, *Wiśniewski: na początku był blues*, „Lizard. Rock Prog Psychodelia Fusion” 2013, nr 13, s. 80).

kartce, uczepionym wiersza jako jedynej przestrzeni, dającej przez chwilę odpór napierającej nicości. „wołają mnie odległe, / ciemne punkty, jakby patrzyły na mnie oksydowane oczy” [AZ, 16]. Wiersz staje się terytorium walki, azylem dla uchodźców, miejscem zbroczonym przelaną krwią, oślizgłym od ludzkiej plugawości, medytacją nad konfliktami, które dzielą ludzi od wieków, nad tymi zasiekami, których nie sposób od tak przekroczyć, pójść za światłem, kiedy „świat zarasta po nas / szybciej niż torowisko w sudetach” [AZ, 31]. Poezja Wiśniewskiego daje głos uciśnionym, dopytuje się o los pokrzywdzonych, wypomina bierność, letniość, brak empatii, kiedy wokół krzywda, brud i walka na pięści, o racje, które dawno przestały walczących obchodzić. *Księga Nataniela*:

pozostaje czułość i wiara

w to, że kiedy już dojdziemy tam, gdzie nie da się dopisać ciągu dalszego – będziesz bezpieczny

[AZ, 33].

Wojna odmalowana zostaje gęstym ściegiem, słózoną frazą, w której słowa jak kolejne komendy niosą ze sobą kawalkady rozpaczy. Czasami widzimy gest solidarności, ruch nadziei. Widzimy świat coraz bardziej zapadający we własny odmęt, odhumanizowany, gdzie siła staje się jedynym argumentem, a ten, kto głośniej krzyczy, staje po stronie zwycięzców. Wolność opowiadana na różne sposoby staje się najwyraźniejszym „głosem” wiersza, jak człowiek miejscem w czymś oddechu:

wokoło jest miasto, rośnie mrok i obmywasz w nim twarz. reszta jest apokryfem spisany po szturmie, lepszą wersją ziemi, ruchem powietrza, gdy ptaństwo obsiada pola

[AZ, 7].

Bartosz Suwiński

Książka to także przedmiot

Obiecałem napisać o najnowszym przekładzie Don Kichota, lecz tylko częściowo z obietnicy swej się, na razie, wywiążę. Pierwsze bowiem, co zrobiłem, to obejrzałem ilustracje, a dokładnie rysunki, jakimi ów nowy przekład opatrzone. Niewymowną sprawiło mi to przyjemność, bo istotnie rzadko już dziś książki, zwłaszcza te poważne, dla dorosłych, zdobione są ilustracjami. A nawet jeżeli, to najczęściej marnymi (czasem mam wątpliwości, czy przez artystów prawdziwych zrobione), lub zastępowane, szczególnie ostatnio, fotografiami (wystarczy wspomnieć dzieła Sebalda i całą rzeszę naśladowców, jaka chwilę później załała bądź zasypała, bo to jednak istotne rozróżnienie, rynek). Tutaj bez wątplenia kreskę mamy oryginalną. Ponadto karykaturalność czy groteskowość głównego bohatera zostaje ukazana w sposób wyważony, z odpowiednią dozą nostalgii, czasem smutku, a może nawet rozpacz? Nic jednak przesadnie, ani „łopatą do głowy”.

Czy stanie się to wydanie gratką dla bibliofilów? Jeszcze tacy istnieją, a kilku i w Opolu jest. To dzięki jednemu z opolskich bibliofilów zwróciłem uwagę na nową książkę Waldemara Łysiaka. Wspominał mi, kiedy miałem przyjemność podziwiać jego bibliotekę (a jest ona, szczególnie dla wielbicieli ilustracji i grafik, fascynująca), że od jakiegoś czasu pisarz kupuje na aukcjach książki dla dzieci, co znalazło odbicie w jego najnowszej pracy. Zamieszczono w nich ilustracje kilkudziesięciu znamienitych artystów, rysowników z różnych lat i epok (wymienienie Szancera czy Dore jest może najłatwiejsze, ale kogoś wymienić wypada, a przedsmak daje, myślę, odpowiednio pyszny) i wszystko to pasuje, a nawet gdyby kogoś bajki nie interesowały, to dostajemy małą historię ilustracji „dziecięcej” (i nie tylko, jak myślę), gdzie są zaprezentowane wszelkie możliwe style graficzne.

A chwilę później tknęło mnie, że przecież dopiero co się ukazały dzieła wszystkie braci Grimm, w wydaniu kolekcjonerskim, z ilustracjami XIX-wiecznych niemieckich ilustratorów. Wprawdzie ilustracje w książkach dla dzieci to, rzecz by można oczywiście, ale co z ilustracjami w książkach dla dorosłych? Przychodzi mi na myśl jedynie książka *Przygody Pędrka Wyrzutka* Stefana Themersona, którego dzieła obecnie są wznawiane, ilustrowana rysunkami Franciszki Themerson... Zgoda, nie wszystkie książki trzeba zaraz ilustrować. Nie wszystkim to potrzebne, a może nawet niewskazane? Ale może by chociaż jakiś ozdobny inicjał?

Może przywoływane przeze mnie bibliofilstwo, podobnie jak płyty winylowe w muzyce, znacznie przeżywać dzięki wspomnianym wydaniom tak upragniony przeze mnie renesans? Może nie potrzeba aż tak wielkiego słowa, jednak tych niewielu już miłośników książek jako dzieł nie tylko literackich, ale także jako przedmiotu, dzieła sztuki, doczeka się w końcu, po latach wydawania byle jak, książki dobrze oprawionej, na trwałym papierze, z ładną i przyjemną dla oka czcionką? Książki po prostu pięknej, która przetrwa lata i którą, jak kto zechce, z półki wyciągnie i wnukom z przyjemnością nie tylko przeczyta, ale i pokaże. A one, zanim jeszcze nauczą się czytać, już oprawą i ilustracjami zachwycone, zaczną chłonąć magię zeń płynącą.

Tego Państwu i sobie życzę.

Witold Sułek



Rys. Leszek Ołdak

Noty o autorach:

Marian Buchowski – publicysta, pisujący też wiersze, autor książkowych zbiorów reportaży oraz biografii Edwarda Stachury. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Odrze” i „Polityce”, pracował w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Opole” i „Trybunie Opolskiej”. Współpracuje z katowickim miesięcznikiem „Śląsk”.

Ks. prof. dr hab. Tadeusz Dola – dziekan Wydziału Teologicznego UO, kierownik Katedry Teologii Fundamentalnej i Religiologii. Przewodniczący (od 2012 r.) Komitetu Nauk Teologicznych PAN. Autor książek, m.in.: *Ut mysterium paschale vivendo exprimatur*, *Teologia misterium życia Jezusa*; *Nauki w poszukiwaniu prawdy*.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczących historii oświaty w woj. opolskim.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Zuzanna Jałowy – studentka studiów magisterskich filologii romańskiej Uniwersytetu Opolskiego

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Prof. dr hab. Danuta Kisielewicz – kierownik Katedry Studiów Regionalnych Instytutu Politologii UO. Zainteresowania naukowe: problematyka jeniecka i obozowa, II wojna światowa, pamięć historyczna, problematyka śląska, historia wojskowości, pogranicza polsko-czeskiego, współczesnej myśli politycznej, przemian społeczno-politycznych Polski i Europy.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Dr Ireneusz Książek – adiunkt w Katedrze Spektroskopii Plazmy Instytutu Fizyki UO. Zainteresowania naukowe: fizyka plazmy, kontrolowana synteza termojądrowa, plazma wysokotemperaturowa utrzymywana w zamknięciu magnetycznym (tokamaki, stellaratory), spektroskopia plazmy wysokotemperaturowej zakresu EUV/Soft-X, optyczna spektroskopia plazmy, badanie plazmy powstającej w wyładowaniu łukowym, efekt odmieszania (ang: *demixing effect*), wyznaczanie stałych atomowej (głównie prawdopodobieństw przejść), analiza danych eksperymentalnych (np. przekształcenie Abela).

Agata Malec – pracownik Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód

Dr Wanda Matwiejczuk – wieloletnia dyrektor Biblioteki Głównej UO, organizatorka i obecna kierownik Muzeum Uniwersytetu Opolskiego. Autorka opracowania pt. *Biblioteka Główna Uniwersytetu Opolskiego 2001-2011. Daty i fakty*, Opole 2011.

Prof. dr hab. Aneta Mazur – kierownik Katedry Literatury XIX wieku i Antropologii Literackiej Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. W pracy naukowej zajmuje się prozą realizmu polskiego i europejskiego, historią idei i toposów, estetyką XIX stulecia, a także twórczością austriackiego pisarza Adalberta Stiftera. Opublikowała trzy książki *Parnasizm w poezji polskiej drugiej połowy XIX i początku XX wieku* (1993), *Transcendencja realistów. Motywy metafizyczne w polskiej i niemieckiej prozie II połowy XIX wieku* (2001), *Pod znakiem Saturna. Topika melancholii w późnej twórczości Elizy Orzeszkowej* (2010).

Prof. dr hab. Piotr Obrączka – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego (specjalność: literatura polska i niemiecka), autor ponad 200 publikacji, w tym 14 książek. Jego zainteresowania naukowe dotyczą literatury polskiej okresu Młodej Polski, zwłaszcza dzieła Jana Augusta Kisielewskiego oraz stosunków literackich polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej recepcji literatury niemieckojęzycznej.

Leszek Ołdak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

Anna Patelska – absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim (1997 r.) i Akademii Ekonomicznej w Katowicach, kierunek: ubezpieczenia gospodarcze (2002 r.). Pracuje jako agent i menedżer ubezpieczeń grupowych w Agencji Allianz w Nysie.

Dr Mariusz Patelski – adiunkt w Katedrze Biografistyki Instytutu Historii UO. Autor książek: *Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski – żołnierz i dyplomata* i *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu 1980-1990* oraz ponad stu artykułów poświęconych problematyce kresowej, historii wojskowej i dziejom najnowszemu Śląska Opolskiego, publikowanych m.in. na łamach: paryskich „Zeszytów Historycznych”, „Arcanów”, „Życia”, „Studiów Śląskich”, „Sobótki”, „Stron” i „Indeksu”.

Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

Prof. dr hab. Janusz Słodczyk – prorektor ds. nauki i finansów UO, kierownik Katedry Geografii Ekonomicznej Wydziału Ekonomicznego UO. Zainteresowania naukowe: rozwój planowania i przeobrażeń struktury przestrzennej i gospodarczej miast, zagadnienia zrównoważonego rozwoju miast i regionów. Autor lub współautor pięciu prac zwartych i ok. 120 artykułów naukowych, redaktor naukowy ponad 20 prac zbiorowych. Inicjator i organizator cyklicznych konferencji *Miasto w okresie przemian*, a następnie *Miasta XXI wieku*.

Dr Krzysztof Spałek – adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy *Plantacja* oraz książki dla dzieci *Bajka o małym łosiu*. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, doktorant filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim. Po-

ezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował m.in. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Polonistyce”, „Odrze”, „Śląsku”. Opublikował tomiki wierszy *Sehir* (2010), *Bliki* (2013) i *Uroczysko* (2014).

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracanie pamięci*, 1993, 1997; *Głowy opolskie*, 1999, 2008; *O nijaczeniu języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Agnieszka Wojcieszek – doktorantka Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego.

Irena Wyczółkowska – poetka, eseistka, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Kilkanaście lat współpracowała z Radiem Opole, była także członkiem redakcji kwartalnika „Strony”. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Po wczesnym debiucie zrezygnowała z pisania na całe ćwierć wieku. Opublikowała tomiki poetyckie: *Skóra węża*, *Gdzie piołun rośnie*, *Płaszysko*, *Balkon bez poręczy*, *Gwar utajony*, *Smocza samotność*, *Wstęp do teorii jawy*, *Ulica Równoległa*, *Bilet na wodolot*, *Portret z duszą na ramieniu*, zbioru krótkich opowiadań *Mitoplotki*. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Urszula Zajączkowska – historyk, dyrektor (od 2007 r.) Muzeum Śląska Opolskiego, z którym jest związana od 1977 r.



Jak zawsze, od jedenastu lat, listopadowy Bal Ekonoma w Cina Club otworzył prof. Janusz Słodczyk, prorektor UO. Na zdjęciu (od lewej): znakomity DJ Paweł Breitscheidel, przewodnicząca samorządu studentów Wydziału Ekonomicznego Karolina Sykuła, prof. Janusz Słodczyk oraz prodziekani Wydziału Ekonomicznego: dr Bartosz Chorkowy i prof. Sabina Kauf

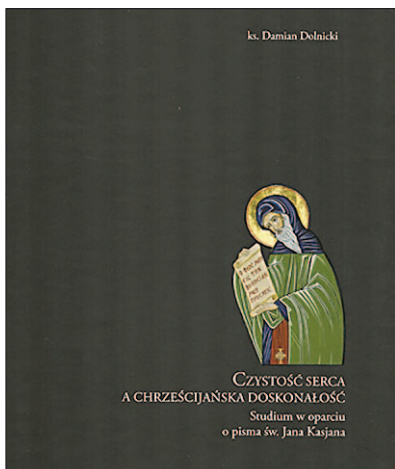
Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

Jaskóła Piotr, Porada Rajmund (red.), *Studia Oecumenica*, (czasopismo, nr 14), Opole 2014, 411 s. cena 25,00 zł



W czasopiśmie publikowane są artykuły dotyczące ruchu ekumenicznego, dialogów międzywyznaniowych oraz doktryny różnych wyznań chrześcijańskich.

Dolnicki Damian, *Czystość serca a chrześcijańska doskonałość*, (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 142), Opole 2014, 202 s., cena 15,00 zł



Studium w oparciu o pismo św. Jana Kasjana.

Borek Waław (red.), *Scriptura Sacra* (czasopismo, nr 17), Opole, 2013, 219 s., cena 25,00 zł



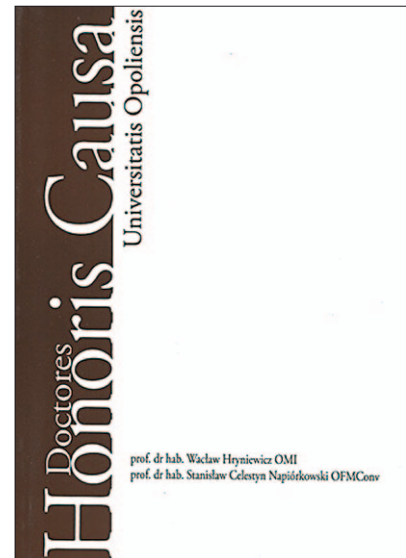
Prezentowane czasopismo zawiera artykuły o tematyce biblijnej.

Chałupniak Radosław, Michalewski Tomasz, Smak Ewa (red.), *Wychowanie w szkole: od bezradności ku możliwościom*, (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 141), Opole 2014, 495 s., cena 20,00 zł



Publikacja jest owocem konferencji naukowej, która miała miejsce w Opolu, 29 marca br., której celem była wymiana doświadczeń związanych z istotnym środowiskiem wychowania, jakim nadal pozostaje szkoła.

Jaskóła Piotr, Porada Rajmund (opr.), *Doctores Honoris Causa*, Opole, 2014, 101 s., cena 12,50 zł.



Publikacja przygotowana na uroczystość nadania tytułów doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego o. prof. dr hab. Waławowi Hryniewiczowi i o. prof. dr hab. Stanisławowi Celestynowi Napiórkowskiemu.

Schockenhoff Eberhard (tł. Konrad Glombik), *Etyka życia. Podstawy i nowe wyzwania*, (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 144), Opole, 2014, 610 s., cena 40,00 zł.



Autor w swojej książce porusza zagadnienia podstaw etyki życia, m.in. pojęcie osoby, godności ludzkiej, miejsce człowieka we wszechświecie.

Przygotował: **Piotr Juszczyzyn**

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



Ganczarska M., *Spotkanie z fikcyjnym terapeutą. Jak tworzyć i czytać dzieciom opowiadania korygujące w ramach interwencji terapeutyczno-wychowawczych*, ISBN 978-83-7395-627-8, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 172 s., oprawa miękka, cena 16,80 zł

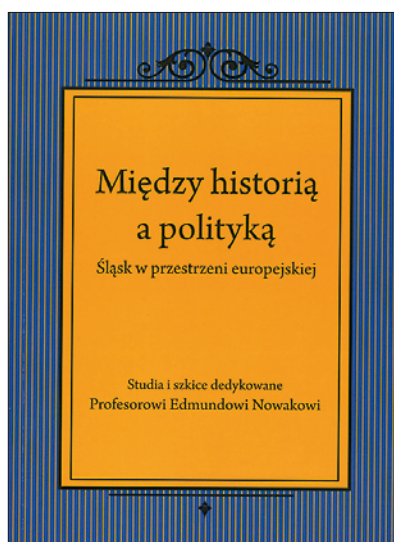


Opracowanie stanowi próbę połączenia osiągnięć współczesnej pedagogiki, psychologii i psychoterapii, a także bajkoterapii w prostą formułę, którą nazwano interwencjami terapeutyczno-wychowawczymi i zaadresowano do dzieci przejawiających indywidualne trudności w funkcjonowaniu. Interwencje te mogą przebiegać zarówno w sposób bezpośredni, czyli rozgrywać się między dorosłym a dzieckiem, jak i w sposób pośredni – metaforyczny, z udziałem fikcyjnego terapeuty, który pojawia się w wymyślonym specjalnie dla dziecka opowiadaniu korygującym. Niewątpliwym atutem książki są przykłady takich opowiadań stworzonych dla konkretnych dzieci, dodatkowo opatrzone komentarzami. Książka adresowana jest nie tylko do rodziców, ale i do pedagogów różnych specjalności – nauczycieli edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej czy też pracowników placówek opiekuńczo-wy-

chowawczych. Podjęta problematyka może również zainteresować studentów pedagogiki.



Kisielewicz D., Trzcielińska-Polus A. (red. nauk.), *Między historią a polityką. Śląsk w przestrzeni europejskiej. Studia i szkice dedykowane Profesorowi Edmundowi Nowakowi*, ISBN 978-83-7395-628-5, Opole: Wyd. UO, 2014, 312 s. format B5, oprawa miękka, cena 27,30 zł

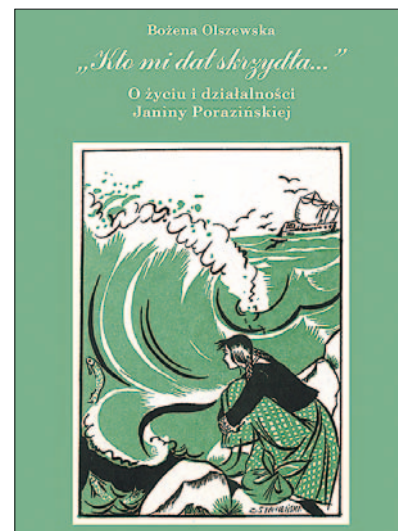


Książka jest zbiorem studiów i szkiców dedykowanych prof. Edmundowi Nowakowi – nauczycielowi akademickiemu Instytutu Politologii UO oraz długoletniemu dyrektorowi Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Zamieszczone w zbiorze opracowania o charakterze historycznym i politologicznym dotyczą szeroko rozumianej problematyki historii i społecznych problemów Śląska ze szczególnym uwzględnieniem funkcjonowania obozów na Śląsku Opolskim w systemie powojennych obozów w Polsce w latach 1945–1950, problematyki jenieckiej i obozowej oraz szeroko rozumianych stosunków polsko-niemieckich. Znalazły się tu również artykuły poświęcone problematy-

ce europejskiej i współpracy transgranicznej. Książka adresowana jest do badaczy i studentów nauk humanistycznych i społecznych oraz do wszystkich zainteresowanych problematyką śląską, jeniecką i obozową oraz współczesnymi problemami Europy.



Olszewska B., *„Kto mi dał skrzydła...” O życiu i działalności Janiny Porazińskiej*, Stud. i Mon. nr 510, ISBN 978-83-7395-603-2, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 198 s., oprawa miękka, cena 19,95 zł



Bohaterką książki jest wybitna autorka literatury dziecięcej Janina Porazińska (jej życie i prowadzona przez nią zróżnicowana działalność na rzecz dzieci). Ta kolejna, druga już po „*I w sto koni nie dogoni...*” *O życiu i sztuce pisarskiej Janiny Porazińskiej*, monografia, przynosi nowe wątki i tematy. Autorka na podstawie niepublikowanych listów rekonstruuje portret znakomitej pisarki, odkrywając jej poczucie humoru, silny charakter. Rozstrzyga sprawę pisarskiego debiutu i literackiej tożsamości, analizuje nieznanne lub zapomniane utwory, scenariusze radiowe i filmowe, omawia szkolne podręczniki jej współautorstwa, redakcyjny wkład w różne przed-

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

siewzięcia wydawnicze oraz przypomina o dokonanych przekładach z literatury skandynawskiej. Książka jest adresowana do historyków literatury, badaczy literatury dziecięcej i młodzieżowej, pedagogów, dydaktyków, bibliotekarzy, nauczycieli, studentów.



Szczepański Marek S., Śliz A. (red. nauk.), *Współczesne teorie społeczne. W kręgu ujęć paradygmatycznych*, ISBN 978-83-7395-618-6, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 484 s., oprawa miękka, cena 42,00 zł



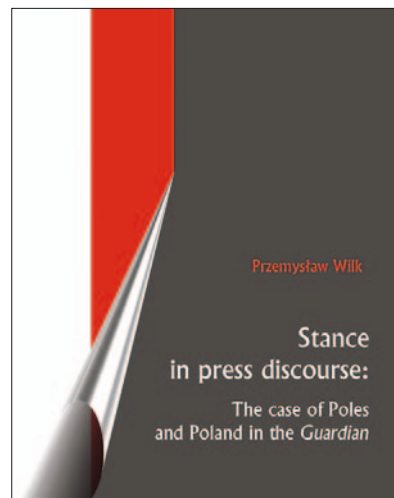
Współczesne teorie społeczne. W kręgu ujęć paradygmatycznych to nie pierwszy u nas podręcznik akademicki traktujący o współczesnych teoriach społecznych i socjologicznych. Redaktorzy naukowcy i autorzy starali się tak tę książkę przygotować, by zaprezentować nowe interpretacje, nowe odczytanie niektórych ujęć paradygmatycznych, np. teorie konfliktu, pokazując równocześnie nowe nurty w socjologii, np. krytyczną analizę dyskursu czy teorie *queer*. Mamy nadzieję, że przekazywany Czytelnikowi podręcznik będzie uzupełnieniem dla już istniejących, zarówno autorstwa polskich socjologów, jak i zagranicznych, że

będzie także ważną wskazówką intelektualną dla wszystkich zainteresowanych nowymi interpretacjami rzeczywistości społecznej odczytywanej przez socjologów oraz przedstawicieli pokrewnych nauk społecznych i humanistycznych. Książka powstała z myślą o studentach socjologii, ale nie tylko. Jako przewodnik po najnowszych teoriach socjologicznych została pomyślana jako ważna lektura dla studentów i wykładowców także innych dyscyplin z zakresu nauk humanistycznych i nauk społecznych oraz wszystkich zainteresowanych najnowszymi trendami teoretycznymi we współczesnej socjologii.



Wilk P., *Stance in press discourse: The case of Poles and Poland in the „Guardian”*, Stud. i Mon. nr 514, ISBN 978-83-7395-629-2, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 182 s., oprawa miękka, cena 17,00 zł

Książka ma charakter interdyscyplinarny i wpisuje się w nurt badań nad dyskursem. Jej celem było skonstruowanie eklektycznego modelu analizy pojęcia postawy/oceny (ang. *stance*) w dyskursie prasowym oraz jego empiryczna weryfikacja. Model został zbudowany w oparciu o wybrane zagadnienia krytycznej analizy dyskursu, językoznawstwa kognitywnego



oraz semantyki aksjologicznej. W celu weryfikacji założeń teoretycznych modelu oraz jego mocy wyjaśniającej skompilowano korpus spójnych tematycznie tekstów prasowych pochodzących z brytyjskiego dziennika „Guardian”. Ustalono trzy dominujące kategorie tematyczne korpusu, tj. wejście Polski do Unii Europejskiej, polska emigracja do Wielkiej Brytanii oraz rządy braci Kaczyńskich, które następnie poddano szczegółowej analizie opartej na kategoriach analitycznych stworzonego modelu. Książka adresowana jest do osób zainteresowanych zagadnieniami związanymi z badaniem języka wartości oraz analizą dyskursu w perspektywie interdyscyplinarnej.

Przygotowała: Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego
znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa
www.wydawnictwo.uni.opole.pl
tam też działa księgarnia internetowa

PRZERWA W DZIALE HANDLOWYM – INWENTARYZACJA
Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego informuje,
że w dniach od 16 grudnia 2014 r. do 7 stycznia 2015 r.
dział handlowy Wydawnictwa będzie nieczynny.
Za niedogodność przepraszamy.



27 listopada br. Marcin Ociepa i Arkadiusz Wiśniewski, wówczas kandydaci na prezydenta Opola, byli gośćmi senatorów Uniwersytetu Opolskiego – uczełni, której obaj są absolwentami. Wyborcy zdecydowali, że prezydentem Opola został Arkadiusz Wiśniewski (na zdjęciu siódmy od lewej, obok – Marcin Ociepa)